

Gabriela Gargaś

Dwie kobiety, jeden mężczyzna
i wielka miłość.

*Przejmująca historia
o wielkiej miłości we
wszystkich jej odcieniach.*

Marieta Żukowska

Minione
chwile

FILIA

Gabriela Gargaś

Minione
chwile

FILIA

Wystarczy jeden grzech, aby wpaść w spiralę, z której już nigdy nie będzie ucieczki. Jedno kłamstwo będzie prowadzić do drugiego i aby obronić siebie, trzeba brnąć dalej. Finalnie wszyscy przegrają, bo tutaj nie ma wygranych.

Niektórzy mężczyźni nie są warci łez.

Zrozumiałam to dopiero, kiedy było już za późno – pomyślała Abigail.

Może nie potrafił mnie kochać?

A czym jest miłość?

Każdy z nas ma inną definicję miłości.

Pamiętam, co mi powiedział: „Wszystko jest możliwe, niemożliwe wymaga więcej czasu...”.

Dziś nie kochałabym go, tak jak wtedy. Bo wiem, że nie można kochać za dwoje.

Dziś jestem mądrzejsza o te doświadczenia, które przeżyłam, o te nieprzespane noce, podczas których wylałam morze łez, o te zranienia, które już za mną, o kilka wzruszeń. Wiem już, że miłość niekiedy może mieć posmak goryczy. A są takie miłości, przez które człowiek kona w męczarniach.

Prolog

Abigail

Czasami wydawało jej się, że wszystko, co przeżyła, było jakimś snem. Chciała niektóre sprawy wymazać z pamięci, ale ta wciąż podsuwała jej właśnie te bolesne wspomnienia.

I tamten dzień sprzed kilkudziesięciu lat, o którym na pewno nigdy nie uda jej się zapomnieć. A czy odważy się i opowie o nim Annie? Cóż ma do stracenia?

Stara lady zaczęła swoją opowieść:

– Pewnie myślisz, że jestem silna. To nieprawda, jestem bardziej krucha niż się wszystkim wydaje. Przez wszystkie te lata zbudowałam wokół siebie pancierz. W głębi mojego serca tkwią rany. Wyciągałam z nich kolce wspomnień bardzo długo. Bolało. Kochałam tylko JEGO. Przez długi czas liczył się tylko on.

A potem przyszedł czas, kiedy musiałam zapomnieć...

Miałam kilkunastu kochanków. Może nie prowadziłam się najlepiej, ale... Właściwie to niczyja sprawa osądzać moją moralność. Jedni byli niezdarni, dyszeli mi do ucha, tarłosili moje piersi, wchodzili zbyt szybko. Inni potrafili rozpać mnie do czerwoności. To życie było puste, bo nie było w nim mężczyzny, którego kochałam.

Rok 1957

Abigail doskonale pamiętała to uczucie piekącego żalu. Była rozdarta, zagubiona i zła. Czula, jak nienawiść przesącza jej duszę. Jak on mógł jej to zrobić? Tak bardzo była w nim zakochana. Pierwszy raz w życiu kogoś kochała!

Abigail przywarła do ściany. A więc jednak. Odchodzi, do tamtej. Zagotowała się. Kiedy? Dziś? Jutro?

Ogarnęła ją złość, po chwili wpadła w furię. Zeszła na paluszkach na dół. A potem trzasnęła frontowymi drzwiami, udając, że dopiero weszła do domu.

– To ty? – Rozległ się głos Waldka.

– Ja.

Waldek zbiegł po schodach.

– Dopiero wróciłaś? – Na jego twarzy malował się nieszczerzy uśmiech.

– Tak. Muszę biec do Liz. Odbierz Adama z przedszkola.

- Ale...
- Proszę. Ten ostatni raz.
- Ostatni? – Waldek zmarszczył czoło.

Abigail się roześmiała. Pocałowała Waldka w policzek, odwróciła się na pięcie i wyszła. Wiedziała, że Waldek nie zostawi Adama. A ona zyska na czasie. Jeśli ona nie może mieć Waldka, to tamta też go nie będzie miała.

„Wilcza jagoda. Jeśli ktoś kiedyś złamie ci serce, to podaj mu wilczą jagodę. Możesz ją dodać do konfitury”.

„Mamo, ale o czym ty mówisz? Nikogo nie chcę otruć”.

Starsza kobieta popatrzyła na córkę błędnym wzrokiem. „Nigdy nie wiesz, do czego jesteś zdolna, zanim ktoś cię nie skrzywdzi. Zanim nie skrzywdzi...”.

Wilcza jagoda, atropina – kołatało z tyłu głowy Abigail. Już dawno wiedziała, gdzie może kupić towar. Wtedy, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się o niej, miała już wszystko zaplanowane. Żadna dziwka nie odbierze jej miłości, jej życia. Bo przecież Waldek należał tylko do niej. Był jej mężem. Był wszystkim, co kochała najbardziej.

Za naszyjnik z pereł dostała duże pieniądze. I udała się do człowieka, o którym wiedziała, że handluje różnymi rzeczami.

- Czy pani wie, że ta dawka może być śmiertelna? Z wilczą jagodą nie ma żartów.
- Wiem. – Uśmiechnęła się smutno. – Wiem.

Anna

Zdziwiona, że piszę? Nie widzieliśmy się dwa lata, trzy miesiące i dwa dni... Wiesz, co mi się teraz przypomniało? Twój uśmiech. Jak Ty się pięknie uśmiechałaś. Zazdroścę mężczyźnie, do którego teraz się tak uśmiechasz. Nigdy z żadną kobietą się tyle nie śmiałem, co z Tobą. Pamiętasz, kiedyś zapytałaś mnie, czy jakbym mógł cofnąć czas, to coś bym zmienił. Odpowiedziałem wtedy, że NIE. A teraz? Teraz bym Ci powiedział: NIGDY NIE POZWOLIŁBYM CI ODEJŚĆ! Przepraszam, że Cię zraniłem. Tylko że wtedy byłem taki niezdecydowany. Nie zdawałem sobie sprawy, że jak Ciebie stracę, to tak jakbym stracił cały świat... Zawsze mi mówiłaś, że oczekujesz, aby mężczyzna na Twoim punkcie zwariował, a myślisz, że ja nie wariowałem? Ja oszalałem z miłości do Ciebie. Teraz bym Ci o tym wszystkim powiedział. A wtedy? Wtedy sam nie wiedziałem, czego chcę. Nic od Ciebie nie oczekuję. Tylko mi wybaczyć i uśmiechnij się, kiedy będziesz czytała tę wiadomość.

Anna wpatrywała się w ekran monitora. To w jego stylu, odezwać się po takim czasie. Jak mógł zburzyć jej spokój? Otworzyła notes i zaczęła pisać. Myśli, emocje przelewała na papier. Tyle ich kiedyś było. Tyle było światła w każdej chwili...

Rozdział 1

W Szkocji czas od listopada do marca zazwyczaj jest mroczny i ponury. Przynajmniej tak odczuwała to Anna. Nagie drzewa ugięły się od podmuchów wiatru. A deszcz zaczął prosto w twarz. Kobieta szła szybko, z głową wciśniętą w kołnierz. Palce u jej rąk skostniały, mimo iż miała rękawiczki. Nie było aż tak zimno, jak niekiedy jest zimą w Polsce, ale wilgotno. Ta wilgoć unosząca się w powietrzu przenikała przez ubrania, oblepiając ciało.

Anna przyjechała do Szkocji jesienią. Nie planowała zostać na dłużej. Rok to było maksimum. Pracowała wtedy jako kelnerka po dwanaście godzin dziennie w restauracji w Edynburgu przy Royal Mile, ulicy, która biegła wzdłuż starówki do zamku. Restauracja o każdej porze dnia wypełniona była po same brzegi turystami. Anna obiecała sobie, że za zarobione pieniądze objedzie Szkocję wzdłuż i wszerz. Chciała poznać kraj, o którym tyle słyszała. Gdy uzbierała sporo kasy z napiwków, ruszyła na północ. Szkocja to kraj pełen wrzosowisk, ostrych klifów, wiatrów, zmiennej pogody. To pola, na których pasą się owce i kudłate, brązowe krowy. To surowe krajobrazy, owsianka i haggis. To ponure zamki, w których kiedyś mieszkały całe klany. Monumentalne budowle były świadkami bitew, miłości i zrad. Szkocja ją zachwyciła, szczególnie północ.

Wszystko tu było takie inne. I te krany... Nie jeden, a dwa. Z jednego leciała lodowata woda, z drugiego wrząca. W mieszkaniu, które wynajmowała na początku pobytu, spotkała się z bardziej nowoczesnym rozwiązaniem: kran przy umywalce był wprawdzie jeden, ale leciały z niego dwie oddzielne, niemieszające się ze sobą strugi gorącej i zimnej wody. Przy zlewie kuchennym rozwiązanie było jeszcze bardziej wyrafinowane – środkiem leciała struga wrzątku, którą otaczał zewnętrzny płaszcz zimnej wody. W mieszkaniu, do którego przeprowadziła się dziesięć miesięcy temu, wszystkie krany były podwójne. Do lewostronnego ruchu również musiała się przyzwyczaić. Według Brytyjczyków to cała Europa upierała się, żeby jeździć po niewłaściwej stronie. Kiedy tylko przyleciała do Szkocji, zachłysnęła się wszystkim. Po czasie zrozumiała, że jak każdy kraj Szkocja ma swoje wady i zalety. I wcale nie jest tak, że za granicą manna leci z nieba, a trawa jest tutaj bardziej zielona. Każdy kraj i ludzie, którzy w nim żyją, są lepsi albo gorsi. Bo służba zdrowia też i tu zawodzi. Bo większe pieniądze, ale i większe wydatki. Bo gorsze dzielnice, bo nigdy nie będziesz u siebie. Zawsze będziesz tu obcy, bo się tutaj nie urodziłeś. Jednak wiele rzeczy podobało się Annie. Przede wszystkim ten luz, który wtopiony był w szkocką kulturę. Nikogo nie obchodziło to, co robi sąsiad, w co się ubiera. Widziała kobiety, które w kapciach i szlafroku szły do sklepu za róg. Kobiety w garsonkach i adidasach, które pędziły do biura. Brytyjki są też mniej krytyczne w stosunku do swojego ciała. Jeśli mają ochotę założyć obcisłą, krótką kieckę, to ją zakładają. To nic, że wałeczek wystaje, a nogi nie są takie jak u top modelki. Z większym dystansem do swojej osoby jest zdecydowanie przyjemniej żyć. Kochała tutejsze urzędy, za miłą obsługę. I to zmieniałaby w Polsce. Kiedy wchodzisz do jakiegoś urzędu w kraju, wita cię niemiła baba, ze skwaszoną miną, a ty już od progu czujesz się taki malutki. Ta pani, która siedzi po drugiej stronie

biurka, powinna ci pomóc, to jej praca, za którą jej płacą. Nie jest królową na włościach... No cóż, jak to mówią, co kraj, to obyczaj.

Dlaczego wyjechała do Szkocji, a nie gdzieś bliżej?

Przez niego!

Znała go od dzieciństwa. Był od niej cztery lata starszy. Poznali się w piaskownicy. Mała wówczas Ania bawiła się w sprzedawczynię w cukierni. Siedziała na murku w piaskownicy i lepiła z piasku ciastka.

– Cześć. – Usłyszała chłopięcy głos.

– Cześć. – Podniosła wzrok.

– Co robisz?

Ania spojrzała na swoje ręce, które lepiły kulkę.

– Pączka.

– Nie bądź śmieszna, to kulka piachu.

– Bawię się w cukiernię.

– Ach tak! – prychnął chłopiec.

– Jeśli ci się coś nie podoba, to sobie idź.

Chłopiec rozejrzył się na boki, w obawie, czy nie ma jego kolegów. Nikogo nie było z jego paczki.

– Jeśli chcesz, pobawię się z tobą.

Dziewczynka wydeła usteczka.

– Sama nie wiem, czy chcę, czy nie.

Chłopiec podparł się pod boki.

– Marcin jestem.

– Ania.

– A więc, Aniu, poproszę dwa pączki.

– Róża jestem.

– Przed chwilą powiedziałaś, że Ania.

Dziewczynka przewróciła oczami.

– W zabawie Róża. Mężczyźni to jednak nic nie rozumieją.

– To kim ja mam być? Kleofasem?

– Kim sobie chcesz.

– Będę Marcin i tyle.

– To sobie bądź.

– Dwa pączki poproszę.

– Coś jeszcze? – Róża alias Ania zatrzepotała rzęsami.

– A to co? – Marcin wskazał na inne piaskowe ciastko.

– Eklerka.

– To jeszcze eklerkę.

– To wszystko?

– Wszystko.

Okazało się, że Marcin z rodzicami i młodszym bratem przeprowadzili się na jej osiedle kilka tygodni wcześniej. Jego brat chodził z nią do klasy. Chłopiec z dziewczynką bardzo się polubili. Kiedy byli tylko we dwoje, Marcin chętnie się z nią bawił, ale kiedy pojawiali się jego koledzy, udawał, że jej nie zna. Kiedyś przyniósł jej pierścionek z czerwonym oczkiem, który kupił dla niej na festynie.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– O co chodzi?

– O twoje zachowanie.

– Dałem ci właśnie pierścionek.

– Przy kolegach udajesz, że mnie nie znasz.

– Wiesz, jak to z kolegami jest. – Marcin podparł się pod boki, nie spuszczać wzroku z dziewczynki.

– Ja się ciebie nie wstydę.

– Ja ciebie też nie, ale chłopacy są inni.

– Chłopcy.

– Przecież mówię.

– Powiedziałeś chłopacy.

– Czepiasz się.

– Przyjmuję pierścionelek.

Na twarzy Marcina pojawił się szeroki uśmiech.

Dorastali. Ania myślała, że Marcin nie widzi w niej dziewczyny, z którą mógłby się spotykać, a dobrą kumpelę. Ona była w nim śmiertelnie zadurzona. Jej serce pękało, kiedy widziała, że chłopak bajeruje inne dziewczyny. Z jedną to nawet dłużej się spotykał. Anka wpadła wtedy w czarną rozpacz. Płakała, słuchała rzewnych piosenek, że kocha go jak Irlandię, że Jolka, Jolka, pamiętasz... I znów płakała. Bo Pamela miała już osiemnaście lat, a ona dopiero czternaście. No dobrze, czternaście i pół. Bo Pamela popalała papierosy, miała tlenione włosy, króciutką dżinsową spódniczkę, a ona wyglądała jak dzieciak. Mama nawet jej się malować nie pozwalała. Nie dziwne, że Marcin wpadł jak śliwka w kompot.

– Jaka ona jest? – zapytała go, kiedy siedzieli w jego pokoju na wersalce i wcinali kanapki z pasztetem i keczupem.

– Pam?

– Pam – powtórzyła z bólem w sercu Anka.

– Doświadczona. – Marcin się zaśmiał, a na twarzy Ani pojawił się krwistoczerwony rumieniec.

– Jesteś zakochany?

– Czy ja wiem? – Chłopak wzruszył ramionami. – Póki mogę, korzystam.

Anka wstała z wersalki. Nie była w stanie powstrzymać łez. Wybiegła z mieszkania jak oparzona. Nie dość, że się skompromitowała, to jeszcze Marcin na pewno się domyślił, że jest w nim zakochana. Kiedy była już w mieszkaniu rodziców, wbiegła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko, a głowę przykryła poduszką.

W dniu jej piętnastych urodzin stał się cud. Marcin pocałował ją namiętnie przy jej koleżankach, a Ania nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

– I co? – zapytał ją później.

– Sama nie wiem.

– Wiesz, wiesz...

Zaczęli się spotykać. A dziewczyna zakochała się w nim na zabój. To z nim Anna przeżyła swój pierwszy raz. To z nim oglądała gwiazdy, z nim piła swoje pierwsze wino. On był nią, a ona nim. Do czasu...

A teraz? Teraz często słucha piosenki Ani Dąbrowskiej:

Ciągle zbieram siebie z miejsc po Tobie.

I znów na kawalki rozpadam się.

Wiem, że wystarczą mi nawet kłamstwa.

Dajesz je w nagrodę, gdy masz na to ochotę.

Ostatni raz poddaję się. Nieprawda.

Ostatni raz szukam cię. Nieprawda.

Chcę mieć cię dość. Na zawsze dość. Nieprawda.

Ostatni raz odchodzę stąd. Nieprawda.

Tyle nieprzespanych nocy za nią. Tyle godzin nasiąkniętych nostalgią.
Tyle wspomnień...
Minęło tyle miesięcy, a jej nie minęło... Trwało, ze zdwojoną siłą.
Nocą jej serce na nowo przeżywało przeszłe emocje, uczucia.
Na jawie, w myślach, w sercu, we wspomnieniach wciąż był. Przy niej, z nią.
Teraz, tu...

Rozdział 2

Anka lubiła Edynburg. W dobrą pogodę mogła chodzić do Princes Street Gardens u stóp wzgórza zamkowego.

Szkocja to zupełny przypadek w jej życiu i chyba zrządzenie losu. O Szkocji wiedziała naprawdę niewiele. Edynburg jest miastem niezwykle, miastem z duszą, gdzie z każdego zakątka, z każdej wąskiej uliczki wyglądają duchy przeszłości. Kiedy siedziała na trawie w parku, spoglądała na zamek znajdujący się na szczycie wygasłego wulkanu. Fortyfikacje oraz mury zachowały swoją oryginalną formę od prawie 800 lat. Okolice zamku skrywały także kilka mrocznych historii. W pobliżu stała fontanna, w której według legend palono czarownice. Uwielbiała spacerować po mieście, wspinaczkę na Calton Hill, skąd rozpościerał się widok na szkocką stolicę. Lubiła pić kawę w The Elephant House Cafe. To tutaj ponoć J.K. Rowling napisała część *Harry'ego Pottera*. Może i ją natchnie? – Anna się roześmiała. Ludzie się spierali, gdzie J.K. Rowling tak naprawdę napisała *Harry'ego*, ale ona chciała wierzyć, że to było tutaj. To miejsce miało swój klimat i duszę.

Od kilku miesięcy mieszkała u znajomej koleżanki, Agaty. W trzypokojowym mieszkaniu było ich razem dziewięć osób. Ktoś wychodził do pracy, ktoś inny wracał z nocnej zmiany i zajmował twój materac. Łazienka była wiecznie okupowana, podobnie jak kuchnia. Lodówka była wspólna i jeśli ktoś wyjadł twoje jedzenie, nie powinno cię to dziwić.

Agata okazała się przyjazną duszą. Niska, drobna, zawsze roześmiana.

– Pierwsza lekcja dla ciebie: uważaj na Polaków – zakomunikowała w jednej z pierwszych rozmów. – Nie masz co liczyć na pomoc rodaka. Polak za granicą prędzej zepchnie cię w przepaść, niż rękę poda. – Wtedy tamte słowa wydawały się Ani kompletną bzdurą i przesadą. No, bo jak to? Dlaczego? Przecież jako osoby pochodzące z tego samego kraju powinniśmy trzymać się razem i w trudnych chwilach pomagać. Niestety, nie raz się przekonała, że koleżanka miała rację.

Agata naląła do plastikowych kubeczków wina.

– Kiedyś mieliśmy szklane kieliszki, teraz nie ma ani jednego.

– Pobiły się?

Agata wzruszyła ramionami.

– Może ktoś ukradł. Druga lekcja – powiedziała Agata – nie ufaj Szkotom.

– To komu mam ufać? Skoro ani nie Polakom, ani nie Szkotom?

– Sobie.

Roześmiały się.

– Szkoci są uśmiechnięci, mili. Przyjaźnie nastawieni, ale czasami to tylko pozory. Zawsze wyskoczą z tym swoim: *How are you?*. I oczekują, że odpowiesz: *fine*. Żadnych wynurzeń, że dziś źle, że ptak na ciebie nasrał, że pada deszcz i nie znosisz szkockiej pogody. Są uśmiechnięci, ale za plecami potrafią obrobić ci równo dupę. Oczywiście nie wszyscy. Są fajni Szkoci i mniej fajni, ale trzeba uważać, co, jak i gdzie.

– To tyle?

– Kolejne lekcje odczujesz dotkliwie na własnej skórze.

Znów wybuchnęły śmiechem.

Anka uniosła do góry plastikowy kubeczek.

– No to, *cheers!*

– *Cheers.*

- Byłaś już w zamku?
- Nie. A ty?
- Dwa razy. Wybieramy się ze znajomymi w niedzielę. Idziesz?
- Pewnie.

– Edynburski zamek jest podobno najbardziej nawiedzonym miejscem w Szkocji.
– Weź mnie nie strasz. – Anka skrzyżowała ręce na piersiach.
– Przeprowadzone w nim badania wykazały, że w ponad połowie jego pomieszczeń ukazywały się duchy. Zamek z ulicą Royal Mile łączy sieć podziemnych korytarzy. Niegdyś postanowiono je zbadać. Wysłano młodego chłopca – dudziarza, żeby przeszedł przez nie. Miał cały czas grać, żeby było wiadomo, gdzie jest. Jednak nagle granie ustało. Nigdy nie odnaleziono nieszczęsnego muzyka, a w podziemiach zamku co jakiś czas słychać, jak ktoś gra na dudach...

– Brrr... Przeszły mnie dreszcze.

– Lubię takie klimaty. Lochy, podobnie jak w innych zamkach, były miejscem karni wielu więźniów. Do dziś zwiedzający twierdzą, że wywołują w nich nieprzyjemne doznania. Mają uczucie czyjejś obecności, skarżą się również na duszności. To tam właśnie więziono skazane na śmierć czarownice. Idziesz, prawda?

– Nastraszyłaś mnie, a teraz chcesz mnie tam zaciągnąć.

Agata się roześmiała.

– Ze mną nic ci się nie stanie.

– Dlaczego?

– Bo jestem czarownicą.

Ania miała dyplom magistra filologii polskiej, który na nic jej się tutaj przydał. Po dwumiesięcznej karierze kelnerki zahaczyła się w *bed and breakfast*, niewielkim hotelu, który miał około piętnastu pokoi. Pracowała jako *guest service assistant*, czyli była osobą od wszystkiego. Sprzątała pokoje, serwowała gościom posiłki. Podpisała umowę, z której wynikało, że musi być elastyczna, co oznaczało, że pracowała po kilkanaście godzin dziennie. Jakoś trzeba było się utrzymać. Żadna praca nie hańbi. I Anna byłaby w sumie zadowolona z roboty, gdyby nie ludzie, z którymi pracowała. Sprawdziły się słowa Agaty, że na obczyźnie Polak Polakowi wilkiem. Ileż razy jakaś rodaczka podkablowała ją do *supervisora*, bo Anna zrobiła sobie za długą przerwę, Anna się spóźniła do pracy, Anna źle posprzątała pokój.

„Ja pierdołę!” – klęła w duchu dziewczyna, która wiedziała, że pani Tereska i pani Jagoda same nie są bez skazy. Pani Terenia kradła papier toaletowy i saszetki cukru przeznaczone dla gości. Wynosiła je pod kurtką, jakby sama nie mogła kupić sobie kilograma cukru lub dziesięciu rolek papieru toaletowego. Ten wydatek kosztowałby ją około trzech funtów. Pani Jagoda natomiast przychodziła do pracy pierwsza i po kryjomu brała z recepcji klucze, by obskoczyć wszystkie pokoje, z których goście już się wymeldowali, w nadziei, że znajdzie napiwki i zgarnie je dla siebie. To było nieuczciwe w stosunku do innych pracowników.

Ale były plusy tej pracy. Anna nauczyła się perfekcyjnie wycierać kurze i odkurzać listwy, i tego, że ludzie bywają wredni.

Czwartkowego ranka Anna została sama w mieszkaniu. Domownicy wyszli już do pracy, a ona miała dzień wolny. Obudził ją dzwonek do drzwi. Włożyła szlafrok i poczłapała w stronę przedpokoju. Kiedy otworzyła, ujrzała sąsiada, Grześka. Pod Grześkowym nosem rósł bujny wąs, a jego wargi były wilgotne, jakby przed chwilą je oblizał. Grzesiek mieszkał na trzecim piętrze, ona na drugim. Kilka razy powiedzieli sobie „cześć”. Nic poza tym. Mężczyzna nie wzbudzał w Annie sympatii. Wydawał jej się jakiś dziwny.

– Cześć. – Przywitał się.

– Cześć.

– Mam sprawę. – Grzesiek poprawił okulary i wyciągnął przed nią plik papierów.

– Nie bardzo wiem, o co chodzi? – Anna zmarszczyła brwi.

Grzesiek uśmiechnął się promiennie, odsłaniając złotą koronę.

– Przyszło mi wyrównanie do prądu.

– I???

– Za dużo.

– A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? – Anna ciaśniej zacisnęła poły szlafroka.

– Muszę sprawdzić licznik. Oszukali mnie te chuje. Myślą, że jak emigrant, to mnie w ciula zrobią.

– To sprawdź licznik, zrób zdjęcie i im wyślij. To najprostsze rozwiązanie.

– Tylko że ja nie wiem, który to jest mój licznik, i dlatego przyszedłem do ciebie. Wiedziałem, że masz wolne.

– Skąd? – Anna uniosła do góry brwi.

– Od Michała.

– A kto to jest Michał? – Anna nie za bardzo kojarzyła. Lokatorzy w jej mieszkaniu zbyt szybko się zmieniali.

Grzesiek popatrzył na nią jak na stwora z kosmosu.

– Michał mieszka w tym samym mieszkaniu co ty.

– Aha.

– To co z tymi licznikami? Pomożesz mi? – Grzesiek uśmiechnął się do kobiety, a ją przeszedł dreszcz. Było w nim coś nachalnego, wręcz obleśnego.

Anna wyszła na klatkę. Stanęli przed licznikami.

– Ten jest twój. – Ania wskazała na licznik oznaczony cyfrą sześć.

– O, faktycznie. – Grzesiek ponownie się uśmiechnął.

– To problem rozwiązany, cześć. – Anna odwróciła się na pięcie. Była tak zmęczona, że jedyne, o czym marzyła, to przeleżeć na materacu cały dzień.

– Zaraz, zaraz. – Grzesiek przytrzymał ją za rękę.

– Tak? – Anna miała dość tego namolnego gościa.

– W podziękę zapraszam cię do siebie.

– Po co?

– Na wino.

– O tej porze?

– Nie, wieczorem.

Anka odetchnęła z ulgą, gdyż na wieczór była umówiona z Agatą.

– Jestem umówiona.

– Z kim?

– Z Agatą.

– To twoja współlokatorka.

– No i?

– Widujecie się codziennie.

– Idziemy na zakupy.

– To jutro. Wypijemy razem kawę. – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Jestem w pracy.

– Po pracy?

– Nie! – dziewczyna wybuchnęła. – Nie i koniec!

Jak ona nie lubiła takich namolnych typów.

Myślała, że Grzesiek da jej spokój. Jakże się myliła. Tydzień później spadł śnieg. Szkockie zimy nie są śnieżne, dlatego Ania bardzo ucieszyła się z tego śniegu w Edynburgu. Postanowiła, że zamiast wracać prosto do domu, chwilę pospaceruje. Mróz szczypał ją w policzki, a ona poczuła się, jakby była w Polsce. Zamknęła oczy i się rozmarzyła. Po chwili usłyszała męski głos.

– Cześć.

Otworzyła oczy. Przed nią stał Grzesiek.

– Cześć. – Ania patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Akurat spacerowałem – powiedział Grzesiek.

– Spacerowałeś? W takim stroju?

Grzesiek ubrany był w koszulkę, krótkie spodenki i klapki.

– Tak. Hartowanie to podstawa. – Uderzył się ręką w pierś.

Anna domyślała się, że Grzesiek wyskoczył na dwór w tymże oto stroju, kiedy tylko ją zobaczył przez okno.

– No to miłego hartowania. – Dziewczyna przyśpieszyła kroku.

– A ty dokąd? – Grzesiek dygotał z zimna.

– Do domu.

– Myślałem, że spacerowałaś?

– Po czym wnosisz?

– Widziałem, że chodzisz wkoło bloku.

– Oj, świntuszk. Nieładnie tak podglądać sąsiadki.

– Ale ja... Ja nie podglądam. To, co, kawa? – Grzesiek przestępował z nogi na nogę.

– Zajęta jestem. Cześć – rzuciła Anka w jego stronę i poszła do klatki.

„Co za typ” – jęknęła w duchu.

Weszła do mieszkania. Straciła ochotę na spacer. Nawet śnieg w jednej chwili jej zbrzydł. Zdjęła kurtkę i powiesiła na wieszaku. Rozpięła kozaki i ustawiła na półce koło innych butów. W kuchni zastała Agatę.

– A ty co taka skwaszona? – Agata smarowała pieczywo masłem.

– Dopadł mnie sąsiad z góry. – Anka usiadła na stołku w kącie kuchni z kolanami pod brodą.

– Namolny Grzesiek?

– Tak.

– Ten to nie odpuszcza.

– Nie odpuszcza? – Anka zmarszczyła czoło.

– No nie. Startował już do połowy znanych mi dziewczyn.

– I ja padłam jego ofiarą. – Anna otoczyła kolana rękami.

– Niech zgadnę, szukał swojego licznika?

– Nie jestem pierwsza? – Anka nalała sobie do kubka wody.

– Wyobraź sobie, że nie. – Agata zaczęła się śmiać. – Szukał też swojego licznika dwie ulice

dalej.

Agata z Anią parsknęły śmiechem.

– Co za typ – jęknęła Anka.

– Szuka tej jedynej.

– Ale nie takimi sposobami.

– Któraś w końcu się złapie na liczniki. Uderza do każdej: mężatek, dzieciatych, singielek, lesbijek. Polek, Ukrainek, Szkotek.

– Desperat jakiś czy co?

– Ponoć kilka lat temu żona od niego odeszła.

– Też bym nie wytrzymała z takim gościem.

Rozdział 3

Po pół roku pracy w hotelu Anna awansowała na *supervisora*. Tereska z Jagodą o mało jej oczu nie wydrapały. To przecież one lepiej i ciężiej pracowały. To nic, że nie znały języka angielskiego, bo przecież „po chuj” im angielski przy sprzątanu. W kanciapie dały upust swojemu rozgoryczeniu.

– Ci Brytole nie znają się na ludziach i w ogóle ten kraj jest popieprzony, a co to za faceci z tych Szkotów, że w spódniczkach łążą? – Tereska cisnęła ścierką.

– I patrz na pogodę. Nawet słońca tu nie ujrzysz. Pada i szaro. – Jagoda pokręciła głową.

– Nie docenili nas.

– Skurwysyny.

Kobiety przestały się odzywać do Anny, a Ania zaczęła spędzać przerwy z Hiszpanami, którzy pomagali sobie, jak tylko mogli. „Jednak, my, Polacy, jesteśmy strasznymi zazdrośnikami” – pomyślała z goryczą. Teraz Anna miała każdy weekend wolny. Trochę jeździła po Szkocji i zwiedzała, jednak wolałaby pracować. Kiedy pracowała, nie myślała o tym, co zrobił jej Marcin. O nim nie myślała.

Zapytała Agatę, czy w *take awayu*, w którym ona pracowała, nie znalazłaby się praca na soboty i niedziele. Od drugiego lutego Anna zaczęła pracę w podrzędnej knajpie z jedzeniem na wynos. Praca była ciężka, osiem godzin na nogach serwowała jedzenie nasiąknięte olejem. Myła podłogi, ścierała stoliki, wrzucała zmrożone frytki na głęboki tłuszcz. Po kilku weekendach Annie się wydawało, że jest tak przesiąknięta smażonym olejem, że nawet kąpiel nie jest w stanie zmyć tego zapachu.

– Po co ty tu jesteś? – zapytała ją któregoś dnia Agata.

– W Szkocji? – Anka zmrużyła oczy. Zrobiła głęboki wdech, by pozwolić uspokoić się sercu.

– Tak. Masz dyplom w kieszeni, pochodzisz z Krakowa, a tam chyba pracy nie brakuje?

– Może przed czymś uciekam?

– Ty mi to powiedz. – Agata uważnie spojrzała na koleżankę.

– Ktoś mnie zranił.

– Aha, rozumiem. Nie drążę tematu.

– Kiedyś ci o tym opowiem.

– Nie naciskam. Rozumiem.

Do środka weszło dwóch napakowanych łysych osiłków. Agata miała już z takimi typami do czynienia. Od razu domyśliła się, że to Polacy. A kiedy zaczęli kląć po polsku i obrażać innych klientów, myślała, że spali się ze wstydu. W końcu zamówili dwie ryby z frytkami, oczywiście nie oszczędzając przy tym bluzgów: „co za chujowa ryba”, „a te fryty, jak gówno”.

Jednak zażerali się „chujowo-gównianym” posiłkiem aż miło.

Kiedy wyszli, Agata wypaliła:

– Wiesz już, dlaczego nie mówię tutaj po polsku?

– Domyślam się.

– Czy posiadanie czerwonej książeczki z tym samym orzełkiem zobowiązuje mnie do kochania wszystkich z podobnymi książeczkami? – zapytała retorycznie.

To nie tak, że Anna nie spotkała na obczyźnie fajnych ludzi, bo spotkała mnóstwo mądrych, wykształconych, świetnych Polaków i superfajnych Szkotów, zabawnych Hiszpanów. I to nie tak, że Polacy pracują tylko na zmywaku, bo wielu wspięło się po brytyjskich szczeblach kariery. Ale przyjeżdżali też tutaj tacy rodacy, dla których szczytem marzeń była beemka, dom z „kartonu” z kredytem na trzydzieści kilka lat i nowy iPad.

Po pracy dziewczyny poszły do pubu. Wypiły po trzy pinty piwa. Rechotały tak głośno, że podchmieleni, brzuchaci mężczyźni koło pięćdziesiątki odwracali w ich stronę głowy. Śmiały się ze wszystkiego, a łzy płynęły im po policzkach.

– Tylko się nie zsikaj – powiedziała Agata.

– Właśnie muszę oddać się na stronę.

Obie wstały od stolika w tym samym czasie i chwiejnym krokiem ruszyły do toalety.

Anka urwała spory kawałek papieru toaletowego i zarzuciła na ramię Agaty. Szminką wypisała: „Miss świata”. Agata zrobiła to samo. Teraz obie były miss.

– Nie uważasz, że o jedną miss za dużo? – zapytała koleżankę Anka.

Ryknęły śmiechem.

Zapłaciły rachunek i wyszły na postój taksówek. Wsiadły do pierwszej z brzegu.

– Dokąd, dziewczyny? – zapytał taksówkarz.

Spojrzały na siebie.

– Przed siebie – powiedziała Agata.

– Na koniec świata.

Rozbawiony kierowca ruszył.

– Może być na Portobello?

– Może. Morze o tej porze roku musi wyglądać cudnie.

Po kilkunastu minutach wysiadły na Portobello. Plaża tonęła w mroku. Dął wiatr.

– Je pierdzielę, wytrzeźwiałam – szczękając zębami, powiedziała Anka.

– Ja chyba też.

Wiatr porwał szarfę Agaty.

– No i została jedna miss. – Agata udawała, że brak szarfy ją dotknął.

– Wygrała lepsza.

– Wygrała ta, która dłonią przytrzymywała szarfę.

– Życie nie jest fair.

Zaśmiały się.

– No to co, skoro tu jesteśmy, idziemy na spacer?

Szły wtulone w siebie ramię przy ramieniu.

– Myślałaś, co to będzie za pięć lat?

– Za pięć lat stuknie mi czterdziestka.

– Mi czterdzieści jeden. – Agata zrobiła skwaszoną minę. Szły dość szybko. Dął silny wiatr.

– I zaśpiewamy – czterdzieści lat minęło...

– Jak jeden dzień.

– Urodzę dwójkę dzieci.

– Ja trójkę.

– A jeśli nie znajdziesz odpowiedniego faceta?

– Są banki spermy.

Roześmiały się.

– Agata, a ty? Czemu nie jesteś w związku? Masz jakiś ukryty defekt czy co?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jakoś mi z facetami nie po drodze. Trafiają mi się jakieś dziwne typy. Dałam za wygraną.

– No, co ty? Ty, wulkan energii. Kobieta, która może wszystko. Musisz walczyć.

– Ileż można walić do tych samych drzwi?

– Nie wpuszczają cię, idziesz do kolejnych.

– To chyba przez ojca.

– Molestował cię?

– Nie, no co ty. Wiesz, on mi nigdy nie powiedział wprost, że mnie kocha, kiedy osiągnęłam jakiś sukces, on nigdy nie pochwalił, tylko mówił, że mogłabym więcej, bo zawsze trzeba podnosić poprzeczkę. Nie wiem, czy chcesz o tym słuchać?

– Mów. Może warto wywalić z siebie ból.

– To nie jest tak, że kaci to tylko mężczyźni, którzy biją swoje dzieci i żony. Są też osoby, które katują cię psychicznie. Za każdym razem, jeśli coś zrobisz, oni powiedzą, że to nie tak, że do dupy. Byłam małą dziewczynką, mama ubrała mnie w lakierki. Pamiętam, kupiła mi takie, o jakich marzyłam, czarne z kokardką. Włożyłam też sukienkę, od cioci z Anglii, taką z zamszu, piękna była ta sukienka i te lakierki. I wystroiłam się w tę sukienkę i buty i okręcałam wokół własnej osi, przed tatą. I czekałam aż coś powie. I powiedział: „Zdejmij buty. W domu nie chodzi się w butach”. I jak ja miałam nauczyć się zdrowych relacji? Jak miałam poczuć się ważna dla jakiegoś mężczyzny, kiedy ten najważniejszy mężczyzna w moim życiu tylko mi przygadywał? Małe dziewczynki szukają zachwyty w oczach ojca. Przeglądają się w jego twarzy jak w lusterku.

– Smutno mi, kiedy tego słucham. Wiesz, co ci powiem... Nie znam go, nie chcę go osądzać, ale postąpił źle. Tata to wzór dla dorastającej małej kobiety, rycerz w zbroi, królewicz i superbohater w jednym. Ojciec nie może pokazywać córce, że miłość do mężczyzny boli. Nie może tego robić.

– Wszystko we mnie według niego jest nie tak. Kiedy schudłam, byłam anorektyczką, kiedy przytyłam, ciągle słyszę docinki, że mogłabym ograniczyć żarcie, że gruba, że brzydka. W jego obecności ciągle boli mnie brzuch. Ciągle się kontroluję, co mam powiedzieć. Przed spotkaniem z nim stresuję się, czy dobrze wyglądam. W rodzinnym domu boję się nawet lodówkę otworzyć, żeby tata nie powiedział, że zjadłam za dużo albo coś nieodpowiedniego. A ostatnio nawet życzenia złe mu złożyłam. To boli. Bardzo boli. Jak można krzywdzić tak swoje dziecko?

– Nie wiem... Czasami boję się mieć dzieci, właśnie dlatego, że popełnię masę błędów.

– Każdy z nas popełnia, ale trzeba się umieć do nich przyznać. Ostatnio widziałam na spacerze ojca z małą córeczką. On był zniecierpliwiony zadawanym w kółko pytaniem: „dlaczego?”. Dziewczynka potrzebowała wyjaśnień: „dlaczego świeci słońce?”, „dlaczego niektóre ptaki fruwią, a inne jak pingwiny nie”, „dlaczego mrugamy?”. W końcu ojciec na nią krzyknął. Ale już po chwili się zreflektował. Kucnął obok małej i przeprosił córeczkę. To było piękne: dorosły facet umiał przyznać się do błędu. Mój tata nigdy tego nie zrobił. We wszystkich napotkanych mężczyznach szukałam akceptacji z ich strony... To było złe. Najpierw muszę sama zaakceptować siebie, by otworzyć się na miłość. Ale jak spotkam tego właściwego, to mu nie odpuszczę.

Zaśmiały się.

– Fajna z ciebie babka.

Agata przytuliła się do Anki.

– Mówisz?

– Ja to wiem. Czasami każda z nas potrzebuje takiego zapewnienia, że z nami wszystko jest w porządku. I te silne, i te słabe. Matki i singielki. Te szczęśliwe w związku i te z potłuczonym sercem powinny od czasu do czasu usłyszeć takie słowa: jesteś fajną dziewczyną, kobietą, babką. Masz tyle do zaoferowania światu, możesz wiele. Jesteś mądra i piękna. Masz gorsze dni i masz do nich prawo.

– Do tego piwa coś ci dorzucili.

– Już wytrzeźwiałam.

Ryknęły śmiechem.

Sobotniego poranka, godzinę przed wyjściem do pracy, Ania napatoczyła się w kuchni na blondyna.

– Chcesz kawy? – zapytał chłopak o rozwichrzonych jasnych włosach, chmurnych oczach i uśmiechu od ucha do ucha. Głos miał ciepły jak mleko z miodem. Nie wiedziała dlaczego, ale właśnie tak jej się skojarzyło. Był średniego wzrostu, o dość atletycznej budowie ciała. Na pewno podobał się kobietom.

– Jeśli możesz trochę odstąpić, to chętnie.

– A wiesz, że mogę ci trochę odstąpić. Zaparzyłem cały termos.

Nalał do kubka kawy.

– Mhm... – Anna podmuchała i napiła się trochę. – Pyszna.

– Brazylijska. – Młody mężczyzna uśmiechał się szeroko.

– Jesteś smakoszem kaw?

– Dostałem w prezencie od pewnej Brazylijki.

Anna uśmiechnęła się szeroko.

– Musiałeś sobie na to zasłużyć, bo kawa smakuje wyśmienicie.

– Chyba tak. – Puścił do niej oko. – Na mnie już czas.

– Praca?

– Dziś szkoła.

– Uczysz się tu?

– Tak.

– Fajnie.

– Też tak uważam. Oprócz studiowania pracuję też jako taksówkarz.

– Oooo.

– Nie jest to praca marzeń.

– Moja też nie należy do ambitnych. – Kobieta rozłożyła ręce w bezradnym geście.

– Plusy pracy taksówkarza są takie, że czasami trafi mi się spory napiwek i sam sobie ustalam grafik. – Mężczyzna dopił kawę i wyrzucił kubek do kosza.

– I ja mam podobnie. To znaczy nie z grafikiem, ale muszę za coś żyć.

Roześmieli się.

– Michał jestem. – Chłopak wyciągnął rękę.

– Anka.

Od tego czasu Anka z Michałem co jakiś czas pili razem brazylijską kawę. Bardzo polubiła Michała. Czuli, że mogą zostać przyjaciółmi. Zresztą on miał swoją Brazylijkę i przez to czuli się bezpiecznie. Wiedziała, że nie będzie jej podrywał. Nie miała ochoty na związek z żadnym facetem.

Oczywiście, że po przyjeździe do Szkocji trochę balowała. Myślała, że dzięki imprezom zapomni o złamanym sercu, tak się rzecz jasna nie stało. Ani wódka, ani inny facet nie były plasterkiem na jej złamane serce. Spotykała się z jednym Szkotem, potem z Walijszczykiem, obaj kochali nocne życie i imprezy. Kiedy któregoś dnia Anna wstała z łóżka na kacu i spojrzała w swoje odbicie, powiedziała:

– Dość!

Jej oczy były przekrwione, worki pod oczami sięgały policzków, skóra na twarzy była poszarzała, a na czole miała kilka wyprysków. Włosy przetłuszczone i skołtunione.

– Dość! – powtórzyła.

Wzięła prysznic, nałożyła na twarz zbyt grubą warstwę makijażu, łyknęła paracetamol i postanowiła, że zacznie żyć inaczej.

Rozdział 4

Anka wsypywała do frytkownicy mrożone frytki, kiedy za plecami usłyszała męski głos.

– Eee!

Miała ochotę go zignorować, bo nie jest przecież żadnym „eee”, ale mąż szefowej miał tego dnia zły humor, a ona nie chciała stracić pracy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się sztucznie.

– Frytki z sosem vinegar, tylko sos osobno, a nie polany na frytki. Chcę jeszcze stek.

– Nie mamy steków.

– A tutaj jest napisane, że macie.

– Tutaj jest napisane – Anka wbiła palec w menu – oferta specjalna ważna od poniedziałku do piątku.

– A co dzisiaj mamy? – Gruby, łysawy mężczyzna podrapał się po czole.

– Sobotę.

– A czemu nie macie steków w sobotę?

– Bo nie mamy.

– Ależ jesteś niemiła. – Grubas świdrował ją wzrokiem. A ona miała ochotę wyjść zza lady i wbić mu paluch w jego tłusty brzuch.

– Pan też – odparła.

– Słucham? Przyszedłem złożyć zamówienie.

– I nie usłyszałam ani razu „poproszę”, „dziękuję”, „dzień dobry”.

– Masz ciężki dzień? – Mężczyzna wgapiał się w Ankę małymi oczkami, ukrytymi pod fałdami tłuszczu.

– A ty?

Facet wytrzeszczył oczy.

– Frytki z sosem vinegar – powtórzył jak do mało rozbudzonej osoby. – Tylko sos obok. I ryba. Wysmażona dobrze. Jest dorsz?

– Jest halibut.

– To halibuta.

– Poproszę. – Anna wyszczerzyła twarz w sarkastycznym uśmiechu.

Boże jedyny, czy ludziom naprawdę jest tak trudno powiedzieć „poproszę” czy „dzień dobry”? Czy ona jest robotem, czy człowiekiem?

Tego dnia trafiali jej się sami nieżyczliwi ludzie.

– Co tam? – Agata przyszła do pracy na trzynastą.

- Dzień chama.
- Znowu? – Kobieta zawiązywała sobie fartuszek.
- Znowu.
- Co za ludzie. – Agata myła ręce i kręciła głową.
- Trochę życzliwości jeszcze nikomu nie zaszkodziło.
- Dla niektórych, jak widać, życzliwość jest jak trutka.
- Dwie godziny później do środka wszedł facet od vinegaru i niedoszłego steka.
- Paniusiu. – Nachylił się w stronę Anny. W kącikach jego ust Anka zobaczyła resztki ketchupu.

Jego oddech cuchnął octem.

- Słucham? – powiedziała z bolejącą miną.
- Mam dla ciebie dobrą radę. – Grubas widocznie był z siebie zadowolony, bo uśmiechał się od ucha do ucha.
- Słucham?
- Ktoś powinien cię porządnie wybykać.
- Że co?

Gbur zarechotał i wyszedł. Anna stała oniemiała.

- Co się stało? – Agata podawała tackę z frytkami pryszczatemu małolatowi, ale odwróciła głowę w stronę oniemiałej Anki.
- Facet dał mi dobrą radę. – Anka potrzasnęła głową i wróciła do rzeczywistości.
- Jaką?
- Żebym się wybykała.
- Kobiety ryknęły gromkim śmiechem.
- Ty, ale skąd on o tym wiedział, że ty od dawna nic nie teges?
- Nie wiem, może mam to wypisane na czole?
- Znów się śmiały.

- Na dzisiaj kończę. – Cztery godziny później Anna usiadła na taborecie i zaczęła rozmasowywać bolące łydki.

- Jak ci dobrze. Za mną dopiero półmetek. Masz jakieś plany na wieczór? – Agata wyjęła z zamrażarki dwie torebki frytek.
- Będę chodziła po mieście i nawoływała facetów, żeby mnie bzyknęli.
- Wariatka.
- Mam w planach kupić wino z dolnej półki i paluszki. Walnąć się na wyro i leżeć.
- I pić.
- I podzerać paluszki.

Anna zdjęła fartuszek i włożyła go do szafki.

- To spadam.
- Cześć. – Agata machnęła w stronę koleżanki.
- Anka poszła do tylnego wyjścia, odbiła kartę i pchnęła drzwi. Zardzewiałe zawiasy pisnęły.
- Kobieta szła szybkim krokiem w stronę przystanku, grzebiąc w torebce.
- Nagle się z kimś zderzyła.
- Cholera jasna! – syknęła po polsku.
- Uważaj, jak idziesz! – ktoś też odpowiedział w ojczystym języku.
- Michał? – Anka uniosła głowę.
- Anka?

Roześmieli się.

- Łazisz jak nieprzytomna.
- Daj spokój, miałam ciężki dzień w pracy. A ty co?
- Michał się zarumienił.
- Idę do...

- Brazylijki?
- No tak. Taki miałem zamiar, ale skoro ty miałaś kiepski dzień, to może wyskoczymy gdzieś na drinka? Jeśli chcesz, możesz się wypłakać na moim ramieniu.
- Nie mam ochoty.
- Serio?
- Tak. Leć.
- Ale... – Michał wolałby spędzić wieczór z Anią. Od początku dziewczyna przypadła mu do gustu. Była trochę zagubiona, ale bardzo inteligentna i miała takie samo poczucie humoru jak on.
- Leć, leć. – Co ciekawe, Anka też chciała z nim iść na drinka, ale wiedziała, że chłopak spieszy się do dziewczyny.

Rozdział 5

Anka stała w kącie, trzymając w ręce drinka. I po cholere dała się wyciągnąć do klubu? Muzyka ją drażniła. Towarzystwo było od niej z dziesięć lat młodsze. Wolałaby zostać w domu i obejrzeć jakiś film. Agata widać dobrze się bawiła. Była wyluzowana, otwarta na nowe znajomości.

– To nie chodzi o wiek... Każdy może się dobrze bawić – powiedziała Agata kilka minut wcześniej, zanim porwał ją do tańca jakiś dwudziestolatek. „Eteryzna i piękna” – pomyślała o koleżance Ania. Mężczyźni ją uwielbiali. Nie tylko urodę, ale i sposób bycia. Jednak Agata z żadnym z napotkanych mężczyzn nie miała ochoty tworzyć związku. Anna znacznie różniła się od Agaty. Trudno zawierała nowe znajomości, nie oczarowywała mężczyzn od pierwszego wejrzenia i nie lubiła klubów i dudniącego w uszach łupu-cupu.

Spojrzała na Michała. Stał w towarzystwie dwóch blondynek, które prześcigały się w tym, aby zwrócić na nie uwagę. Po krótkiej konwersacji z dziewczynami Michał podszedł do Anny.

– No, no, no. – Anka puściła do niego oko.

– Co? – zapytał zdziwiony.

– Masz branie.

– A ty nie?

– Spójrz na te dziewczyny, są ode mnie z dziesięć lat młodsze.

– No i?

– No i wszystko w temacie. – Ania się roześmiała.

– Masz kompleks wieku?

– Nie. Jestem tylko realistką. I wiem, że dwudziestolenni mężczyźni będzie rwał dwudziestkę.

– Ale trzydziestolenni nie oprze się doświadczonej trzydziestce.

Znów się zaśmiali.

– Zatańczymy? – Michał odstawił pustą butelkę na stoliku i wyciągnął rękę w stronę Ani.

– Wolałabym stąd przysnąć. – Kobieta również odstawiła szklankę z niedopitym, mdłym drinkiem.

– Ja w sumie też.

– A blondynki?

– Że co? – Michał musiał się nachylić w stronę Anny, bo muzyka zagłuszała jego słowa.

– Nic. Chodźmy.

Anka spojrzała na Agatę, która bujała się w ramionach młodego chłopaka.

– Ona nie będzie chciała z nami wracać. – Michał szturchnął Anię i ruchem głowy wskazał na tulącą się parę.

– Zapytam.

Anka podeszła do Agaty.

– Nie, no, co ty. Nie wracam. – Agata posłała koleżance promienny uśmiech.

– Tylko zamów potem taksówkę.

– Tak jest, mamó! – Agata zasalutowała.

Po chwili Anna i Michał znaleźli się na zewnątrz.

– Ufff. Cichooo... – westchnęła Anna.

– Nareszcie.

– Myślałam, że ci się podobało?

– Chyba już nie kręcą mnie takie klimaty. Jeszcze dwa lata temu, tak. Dziś mówię pas.

– Ale blondynki tak?

Zaśmiał się.

– Zdziwiłabyś się. Ładne może i były. Za bardzo zrobione i wytapetowane. Podobają mi się kobiety, które coś widziały, coś przeżyły. Z którymi mogę o czymś ciekawym porozmawiać.

– Stare baby?

– Po trzydziestce.

– Jaja sobie robisz?

– Nie. Dojrzałe owoce są najlepsze w smaku.

– Poeta czy co?

– Chodźmy. – Michał złapał Annę pod rękę, a ona pod wpływem jego słów uśmiechnęła się.

Szli krętymi, wąskimi uliczkami starego miasta.

– Wiesz, jak nazywa się ta część starówki? – zapytał Michał.

– Hmm?

– Mary King's Close. Ta część miasta była kiedyś zamieszкана przez biedotę Edynburga. Mary King's Close to fragmenty średniowiecznych kamienic, korytarzy i ulic, które znalazły się pod ziemią w wyniku dobudowywania kolejnych pięter. Niegdyś miasto było otoczone murem i mieszkańcy mogli powiększać swoją przestrzeń życiową jedynie w górę. W czasie epidemii dżumy wejścia Mary King's Close zostały zamurowane, grzebiąc żywcem jego mieszkańców. To miejsce było świadkiem wielu ludzkich dramatów. Na porządku dziennym były tu gwałty i morderstwa. Kompleks zbudowano na bagnach i krążyły plotki, że przez działanie ułatwiających się z nich gazów ludzie ulegali halucynacjom. Jak chcesz, kupię ci bilet i pozwiedzamy podziemne korytarze.

– Daj mi spokój. – Anka złapała za rękę Michała.

– Ludzie przybywający tam z całego świata mają dziwne doznania. Zdarza się, że dostrzegają te same rzeczy, na przykład ducha małej dziewczynki, która płacze, bo zgubiła lalkę. W podziemiach jest nawet jej specjalny pokój, gdzie turyści zostawiają zabawki. Inni dowodzą, że zobaczyli cienie zwierząt bez głów. Znane są też relacje ludzi, którzy niczego nie widzieli, ale źle się poczuli fizycznie. Na zasłabnięcia czy omdlenia organizatorzy są również przygotowani.

– Wiesz co?

– Co? Chcesz tam iść? Teraz? W nocy?

– Nie. Marzę o tym, by wrócić do domu i położyć się na materacu.

– Dobrze, że zaznaczyłaś: „na materacu”. Zjesz jutro ze mną kolację?

– Kolację?

– Tak. Nic wielkiego. Kolacja odbędzie się ta-dam... – Michał rozłożył ręce – w naszej kuchni.

Kiedy mam okazję, lubię pichcić.

– A wiesz, że z przyjemnością.

Anna czuła się dość dziwnie, kiedy na stole pojawiły się dwa talerze i dwa kieliszki wina. Dawno nie jadła z żadnym mężczyzną kolacji. Kiedy przyjechała do Szkocji, bawiła się z mężczyznami, ale żaden nie zaprosił jej na kolację. Michał był tylko kolegą i dobrze o tym wiedziała, ale czuła, jak ogarnia ją panika. W końcu stwierdziła, że wolałaby zjeść kolację sama i nie taką, zaprawianą winem. Już miała

wyjść z kuchni, kiedy natknęła się na Michała.

– Jestem.

– Oooo – jęknęła.

– Nie wyglądasz na zadowoloną. – Roześmiał się.

– Nie, czemu? – Anna była spięta.

– Przygotowałem placki ziemniaczane.

– Uwielbiam.

– Z łososiem i dipem jogurtowym.

– Prawdziwy kucharz z ciebie.

– Akurat placki ziemniaczane są moją specjalnością. Siadaj. – Wskazał na taboret.

Anna usiadła, w tej samej chwili do kuchni weszli Piotrek i Kaśka, współlokatorzy.

– A wy co? Randka? – parsknął Piotrek.

– A co, zazdrościsz? – Michał włożył placki na talerz.

– My z Kaśką to jak stare dobre małżeństwo – zakomunikował Piotr. – Jesteśmy razem od dwunastu lat.

Kaśka przewróciła oczami.

– Bierz te chipsy i nie przeszkadzajmy. – Dziewczyna szturchnęła partnera.

– Ale my... – próbowała tłumaczyć Anna.

Kaśka posłała jej promienny uśmiech. Po czym oboje wyszli z kuchni.

Michał uśmiechnął się i pchnął drzwi nogą.

– Mam nadzieję, że nikt już nam nie będzie przeszkadzał.

Żołądek Anny skręcał się ze zdenerwowania.

„O czym będę z nim rozmawiać?” – pomyślała.

– Mam ochotę tylko na placki, obiecuję, że ciebie nie tknę – zażartował Michał.

– Słucham?

– Masz taką minę, jakbyś obawiała się, że zjem cię na deser.

– Nie. Po prostu... Nieważne.

– Należę ci wina, może lepiej się poczujesz.

I faktycznie po dwóch wypitych kieliszkach Anna czuła się znacznie swobodniej.

– A więc jesteś taksówkarzem.

– Jestem taksówkarzem – potwierdził. – W Polsce pracowałem w banku, tutaj na taksówce.

– Uciekłeś z banku? – Anna zebrała włosy z twarzy. Kilka dni temu była u fryzjera. Nowa fryzura, mocno wycieniowana, drażniła ją, a włosy non stop opadały na twarz.

– Tak. Nie lubię chodzić w garniturach. – Roześmiał się i pociągnął łyk wina.

– Ale praca taksówkarza jest chyba niebezpieczna?

– Powiem tak: jest bardzo ciekawa. Nie jest to moja praca marzeń, ale po trzech latach zdołałem odłożyć na wkład własny na mieszkanie. Tylko na razie nie wiem, gdzie chcę to mieszkanie kupić.

– Ciągnie cię do Polski?

– Tak. A ciebie?

– Na chwilę obecną nie. Zostawiłam za sobą bolesne wspomnienia.

– Rozumiem. – Michał rozlał pozostałe wino do kieliszków.

– Kiedyś ci o tym opowiem, a teraz ty opowiedz mi o pracy taksówkarza.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy klientki oferują ci zapłatę w naturze? – Puściła do niego oko. Michał był przystojny, co na pewno nie umykało uwadze klientek.

– W piątkowe i sobotnie wieczory tak. Zdarzyło mi się.

– Młode, wolne, ładne...

– Najczęściej mężatki.

– Naprawdę?

– Nooo... Chyba marzy im się jakaś przygoda.

Zaczęli się śmiać.

– Wydaje mi się, że każdemu z nas marzy się jakaś przygoda – kontynuował. – Wożę facetów do burdeli, mężatki do kochanków, zakochanych, którzy nie mogą powstrzymać rąk i obmacują się na tylnym siedzeniu. Dilerów po towar. Kobiety ze złamanym sercem, które wylewają łzy i pytają mnie: co dalej? Raz jeden gówniarz nie chciał mi zapłacić za kurs. Kiedy zapowiedziałem mu, że wzywam policję, wyciągnął nóż.

– Jezuuu... – Anna jęknęła.

– Na szczęście przechodziła jakaś para, gnój się przestraszył i uciekł.

– To straszne.

– E tam... Są straszniejsze rzeczy, chociaż przyznaję, miałem pietra.

– No nie dziwię się.

Zjedli placki. Anna dopiła wino.

– Dziękuję za cudowną kolację. – Uśmiechnęła się do Michała.

– I mi było miło. Musimy to powtórzyć.

– A co na to powie twoja Brazylijka?

– Jest dość wyrozumiała, poza tym nie lubi moich placków ziemniaczanych.

Anna się roześmiała.

– Nie wie, co traci.

– Pewnie nie wie. – Spojrzeli sobie w oczy. Już po chwili Anka odwróciła wzrok.

– Lubię samotność – powiedziała Anna, wstając od stołu. Michał też się podniósł.

– Ja w sumie też, ale nie lubię czuć się osamotniony. A kolację lubię jeść w towarzystwie.

– Dlaczego?

– Lepiej mi smakuje.

– Mam fajne koleżanki, które nie pogardzą twoim towarzystwem. – Anna puściła do niego oko.

– Chętnie skorzystam. – Michał się roześmiał.

Anka wróciła do pokoju. Agata spała, a ona była jakaś dziwnie rozmarzona. Serce tłukło jej się w piersi. Polubiła Michała od pierwszej brazylijskiej kawy. Roześmiała się cichutko.

Rozdział 6

Od kilku tygodni Anna pracowała w biurze. Z hotelu ją zwolniono, bo na jej miejsce pojawiła się córka znajomego szefa. Jej stanowisko w biurze brzmiało dość ładnie na papierku: *Administration Assistant*, w rzeczywistości odwaliała najgorszą robotę. Oczywiście, nie pracowała w kamieniołomach ani też nie sprzątała pokoi w hotelach, nie musiała użerać się z zawistnymi rodaczkami. I w sumie była zadowolona, ale każdy dział w firmie spychał na nią robotę. Bardzo często się nie wyrabiała. A to trzeba było skserować faktury z całego roku, a to musiała lecieć po catering dla ważnych gości do restauracji, a to na pocztę, do banku. Najbardziej jednak wkurzała ją Harper. Kochanka szefa, która była jej bezpośrednią przełożoną, czyli szefem wszystkich asystentek w biurze. Nie robiła dosłownie nic. Siedziała za biurkiem, pachniała i wyglądała. Nie to, że Anna jej tego „pachnienia” zazdrościła, bo na samą myśl o tym, że miałyby się położyć do łóżka z tym obleśnym typem Roganem, na jej ciele pojawiała się gęsia skórka. Do tego Harper naśmiewała się z ludzi, szczególnie z obcokrajowców pracujących w firmie. Oczywiście, nie robiła tego wprost, żeby nie być posądzoną o rasizm.

W palarni nie raz Anna słyszała:

– *7 poudns per hour*. Ha ha ha ha – wyśmiewała zarobki innych.

Anna miała ochotę wlecieć tam i powiedzieć jej: – Wolę swoje *seven pounds* od twoich wyruchanych *twenty pounds*. Ha ha ha.

Pierwsze spotkanie z Harper Anka uważała za mało udane. Nie to, że kolejne były jakies wspaniałe. Nowa szefowa weszła do biura, bez powitania i rzuciła do Anki:

– Kawa.

– Kawa? – Anka stała oniemiała. – Ale jaka? Cappucino, espresso? Z cukrem? – zaczęła wyrzucać z siebie słowa z twardym polskim akcentem.

Odpowiedziało jej trzaśnięcie drzwi.

Annę ogarnęła panika, a serce zaczęło jej bić jak szalone. „I czym się przejmujesz?” – mówiła do siebie w myślach. – To tylko kawa, głupia kawa.

Weszła do kuchni i zaczęła przeszukiwać szafki w nadziei, że znajdzie kawę.

– Cześć. – Usłyszała za sobą głos i aż podskoczyła.

– Cześć. – Odwróciła się. Przed nią stała dziewczyna o śniadej karnacji i kręconych włosach. – Szukam kawy. – W głosie Anny wyczuć można było przerażenie.

– Ja też zawsze z rana muszę wypić kawę. – Młoda kobieta uśmiechnęła się do Anny, ale Anna była tak przerażona, że nie odwzajemniła uśmiechu.

– Nie, nie dla mnie. Dla szefowej, Harper. – Anna zaczęła się jąkać, a na koszuli pod jej pachami zaczęły wykwić plamy potu.

– Współczuję.

– Słucham?

– Nie. Nic, też jest moją szefową. Leć do costy. Zamów jej latte, z odtłuszczonym mlekiem. I weź ze sobą dwie torebki brązowego cukru.

– Dzięki. – Anna pobiegła w kierunku windy.

Mijały dni, Anka przyzwyczaiła się do zachowania Harper, o ile do takiego zachowania w ogóle można się przyzwyczaić. Była dziwna. Niekiedy miła, innym razem niezadowolona ze wszystkiego i naburmuszona.

W poniedziałkowy ranek Harper weszła do biura i pierwsze, co zarobiła, to otaksowała wzrokiem Annę. Anka nigdy nie zwracała uwagi na to, co wkłada na siebie, jednak wczorajszego dnia Agata powiedziała jej, że wygląda jak Sierotka Marysia. Dlatego dzisiaj wstała wcześniej, włożyła spódnice i białą bluzkę, a także się pomalowała i zakręciła włosy.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do Harper.

– To nie rewia mody – syknęła tamta. – Za mocno umalowałaś usta. Przyjdą petenci i pomyślą...

– Harper sama nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Anna zaczerwieniła się po same koniuszki uszu.

– Dzisiaj pracujesz w archiwum.

– Dlaczego? – Wiedziała dobrze, że Harper była zazdrosna, bo przecież to ona powinna błyszczeć i przyciągać uwagę.

– Bo jest dużo rzeczy do zrobienia w archiwum.

– Wczoraj mówiłaś...

– Wczoraj było wczoraj, a dziś jest dziś.

Mimo szukan Harper Anna lubiła swoją pracę. Znalazła wspólny język z innymi pracownikami. Szczególnie zbliżyła się z Sorayą, Hiszpanką, z którą wychodziły na „dymka”. Anna nie paliła, towarzyszyła Hiszpance. W palarni plotkowały i zaśmiewały się do łez, obgadując bezczelnie Harper.

Tuż przed czwartą Anna wyłoniła się z archiwum.

– Poukładałam segregatory alfabetycznie – zwróciła się do szefowej, która układała pasjansa.

– Dobrze. – Harper wciąż miała nadąsaną minę.

W tej samej chwili drzwi gabinetu dyrektora się otworzyły i wyszedł z nich kochanek Harper. Rogan we własnej osobie. Guziki koszuli na jego brzuchu się nie dopinały, a z resztek włosów, które jeszcze posiadał, zrobił sobie zaczeskę. Anna się wzdrygnęła, a przełożony się uśmiechnął, ale o dziwo nie do Harper, a do Anny.

– O, Anna, ładnie dzisiaj wyglądasz – skomplementował kobietę.

– O, dziękuję. – Anna odwzajemniła uśmiech, wiedząc, że Harper kipi z zazdrości.

Kiedy dyrektor zamknął się w swoim gabinecie, Harper wycelowała palec w Annę.

– We czwartek ty i Soraya przeniesiecie wszystkie segregatory z poprzedniego roku do archiwum.

Anię rozbawiła ta sytuacja, ale siłą woli powstrzymała wybuch śmiechu.

Kamil powoli wchodził po schodach. Padał z nóg po nocnym dyżurze. Przyjechał do Wielkiej Brytanii, by zdobyć nowe umiejętności jako lekarz. Był tak zmęczony, że nawet wchodzenie pod górę stawało się dla niego męczarnią. W zeszłym tygodniu miał cztery nocne dyżury, których jeszcze nie zdołał odespać. Gdy mijał kolejne piętro, jedno z drzwi się otworzyły.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się młoda kobieta. – Słyszałam, że jesteś z Polski.

– Dzień dobry. Tak – burknął. Nie miał ochoty z nikim się zaprzyjaźniać. Był samotnikiem, który cenił ciszę i spokój. Już kilka razy widział sąsiadkę, która była głośna i paplała non stop. Nie lubił

gadatliwych ludzi.

– Agata. – Kobieta podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Mężczyzna potrząsnął nią.

– Przepraszam, nie dosłyszałam imienia.

– Kamil.

– Cześć, Kamilu. – Uśmiechnęła się. – Niech zgadnę, jesteś lekarzem.

– Nie zgadłaś, tylko o tym wiedziałaś. Twój kolega czy też chłopak, czy mąż, nieważne kto – ktoś, kto z tobą mieszka – był w szpitalu, w którym pracuję. Stąd wiedziałaś.

– Nie mam męża ani chłopaka, ani narzeczonego, ani nawet „ktosia”.

– Nieważne. Wybacz, ale idę się położyć. Miałem ciężką noc.

– Do zobaczenia.

– Na pewno – znów burknął i ruszył na górę.

„Gbur, ale przystojny” – pomyślała Agata. Nie wiedziała, czym ją ujął, ale bardzo jej się spodobał. Może dlatego, że nie był tacy jak inni mężczyźni, którzy wodzili za nią maślanym wzrokiem i jedyne, o czym myśleli, to to, żeby jak najszybciej zaciągnąć ją do łóżka. Nie miała pojęcia, dlaczego, ale chciała go lepiej poznać.

Dwa dni później, kiedy Kamil ćwiczył, usłyszał pukanie do drzwi. Otarł spocone czoło ręcznikiem i otworzył.

– Cześć, pamiętasz mnie? – W progu stała sąsiadka.

– Agata.

– Tak, to ja. – Kobieta uśmiechała się promiennie. – Przeszkadzam? – Spojrzała na plamę potu na jego koszulce.

– Ćwiczyłem. Więc chyba przeszkadzasz.

– Ja tylko na chwilę. Chciałam pożyczyć jajko.

– Jajko?

– Jajko.

– Nie mam jajek.

– Jesteś weganinem?

– Nie, nie jestem.

– To sól.

Kamil zmrużył oczy.

– Musiałam wymyślić jakiś pretekst, żeby cię zobaczyć. – Agata uśmiechnęła się swoim najpiękniejszym uśmiechem, który serwowała facetom.

– Czyli nie chcesz ani jajka, ani soli?

– Nie, ale możesz zaprosić mnie na kawę.

– Skąd wiesz, że nie mam żony ani dziewczyny?

– Ani narzeczonej. – Agata się roześmiała. – Zakładam, że nie. Trochę ryzykuję. Ale kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Kamil się uśmiechnął.

– W sumie racja, ale może nie chcę cię zaprosić na kawę.

– Dlaczego?

– Bo cenię sobie ciszę i spokój.

– Za dużo gadam?

– Ty to powiedziałaś.

– Zaryzykuj. Jak ci się nie spodoba, to...

– Przeszaniez mnie nękać – wszedł jej w słowo.

Umówili się na kawę dwie godziny później, gdyż Agata stwierdziła, że nie ma na co czekać. Kiedy Kamil brał prysznic, uśmiechnął się do siebie. „Co za baba” – pomyślał. Fakt, miała ładną buźkę, rewelacyjną figurę, ale jej charakter mu nie odpowiadał. Nie lubił narzucających się dziewczyn.

O dziwo, spotkanie z Agatą minęło Kamilowi szybko, za szybko. Co i raz wybuchał niepohamowanym śmiechem. Okazało się, że dziewczyna jest inteligentna, dowcipna i rozgadana.

– To jak? – zapytała Agata, kiedy weszli do klatki.

Mężczyzna przysunął się bliżej i pocałował ją. Agata nie mogła w to uwierzyć.

– Sama mówiłaś, że nie ma na co czekać.

Roześmieli się.

Po ciężkim dniu w pracy Anna marzyła tylko o tym, aby wziąć prysznic i się położyć. Niestety, łazienka była okupowana, a pokój zajęty przez jakąś parę. Usiadła na taborecie w kuchni. Po chwili pojawiła się Agata z przewieszonym przez ramię ręcznikiem i kosmetyczką w dłoni.

– Łazienka jest okupowana – syknęła Anka.

– Tylko żeby za dużo tej kupy tam jednak nie było.

– Że co?

– Powiedziałaś, że jest „okupowana”.

Roześmiały się.

– Jestem pierwsza w kolejce – powiedziała Anka, dudniąc palcami w blat stołu.

– Skoro musisz...

– Muszę, muszę.

– Jak w robocie? – Agata ugryzła kawałek jabłka. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

– Cały dzień pracowałam w archiwum. W mrocznej piwnicy, bez okien, wśród tumanów kurzu.

– Ale duchów tam nie było?

– Oj, już przestań mnie straszyć, bo następnym razem to ja tam ducha wyzionę, jak tylko usłyszę skrzypnięcie podłogi.

– Niech zgadnę, Harper cię tam zagoniła? – Anna opowiadała Agacie o Harper.

– Niestety. Nie mogła przeżyć, że wyglądam lepiej od niej.

Agata się roześmiała.

– Nie mogę pojąć tych wszystkich zazdrosnych babsztyli. Jednego dnia ja ładniej wyglądam, drugiego ty. Jednego dnia mi coś wychodzi, potem tobie. Nie należy się przejmować. Bo wszędzie znajdzie się taka flądra, która ci krwi napsuje.

– Dlatego lepiej jest pracować z facetami.

– To fakt, to fakt. Wyobraź sobie biuro, gdzie połowa kobiet w tym samym czasie ma pms, ktoś nadepnął im na odcisk, hormony buzują, a złość paruje uszami.

– Masakra.

– Kto tam tyle siedzi? – zapytała Agata, wskazując głową na drzwi do łazienki.

Anka podeszła do drzwi i zapukała.

– Kto tam okupuje łazienkę?

– My – odezwali się Kaśka z Piotrkim.

– Myślałam, że wy jesteście parą z długim stażem i nie w głowie wam wodne igraszki?

– Oszczędzamy na wodzie. – Anka usłyszała chichot.

– Zanim oni wyjdą, to my zdążymy coś zjeść – zwróciła się do Agaty. – Co my tu mamy? – Anka z Agatą zaczęły przeszukiwać szafki i lodówkę.

– Za wiele tego nie ma... Jajka, mąka, mleko...

– Ja mam dżem i ser.

– Naleśniki z serem i dżemem? – zaproponowała Agata.

– Mniemam. Ty smażyysz, ja smaruję.

– To żeś mi dobrze zrobiła. Ale dzisiaj mogę. – Agata się roześmiała.

– Premię dostałaś? Podwyżkę? Czy usmażyłaś tonę frytek?

– A nie. – Agata wbiła jajko do miski. – Poznałam fajnego faceta.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Lekarz.
- Szkot?
- Polak. Cichy, spokojny, mądry. Opiekuńczy. Duży.
- Wysoki?
- Wysoki i dobrze zbudowany. Żaden lalusz, o nóżkach jak patyczki i rurkach zamiast spodni.

Dużo gadamy, śmiejemy się.

- Czyli spotykacie się już od jakiegoś czasu? – Anka uściskała Agatę.
 - Nie. Byliśmy wczoraj na kawie. Ale ja już wiem, że to ten.
- Anka się roześmiała i pokiwała głową.
- Jest naszym sąsiadem. – Agata nie kryła podekscytowania.
 - To ten lekarz z góry, o którym mówił Piotrek?
 - Właśnie ten.
 - Jak go poznałaś?
 - Na klatce. Zaczepiłam go, a potem poszłam pożyczyć jajko.
 - Jajko?
- Agata opowiedziała Ani całą historię zapoznania Kamila.
- Gdyby nie ja, to on by tam sobie samotnie siedział.
 - Wzięłaś sprawę w swoje ręce.
 - Dokładnie.

Anka wbiegła do biura za pięć ósma. Odwiesiła płaszcz i zmieniła buty.

- Cześć – rzuciła do Sorayi, która siedziała przy biurku z miną cierpiętnicy.
- Cześć – burknęła tamta.
- A tobie co? – Anka spojrzała na bladą twarz koleżanki.
- Kac gigant. – Soraya jęknęła niczym zranione zwierzę.
- Zaraz rozpuszczę ci aspirynę. Musisz być na chodzie, bo czeka nas spora harówka.
- Ta suka naprawdę myśli, że będziemy przenosić setki segregatorów do archiwum?
- Tak. – Ance też nie uśmiechała się ta robota, ale wiedziała, że Harper nie zmieni zdania. Tego dnia Anka nawet się nie pomalowała, by nie drażnić Iwa, a raczej Iwicy.
- Dotąd nikomu one nie przeszkadzały.
- Jej zaczęły przeszkadzać, odkąd jej kochaś się wczoraj do mnie uśmiechnął.
- Co za żalonna pipa.
- Pij. – Anka podała Sorayi kubek z rozpuszczoną aspiryną. Tamta pociągnęła łyka i skrzywiła się.

- Nie powiem, żeby mi smakowało.
- Pij, nie gadaj, poczujesz się lepiej.

W tej samej chwili do biura weszła Harper. Uśmiechnęła się szyderczo.

- No, moje kochane, mam nadzieję, że jesteście gotowe do pracy. Czeka was męczący dzień – zachichotała ze swoich słów.
- „Co za debilka” – pomyślała Ania.

Przed trzynastą kobiety przeniosły wszystkie segregatory na miejsce. Opadły na krzesła.

- Nie czuję rąk – westchnęła Ania.
 - Ja za to czuję, jak bardzo się spociłam. – Soraya wykrzywiła twarz.
- Roześmiały się.

Do gabinetu Harper jak burza wleciał dyrektor handlowy. Dziewczyny nie słyszały, co mówi, ale po chwili z gabinetu wyłoniła się Harper i James.

- Przepraszam cię, mój drogi. – Harper, jak miała w zwyczaju, płaszczyła się przed dyrektorem, trzepocząc przy tym rzęsami. – Tak, oczywiście, segregatory powinny być u ciebie w biurze, zaglądasz do nich codziennie. Tak, tak. Moje dziewczyny widocznie nie zrozumiały polecenia.

– Miałyśmy je przenieść do archiwum – powiedziała Soraya.
– Ależ skąd. – Harper zaczęła kręcić. – Angielski nie jest waszym pierwszym językiem, więc nietrudno o pomyłkę.

– No tak, no tak. – Dyrektor handlowy pokręcił głową.

Kiedy James zniknął za drzwiami, Harper zwróciła się do kobiet.

– Słyszałyście, zaszła pomyłka, segregatory muszą wrócić na swoje miejsce.

– Ale...

Harper odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami.

– Co za franca – psioczyła Soraya.

– Nigdy nie umie przyznać się do błędu. – Anka również nie miała wesołej miny. Wykonały mrówczą robotę, którą teraz musiały odkręcać.

– Musisz się przyzwyczaić do jej zagrywek.

– Ciężko się przyzwyczaić do czegoś takiego.

– Bierzmy się do roboty, bo nas tu północ zastanie. – Hiszpanka ruszyła w stronę archiwum.

Anka wyszła z biurowca kilka minut po siedemnastej. Po przeciwnej stronie zobaczyła Agatę, która do niej machała. Przeszła na drugą stronę.

– Cześć! – Agata uściskała koleżankę.

– Cześć. Co ty tu robisz? Nie mów, że przechodziłaś?

– Przyszłam do ciebie.

– Czyli mam osobistego stalkera?

– Chciałabyś. Chodź na kawę. – Agata złapała Ankę pod ramię.

– Jestem głodna.

– To chodź coś zjemy.

Weszły do włoskiej restauracji tuż za rogiem. Zamówiły carbonarę, sałatkę i po kieliszku wina.

– Nie będę owijać w bawełnę, jestem zakochana. – Agata parsknęła śmiechem. Chyba ze zdenerwowania.

– A więc on, lekarz?

– Kamil. Ma na imię Kamil.

– Gratuluję. Naprawdę cieszę się twoim szczęściem.

Kelnerka postawiła przed nimi parujące talerze z carbonarą.

– Pewnie, że musimy się sprawdzić, dotrzeć, że na początku wszystko oblane jest różem, ale wiem, że to jest to... Że z nim chcę iść przez życie. To znaczy na razie, na razie z nim chcę iść, biec, podskakiwać, łapać chwile. – Anka nie widziała tak podekscytowanej Agaty, odkąd ją znała.

– Korzystaj, korzystaj z tych chwil, ile się da... Nie wiesz, co przyniesie jutro, ale teraz póki jest fajnie, to się z tego ciesz.

Ania uniosła do góry kieliszek wina.

– Za was.

– I za ciebie, kochana.

Ania uśmiechnęła się do Agaty. Przez chwilę poczuła uczucie zazdrości, ale to była tylko chwilka.

– I przy nim, wiesz... Przy nim czuję się dowartościowana, jako kobieta, jako człowiek.

– To najważniejsze.

– Nie muszę udawać kogoś, kim nie jestem.

– Akceptacja to podstawa w każdym związku.

– I rzygam tęczę.

– Że co? – Anka odłożyła widelec.

– Żeby nie było tak filozoficznie i bajkowo.

Wybuchnęły śmiechem.

Rozdział 7

Tego dnia Harper miała skwaszoną minę, co oznaczało więcej pracy dla Anny. Normalnie, kiedy Harper miała dobry humor, rozkładała Annie pracę na kilka dni, a jak zły, chciała, by Anna zrobiła wszystko na już.

– *How are you doing?* – zapytała ją na powitanie Anna.

– *Not well, not well.* – Harper przewróciła oczami. Jej rzęsy były tak mocno wytuszone, że Anna miała wrażenie, że przykleją jej się do górnej powieki, a wielki biust niemal wypływał z opiętego sweterka na klawiaturę. Uniosła dłoń i jakby machając na służącą, powiedziała:

– Mam ochotę na latte z costy.

– No i?

– Czy mogłabyś iść do kawiarni i mi ją przynieść?

– To chyba nie należy do moich obowiązków. – Dwa dni temu było zebranie działu, na którym szef wszystkich szefów Rogan oznajmił uroczyście, że pracownicy w czasie godzin pracy nie mogą wychodzić z biura do kawiarni. W biurze jest rozpuszczalna kawa, z której mogą korzystać pracownicy. Spojrzał wymownie na Harper, która oblała się pąsem.

Harper wbiła w Annę wzrok.

– Okej. Skseruj te segregatory, trzeba lecieć do banku z opłatami, zamówić catering na jutrzejsze spotkanie.

– Pieprz się! – jęknęła po polsku Anna.

– Słucham? – zapytała po angielsku Harper.

– Zrobi się.

Harper rozłożyła na biurku „Daily Mirror” i zatopiła się w lekturze brukowca.

„Szkoła życia pierwsza klasa” – pomyślała Anna. – Ogarniam budżet, faktury, estymacje, prezentacje, delegacje i wszystko, co przyjdzie im do głowy. A Harper nie robi nic i dostaje za to premię.

Ta praca nauczyła Ankę, że zanim powie „nie da się”, sprawdzi wszystkie opcje, oraz że kiedy ktoś mówi, że miejsce asystentki jest pod biurkiem, należy mu powiedzieć, żeby spierdalał na drzewo.

Pod koniec dnia Harper zwołała zebranie działu administracji.

– Chciałam zaznaczyć – dudniła tipsami o blat biurka – że tutaj się pracuje, a nie przychodzi na pogawędkę lub kawkę.

„Hipokrytka” – pomyślała Anka.

– Biuro to też nie palarnia – kontynuowała jej szefowa. – Niektórzy wychodzą na papierosa kilka razy dziennie, zamiast ograniczyć się do jednej lub dwóch przerw. Czas to zmienić. Każde wyjście będzie monitorowane.

– Czy wszyjesz nam jakieś chipy? – zakpił młody chłopak.

Harper poczerwieniała po same koniuszki uszu.

– Nie, będziecie odnotowywać wszystkie wyjścia w zeszycie. Poza tym – omiotła wzrokiem personel – rozmawiamy tutaj w języku angielskim, żebyśmy się wszyscy rozumieli. Tutaj nie arka Noego, gdzie mówiono kilkoma językami.

– Przepraszam... – podniosła rękę Soraya.

– Tak?

– Wieża Babel – poprawiła Harper Hiszpanka.

– Słucham?

– Bóg pomieszał budowniczym języki, dzieląc ludzi na różne narody, by przez to uniemożliwić budowę wieży Babel. W arce Noego płynęły zwierzęta. Chyba że porównujesz nas do zwierząt?

Anka zachichotała. Harper, gdyby mogła, przyłożyłaby Sorayi.

– Nieważne, czy Babel, czy arka Noego. – Harper była już tak czerwona, że zgromadzeni mieli wrażenie, że zaraz wybuchnie.

– Ależ to znacząca różnica.

– Poza tym, wszystkich, którzy nie umieją mówić dobrze po angielsku, wysyłam na kurs. Soraya, Anna...

– Wiedziałam. – Anka nachyliła się w stronę Sorayi.

– Teraz będziecie pracować w archiwum, klient musi się z wami dogadać.

– Do tej pory klienci nas rozumieli – powiedziała Anna.

– Miałam skargi...

„Akurat” – pomyślała Anna.

Po skończonym zebraniu cały dział administracji zapisał się w zeszycie, że wychodzi na „dymka”.

– Ciekawe, w jakim języku mówi Harper? – Soraya wydmuchiwała kółka z dymku.

– Chyba po francusku, kiedy obsługuje Rogana.

W palarni rozbrzmiał gromki śmiech.

Po wyjściu z pracy Ania miała wszystkiego dość. Bolała ją głowa i dopadła ją chandra. Wielka Brytania to kraj chwalcący się, że panuje w nim równość. Ale to nieprawda, w tym kraju, tak jak i w każdym innym, byli równi i równiejsi. Chciało jej się płakać, może to też dlatego, że zbliżał jej się okres? Zadzwoiła do Michała. Umówili się w kawiarni na Lothian Road, którą poleciła jej Soraya.

– Dobra kawa to podstawa – powiedziała koleżanka, a Anka się z tym w stu procentach zgadzała.

– Ale musi być coś jeszcze...

– Dusza. Serce. Atmosfera i zapachy – reklamowała kawiarenkę Soraya. Specyficzny mikroklimat. Kawiarnia idealna. Miejsce, w którym chce się przebywać. Rozmawiać, pracować lub po prostu siedzieć i patrzeć na ludzi. Chłonąc atmosferę. Wbrew pozorom, takich miejsc w Edynburgu jest niewiele. Tam ci się spodoba – powiedziała Soraya.

I faktycznie „Big mess” Anka pokochała od pierwszego wejrzenia. Tutaj nie było dwóch takich samych foteli czy talerzyków, ani obrazów, a jednak wszystko tworzyło spójną całość. Ściany wyłożone były złotą tapetą, na której wisiały obrazy w różnych odcieniach brązu i beżu. Pachniało ciastem i świeżo parzoną kawą. W menu było sto dziesięć rodzajów kawy.

I kilkadziesiąt rodzajów ciast. Ponoć właściciel miał na nie pilne strzeżone receptury.

– Świetne miejsce wybrałaś. – Michał rozglądał się po wnętrzu.

– Takiego mężczyznę jak ty niełatwo oczarować, więc... Znajdziemy tu nie tylko brazylijską kawę.

Michał się zaśmiał.

– Tak między nami, ta brazylijska już mi się przejadła.

– Raczej przepiła.

Roześmieli się.

Zamówili kawę z dodatkiem karmelu i amaretto i po kawałku sernika z prażonymi migdałami.

Anna lubiła rozmawiać z Michałem. Zawsze po rozmowie z nim czuła się tak, jakby mogła góry przynieść.

– Nie cierpię swojej szefowej. Ludzie w robocie okej, ale sama praca... – westchnęła. – To nie dla mnie.

– Ty pracujesz jako asystentka, ja jako taksjarsz, ale dla żadnego z nas obecna robota nie jest szczytem marzeń.

Anka pomieszała kawę.

– No nie jest. Czasami chciałabym mieć jakąś odskocznnię.

– Może założymy razem firmę?

Parsknęli śmiechem.

– I czym będzie się ta firma zajmowała?

– Jeszcze nie wiem. Ale grunt to dobry pomysł. – Szturchnął ją w bok.

– Chciałabym napisać książkę.

– To napisz.

– No co ty?

– Wykształcenie polonistyczne masz.

– To nie wszystko. To trzeba czuć. Zresztą teraz na rynku wydawniczym zbyt duża konkurencja.

Każdy chce coś wydać.

– Ojejku, to ze wszystkim tak jest. Wszędzie jest teraz konkurencja.

– To może trzeba wymyślić coś takiego, co się sprzedaje. Ten miał dobry pomysł z tym kręciołkiem.

– Fidget spinner?

– Tak.

– My możemy przywrócić do łask naszego bączka. Wiesz, taką zabawkę z dzieciństwa.

Anka się zaśmiała.

– Ale wracając do twojej książki, o czym chciałabyś pisać? – Michał nie odrywał wzroku od kobiety.

– Odpowiem banalnie, o życiu. Takie książki się sprzedają.

– To pisz.

– Żarty sobie robisz?

– Nie.

– Wydawnictwa niechętnie wydają debiutantów.

– Po co sobie tworzysz w głowie sztuczne przeszkody? Myślisz, że osoby, które coś osiągnęły, zastanawiały się, co by, było gdyby ciocia miała wąsy? Nie! One nie siedziały w kącie i nie dumały. Brały czekoladę, mąkę, jajka i piekły tort. A wiesz dlaczego?

– Mam odpowiedzieć filozoficznie?

– Ja ci odpowiem. Bo chciały upiec tort i to robiły.

– Coś w tym jest. – Anka zaczęła się śmiać.

– Lubię, jak się śmiejesz.

– Gdzieś wyczytałam, że dobre życie zdarza się ludziom z poczuciem humoru, którzy biorą to, co przynosi, z przymrużeniem oka. Mają trochę szczęścia do innych, trochę farta, bo znaleźli się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Najpiękniejsi ludzie, których znam, to tacy, którzy coś przeżyli, wiele doświadczyli, którzy mają pewną wrażliwość, cały ogrom empatii, otwarty umysł i serce. Nie oceniają ani nie skreślają nikogo, bo zbyt wiele widzieli. Wytrwali, ale pokorni. Piękni ludzie mają złote serca.

– Poczucie humoru masz. Na swojej drodze spotykasz fajne osoby.

– Kogo masz na myśli? – Anka zatopiła widelczyk w cieście.

– Choćby siebie i Agatę.

Anka zmrużyła oczy.

– Coś w tym jest. Może powinnam najpierw poukładać sobie życie?

– To znaczy?

– Nie wiem. Poznać jakiegoś faceta, urodzić mu gromadkę dzieci... – Anna uśmiechnęła się niemrawo.

– A czy nie możesz pisać książki, a w międzyczasie szukać pana właściwego?

– Sama nie wiem, czego chcę.

– Wiesz, że chcesz napisać książkę, a to już coś.

– Może kiedyś...

– Nie ma takiego słowa w kalendarzu jak „kiedyś”.

– Przestań mnie łąpać za słówka.

– Nie kończ przed startem, to byłaby porażka. Od dzisiaj piszesz codziennie kilka zdań.

– Nie dam rady.

– Wiesz, że w tej właśnie chwili okłamałaś samą siebie? Spróbuj, a się przekonasz. Nie wierzysz w siebie? Ale ja w ciebie wierzę.

– To już coś. – Anka pociągnęła łyk kawy. – Duże coś.

Michał położył dłoń na jej dłoni.

– Moja mama zawsze mi powtarzała: jeśli chcesz coś osiągnąć, nie siedź z założonymi rękami na stołku. Jeśli będziesz za długo siedział, to dupsko ci tylko urośnie i nic więcej.

– I co?

– Hmm. Zacząłem biegać.

– Oooo.

– Ale zaprzestałem.

– Czemu?

– Bo mi się nie chce.

– Dobra, to zrobimy tak: ja zaczynam pisać, ty biegać. Ja wydam książkę, ty wystartujesz w maratonie.

– Jezuuuu... – jęknął. – W półmaratonie.

– Okej. Dwadzieścia kilometrów może być.

Podali sobie rękę.

– Ale bez jaj?

– Bez jaj.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Wiesz... – zaczęła Anna. Odwróciła wzrok i spojrzała w szybę. Na zewnątrz padał rześisty deszcz. – Ktoś mnie mocno zranił. Mężczyzna.

– Domyśliłem się.

– Ja też popełniłam kilka błędów.

– No i?

– I wszystko.

– Sparzyłaś się, ktoś złamał ci serce. Popełniłaś błąd. Powiedziałaś o jedno słowo za dużo. Zawsze możesz zrezygnować. Powiedzieć: to nie dla mnie. Ale po co? Tyle przeszłaś już kilometrów, tyle wysiłku włożyłaś w swój plan, który realizujesz każdego dnia.

– Jaki plan? O to chodzi, że ja nie mam żadnego planu. – Anka poczuła, że ogarnia ją irytacja.

– Przyjechałaś tutaj, by zapomnieć. Proces zapominania trwa w najlepsze. Popełniłaś błąd, to go napraw. Nie masz dzisiaj sił. Odpocznij. Chcesz krzycheć, pokrzycz sobie. Może ci ulży. Ale jutro zacznij od nowa. Otrzyj łzy, otrzep kolana. Przeprasz, wypij to piwo, które nawarzyłaś. Zawsze jest jakiś koniec i nowy początek.

- Uwielbiam cię.
 - I z wzajemnością. Co robisz w weekend dwudziestego trzeciego? – zapytał Michał.
 - To już za trzy dni. – Anka zmarszczyła brwi.
 - Tak, wiem.
 - Nie mam jeszcze planów.
 - Jeśli masz ochotę, to zapraszam w podróż na koniec świata.
 - Zwariowałaś?
 - Mówię poważnie.
 - To już za trzy dni.
 - Powtarzasz się.
 - A twoja Brazylijka nie będzie miała nic przeciwko temu?
 - Jest wyrozumiała.
 - Pojedzie z nami?
 - Nie tym razem.
 - Aha... – Anka nie wiedziała czy się zgodzić, czy nie.
 - Obiecuję, że cię nie wykorzystam ani nie ukatrupię. Chyba że będziesz marudziła. – Mężczyzna puścił do niej oko.
 - Zgoda.
 - Czyli jedziemy?
 - Jak miałabym nie skorzystać z takiej okazji? Podróż na koniec świata to moje marzenie.
 - No właśnie, jak?
- Wybuchnęli śmiechem.

Wyjechali po południu w piątek. Kierowali się na północ Szkocji. Mijali strzeliste góry, rozległe wrzosowiska, krystalicznie czyste jeziora. Nie było tutaj dużych miast, drogi były wąskie. Z każdym przejechanym kilometrem Anna coraz więcej wzdychała.

- I jak? – zapytał Michał, dotychczas skupiony na drodze.
- Zakochałam się.
- A mówiłaś, że Szkocja cię wkurza.
- Namiętny kochanek zawsze wkurza.

Michał się roześmiał. Lubił tę dziewczynę za jej żart, za celne uwagi i za to, w jaki sposób się śmiała, w jaki odgarniała włosy. Za bardzo ją lubił.

Anna uchyliła okno. Do środka wdarło się rześkie powietrze.

- To gdzie jedziemy?
 - Mówiłem przecież, na koniec świata. – Zaśmiał się. – Dojedziemy na samą północ, a potem statkiem popłyniemy na wyspę Fair. Fair Isle ma zaledwie osiem kilometrów kwadratowych powierzchni, zdążymy zwiedzić w weekend.
 - To gdzie ja będę przed tobą uciekać?
 - Właśnie, że nie ma gdzie. Wpadasz albo w moje ramiona, albo do wody.
- Znów się roześmieli.

Na wyspę przyплыnęli ostatnim statkiem. Kiedy dotarli do *bed and breakfast*, odebrali klucze do pokoi. Anka położyła się na łóżku i pomyślała, że w sumie fajnie byłoby, gdyby Michał leżał obok niej. Szybko odepchnęła od siebie te myśli. Tymczasem Michał podniósł się z łóżka, chwycił klamkę, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wiedział, że to dla Anki za wcześnie. Zresztą nie chciał psuć tego, co między nimi się zrodziło. Położył się na nowo. Myślał, że nie zaśnie, ale sen przyszedł szybko. Anna natomiast długo kręciła się na łóżku. Raz jej było zimno, raz gorąco. W końcu wstała i zapaliła lampkę. Stała przy oknie. Latarnia morska rzuciła snopy światła w stronę wzburzonego, czarnego morza, a ją ogarnął jakiś dziwny spokój. Dobrze, że tu przyjechała.

Rano po śniadaniu rozpoczęli zwiedzanie. Porywisty wiatr rozwiewał włosy Anny. Gęsta mgła zaczynała się podnosić. Otaczała ich cisza. Szli kamienistą ścieżką. Mijali pastwiska, niewielkie gospodarstwa, owce i krowy.

– Słuchaj. – Anna przystanęła.

– Hmm.

– A gdzie jest droga?

– Jest jedna, jednopasmowa, która biegnie wzdłuż brzegu morza. Chodź, pójdziemy do sklepu.

Musimy się obkupić w jedzenie i alkohol.

– Myślałam, że może pójdziemy wieczorem do pubu.

– Do pubu? – Michał ryknął śmiechem. – A widzisz tu jakiś pub?

– Nie.

– Ja też. Nie ma tu pubów, restauracji, kina ani teatru.

– To w sumie dobrze.

– No, ba. Jesteśmy skazani na swoje towarzystwo.

Skręcili w lewo i ruszyli przed siebie. Po kilkuminutowym marszu dotarli do niewielkiego sklepiku. Mężczyzna, który miał długą siwą brodę, włosy białe jak mleko, związane w kucyk i przepaskę na prawym oku, przypominał Annie starego wikinga.

Kiedy Michał płacił rachunek, starszy mężczyzna odkasznął. Spojrzał na nich i powiedział:

– Badania genetyczne pokazały, że duży odsetek mieszkańców Szetlandów i Orkadów jest spokrewnionych z wikingami. Ja też jestem potomkiem wikinga.

Anna stanęła jak wryta, bo nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Coś łupnęło. Kobieta się wystraszyła i odwróciła głowę. To stary kocur zeskoczył z pieca.

– Był spokojny lipcowy dzień, kiedy spośród mgieł wyłoniła się łódź ze smoczą głową – kontynuował stary wiking. – Gdy dotarła do wyspy, wysiedli z niej wojownicy. Zabili wszystkich mężczyzn, a kobiety zgwałcili... – Starszy mężczyzna zniżył głos. Po plecach Anny przebiegły ciarki. – Wielu z nas jest potomkami wikingów... Oj, wielu.

Kiedy wyszli ze sklepu, Anna miała przerażoną minę. Michał się roześmiał.

– I z czego się śmiejesz? – zapytała.

– Z twojej miny. Wystraszyłaś się? – Michał objął dziewczynę ramieniem.

– Nie. Po prostu przerażają mnie tacy ludzie.

– To wiking z krwi i kości. Wojownik. – Uśmiech nie schodził z Michała ust.

Wrócili do pensjonatu, zostawili zakupy i ruszyli dalej. Dotarli do bielonego kościoła. Weszli do środka. Światło z kolorowych witraży zalewało przeciwległe ściany i posadzkę. Obok ołtarza na skrzypcach grał stary mężczyzna. Anna z Michałem usiedli w ławce. Kobieta patrzyła na starca, który miał zamknięte powieki i zwinnie poruszał smyczkiem. Musiała się poruszyć, bo ławka skrzypnęła. Mężczyzna przestał grać i otworzył oczy. Kiedy dostrzegł turystów, pokuśtykał w stronę ławki.

– Przepraszamy, nie chcieliśmy przeszkadzać – powiedziała płynną angielszczyzną Anna.

– Nie przeszkadzacie. Czasami, kiedy gram, tracę rachubę czasu. Jestem pastorem w tym kościele. Modlę się, grając. Muzyka to dla Pana Boga cudowna modlitwa. Stuart jestem. – Pastor wyciągnął rękę w stronę Anny. Uścisnęła dużą męską dłoń. Następnie pastor przywitał się z Michałem.

Wyszli przed kościół.

– Jak wam się podoba wyspa?

– Przepiękna. Ale nie wiem, czy dałabym radę tu mieszkać.

– Hmm – westchnął pastor. – To raj dla samotników. Obecnie na wyspie mieszka sześćdziesiąt osiem osób. Szczególnie starsi, młodzi pouciekali. Jesteśmy ze sobą bardzo zgrani, ale nikt nikomu nie zagłada do łóżek. Wiecie, o czym mówię?

– Każdy ma swoją prywatność.

– Tak. Jeśli ktoś ma ochotę porozmawiać z sąsiadem, to rozmawia, a jeśli nie, to tego nie robi.

I każdy z nas ma kilka zawodów.

– Kilka zawodów?

– Ja jestem pastorem i grajkiem. Stary John, samozwańczy wiking – sprzedawcą i rybakiem.

Marry-Ann – pielęgniarką i szwaczką. Musimy sobie jakoś radzić, czy tego chcemy, czy nie.

– Ale chcecie? – Anna spojrzała na pastora.

– Pewnie, że chcemy. Inaczej by nas tu nie było.

Są takie miejsca, gdzie zwalnia czas. Miejsca gdzieś na końcu świata, które warto odwiedzić.

Warto przejść się po wydeptanych ścieżkach, zapatrzeć się w zburzone morze, poczuć chłodny wiatr we włosach. I mieć nadzieję, że nie przyplynie łódź wikingów.

Rozdział 8

– No już, co to za mina? – Agata lekko szturchnęła koleżankę. – Obróć się, a nie stój jak kołek. Anka niechętnie się okręciła.

– Wyglądasz super.

– Sama nie wiem. – Kobieta zaczęła obciągać krótką sukienkę. – Nie za krótka?

– W sam raz.

– Jak ja nie lubię takich wyjść. – Anka wybierała się na firmową imprezę. Najchętniej by sobie odpuściła, ale Harper pożarłaby ją w poniedziałek żywcem na śniadanie. Dla niej to był obowiązek służbowy.

– Przeżyjesz. Zmyjesz się po dwóch, trzech godzinach. Kiedy goście będą już wstawieni i nikt nie zwróci uwagi, czy jesteś, czy cię nie ma.

– Te szpilki piją mnie w stopy – narzekała Anna.

– Wytrzymasz, przecież tańczyć nie będziesz.

O jakże Agata się myliła z tym tańczeniem. Podstarzały lowelas, kochanek Harper i szef wszystkich szefów – Rogan porwał ją w obroty. Buty były ciut za małe, wpijały się jej w stopy i obcierały pięty. A Rogan obracał ją z zacięciem i uśmiechem. Był niczym zwinny tygrys, który dopadł swoją gazelę. Koszula na jego piersi była rozpięta. I spomiędzy szpary na światło dzienne próbowały wydostać się włosy z klatki piersiowej.

Krok w tył, krok w przód, wymach nogą, obrót, wygięcie partnerki. Pot spływał po jego nalanej twarzy, a w oczach skrzyły się chochliki.

„O, matko, nie przeżyję” – pomyślała Anna. „Przeżyję, przeżyję” – powtórzyła niczym mantrę.

Obróciła głowę w prawo, Harper siedziała przy stoliku z nadąsaną miną. Anka chciałaby zapewnić szefową, że nie zajmie jej miejsca u boku tego mężczyzny. Nawet gdyby obsypywał ją złotem, nawet gdyby dawał jej jacht. Nie, no z tym jachtem, to by się zastanowiła. Parsknęła śmiechem.

Rogan przerzucił ją z jednej ręki na drugą. Wygięcie...

Po kilku szalonych tańcach Anna uciekła do łazienki. Postanowiła zwinąć żagle. Miała obolałe stopy, dość umizgów Rogana, a mina Harper mówiła sama za siebie: w poniedziałek lądujesz w archiwum albo, co gorsza, w jakimś podziemnym, nieznanym nikomu lochu.

Wyszła z łazienki i czmychnęła w stronę wyjścia. Pchnęła przeszkłone drzwi. Była na zewnątrz, ale kiedy odwróciła głowę, zauważyła, że Rogan szuka jej wzrokiem. Kucnęła. Roześmiała się, bo poczuła się jak żołnierz, który wrócił z linii frontu ze wstrząsem pourazowym. Po kilku chwilach, wciąż nie wstając z kucek, uniosła głowę i spojrzała przez szybę. Odetchnęła z ulgą, Rogan stał naprzeciwko Harper. Rozmawiali. Podniosła się i kuśtykając, doszła do schodów. Złapała się poręczy. Schodziła pomału schodek po schodku.

Nagle usłyszała znajomy śmiech. Uniosła głowę. Obok taksówki stał Michał.

– Co ty tu robisz? – zapytał, nie przestając się śmiać.

– Uciekam.

– Prawdziwy Kopciuszek z ciebie. Za pięć dwunasta.

– Daj spokój. – Anka machnęła ręką.

– Czemu zachowywałaś się tak dziwnie? Te kucki...

– Jeden facet chciał mnie porwać na swój jacht.

– I ty prysnęłaś? Głupia.

– No, głupia, głupia.

Śmieli się oboje.

– A co ty tu robisz? – Anka zrzuciła szpilki i odetchnęła.

– Mam klientkę. Jakaś Harper.

– O, Boże.

– Znasz ją?

– To moja szefowa. Powalona baba.

– Odwieźć cię do domu?

Oboje w tym czasie spojrzeli na czerwone, spuchnięte stopy Ani.

– Masz klientkę.

– Zrobimy ją w konia, skoro to taka zołza.

Anka parsknęła śmiechem.

Kiedy dotarli do mieszkania, Anka nie wiedziała, jak się zachować.

– Dzięki – rzuciła w stronę Michała.

– Na dzisiaj koniec.

– Kończysz pracę?

– Tak.

– Przeze mnie?

– Dzięki tobie. – Uśmiechnął się promiennie. – Co będziesz robić? – zapytał. Był wyraźnie speszony.

– Pójdę spać? – Ania uniosła brwi.

– A nie masz ochoty na imprezę w kuchni? Mam wino, jeśli nikt go nie wytrąbił, i chipsy.

– A ja ptasie mleczko, jeśli nikt go nie pożarł.

– Żartujesz? Ptasie mleczko. Uwielbiam.

– Kupiłam w polskim sklepie.

Michał nachylił się w stronę Anny. Pachniał cynamonem i goździkami, a może tak się tylko Ani zdawało.

– Czyli imprezujemy?

Michał z każdym dniem coraz bardziej zakochiwał się w Ani. Oczywiście jej o tym nie powiedział. Wiedział, że jakiś chłopak dotkliwie ją zranił, dlatego nie chciał jej spłoszyć. Jednak był mężczyzną i musiał sobie jakoś radzić ze swoimi potrzebami.

Sypiał z Sonią, Brazylijką od kawy. Ona nie traktowała go poważnie ani on jej. Lubił ją, ale nic więcej. Nieustannie myślał o Ani. I tracił nadzieję, że między nimi pojawi się coś więcej niż przyjaźń.

Któregoś dnia wypili z Anią dwie butelki wina. Ona trochę więcej niż on. Opowiedziała mu o tym, którego kochała i nadal kocha.

– Planowaliśmy wspólną przyszłość. Ja widziałam siebie w małym domku z ogródkiem, z dwójką dzieci u boku. Byłam tak w nim zakochana, że poza nim świata nie widziałam. A on któregoś dnia bez ogródek mi oznajmił, że jest inna, że już mnie nie kocha. Wbił nóż w moje rozkochane serce. A potem dodał, że nie byliśmy nawet zaręczeni, że nic mi nie obiecywał. Może i miał rację? Wiesz, mi odbiło.

– Miało prawo odbić – wtrącił Michał.

– Najgorsze, że to ją oskarżałam w myślach o to, że Marcin ze mną zerwał. Wyobrażałam ją sobie jako *femme fatale*. Zastanawiałam się, jak wygląda. Jakie ma cycki, bo pewne lepsze od moich, i może w łóżku bardziej wzdycha albo jęczy i wije się jak piskorz. Faceci lubią takie wyzwolone nimfy. Obrazy przychodziły do mnie w najmniej oczekiwanych momentach. Kiedy mijałam parę starszków trzymających się za ręce, myślałam: to nie my. Nie doczekamy razem takiej starości. Potem myślałam: to przeze mnie. On mnie rzucił, bo nie jestem zbyt zabawna, zbyt fajna, zbyt mądra, zbyt sexy. Głupota, ale tak było. Wysyłałam do niego maile, dzwoniłam. Bez odpowiedzi. Potem popadłam w przygnębienie. Leżałam w łóżku i wyłam. Dostałam leki. Mówiłam o nich „znieczulające”. Odbierały mi uczucia i zabierały łzy. I świat stawał się szary. Ale to było lepsze niż ten dotkliwy ból. Mama mi wtedy pomogła. Była ze mną każdego dnia. Tulila, a nawet karmiła. A przede wszystkim zapewniała, że to się kiedyś skończy. Mijały lata, któregoś dnia Marcin na nowo pojawił się w moim życiu. Zapewniał, że jego małżeństwo wisi na włosku, że to już koniec. Zakochałam się na nowo, a on ponownie mnie zawiódł. A teraz, teraz to się wszystko skończyło.

– Skończyło się?

– Tak, chyba tak, ale... Wiem, że to głupie, co powiem, czasami jednak się łudzę, że on do mnie napisze i powie: pomyliłem się. Ty i tylko ty.

Anka wtuliła się w ramiona Michała. Płakała. A on gładził ją po plecach.

– Może lepiej, żebyś o nim zapomniała. Jest tylu fajnych facetów.

– Ale ja nie chcę nikogo innego. Chcę jego. Marcin... On był wszystkim tym, co kochałam.

– Może za bardzo sobie wkręcasz?

– Wkręcam?

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

Michał marzył o tym, by Ania zapomniała o tamtym mężczyźnie, którego kiedyś kochała. Chciał, by częściej się uśmiechała. Lubił na nią patrzeć, kiedy była taka promienna.

Rozdział 9

Anna z Agatą siedziały przy stole. Związek Agaty kwitł, a ona każdą wolną chwilę spędzała z Kamilem. Tym razem znalazła czas dla przyjaciółki i upiekła ciasto.

– Nie wiedziałam, że umiesz piec – skomplementowała koleżankę Ania.

– Też o tym nie wiedziałam.

– Dobrze.

– Cieszę się, że ci smakuje. – Przez chwilę nic nie mówiła, a w końcu wyrzuciła z siebie: –

Wracamy.

– Gdzie wracacie?

– Do Polski.

– Sądzisz, że to słuszna decyzja? Czy robisz to dla niego?

Agata westchnęła. Odłożyła łyżeczkę na talerzyk.

– Nie wiem, czy słuszna, czy nie. Może będę tego żałowała, ale czuję, że nie chcę tutaj dłużej być. Nie chcę tutaj żyć. Na emigracji nikt nie jest szczęśliwy, bo jak można być szczęśliwym, kiedy jest się wyrwanym od rodziny, jak drzewo z korzeniami?

– Nie jest tu tak najgorzej...

– Też tak na początku myślałam ... Są osoby, które czują się na emigracji jak ryba w wodzie. Najpierw zachłysnęłam się Szkocją. Wszystko tutaj było dla mnie takie piękne, nowe. A potem... Potem zrozumiałam, że chcę wracać. Oczywiście, jestem zakochana. Kamil wraca, to po trosze też wpłynęło na moją decyzję. Ale tak naprawdę to była od początku do końca moja wola. Wcale nie jestem przekonana, że w Polsce będzie mi łatwiej niż w Szkocji. Ale muszę już wrócić. Wyjechałam za pieniędzmi i za lepszym życiem. Teraz wygląda na to, że wolę to lepsze życie zostawić po to tylko, żeby pić chociaż raz w tygodniu poranną kawę z moją mamą.

– Wiesz, że ja też doceniłam takie rytuały, jak picie kawy z bliskimi. Kiedyś tego nie doceniałam, teraz brakuje mi bliskości rodziny. To jest to, co emigracja zabiera – relacje z bliskimi nie są już tak silne.

– I najważniejsze, chcę się w końcu poczuć jak u siebie. – Agata pociągnęła łyk kawy.

– Masz rację. Nieważne, jak mocno byś wsiąknęła w tę kulturę, jak dobrze posługiwała się angielskim, to zawsze nie będziesz tutaj u siebie. Nie boisz się, że będziesz zaczynała wszystko od początku?

– Początki są fajne. – Agata się uśmiechnęła. – Anka, zawsze można wszystko zacząć od nowa. Zawsze. – Chwyciła rękę Ani. – I ty też nie bój się nowości. To cierpienie już za tobą, a Michał... Jest

taki słodki.

- Michał ma dziewczynę.
- Dziewczyna jak wagon, zawsze można odczepić.

Roześmiały się.

- To jeszcze za wcześnie. Dla mnie za wcześnie...
- Jak uważasz.

– A więc kiedy? – Anka poczuła smutek. Chciała dla Agaty jak najlepiej, ale żal jej było ją tracić.

Zżyła się z nią.

- Za dwa tygodnie.
- Tak szybko?

– Tak. Nie ma na co czekać.

– Boisz się, że się rozmyślisz?

– Obawy zawsze istnieją, ale co tam. Raz się żyje. Umiera też raz. A przeprowadzać się można nawet i kilkanaście razy.

– Myślisz, że emocje to dobry doradca?

– Najlepszy.

Roześmiały się.

Ania leżała już w łóżku. Rozmyślała o Agacie. Wiedziała, że tak to już jest i będzie. Jedni ludzie odchodzą, inni przychodzą. Tylko nieliczni pozostają z nami do końca. W pewnej chwili usłyszała dźwięk esemesa.

„Zamknij oczy. Odpal link z muzyką i puść go na cały regulator. Poczujesz tę moc i tę energię”.

Anna uśmiechnęła się do siebie. Zamknęła oczy i odtworzyła muzykę. Dźwięki rozbrzmiały dookoła, trafiły prosto do serca.

„Wow. Nieziemski utwór. Co to za wykonawca?” – odpisała do Michała.

„David Garrett”.

„Nie słyszałam”.

„Najlepszy skrzypek młodego pokolenia, który łączy muzykę współczesną z klasyczną”.

„Wielkie wow!”.

„Utwór *Dangeours*”.

„Niezły power. Przeszły mnie dreszcze”.

„A teraz zgadnij co?”.

„Co?”.

„Lecimy na jego koncert do Hamburga”.

Anna patrzyła się przez chwilę w wiadomość, po czym wybrała numer Michała.

– Kto leci?

Chłopak się roześmiał.

– Ty i ja – powiedział.

– Jak to?

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Nie tylko jego muzyka jest fajna. Podoba się kobietom.

Anka zachichotała.

– I myślisz, że ja i on?

– Kto wie? Kto wie...

– No dobrze, ale od razu koncert i to w Hamburgu? – Anka się śmiała.

– Życie jest za krótkie, by nie korzystać z takich okazji.

– Już to dzisiaj słyszałam.

– Co?

– Że życie jest krótkie.

– Bo to prawda. Więc co, lecisz?

– Może. Ale praca...

- Czy to praca twoich marzeń?
- No, nie.
- Weźmiesz urlop, na trzy dni.
- Można i tak.
- Pewnie, że można.

Anka wygooglowała sobie Davida Garretta.

I jak tu dla niego nie lecieć do Hamburga. Przystojny. W jej typie. A te oczy, a uśmiech. Wstała z łóżka i podreptała do kuchni. Do rana słuchała muzyki Davida.

Rozdział 10

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Michał z Anią stawali się sobie coraz bliżsi. Był październikowy dzień. Kobieta puściła *November rain* w wykonaniu Davida Garretta. Otworzyła laptop i pocztę. I nagle wstrzymała oddech. Jej serce zaczęło galopować jak szalone. Otworzyła wiadomość.

Zdziwiona, że piszę? Nie widzieliśmy się. Dwa lata, trzy miesiące i dwa dni... Wiesz, co mi się teraz przypomniało? Twój uśmiech. Jak Ty się pięknie uśmiechałaś. Zazdrość mężczyźnie, do którego teraz się tak uśmiechasz. Nigdy z żadną kobietą się tyle nie śmiałem, co z Tobą. Pamiętasz, kiedyś zapytałaś mnie, czy jakbym mógł cofnąć czas, to coś bym zmienił. Odpowiedziałem wtedy, że NIE. A teraz? Teraz bym Ci powiedział: NIGDY NIE POZWOLIŁBYM CI ODEJŚĆ! Przepraszam, że Cię zraniłem. Tylko że wtedy byłem taki niezdecydowany. Nie zdawałem sobie sprawy, że jak Ciebie stracę, to tak jakbym stracił cały świat... Zawsze mi mówiłaś, że oczekujesz, aby mężczyzna na Twoim punkcie zwariował, a myślisz, że ja nie wariowałem? Ja oszalałem z miłości do Ciebie. Teraz bym Ci o tym wszystkim powiedział. A wtedy? Wtedy sam nie wiedziałem, czego chcę. Nic od Ciebie nie oczekuję. Tylko mi wybacz i uśmiechnij się, kiedy będziesz czytała tę wiadomość.

Anna skasowała list. Nie chciała do niego wracać. To w jego stylu, odezwać się po kilku latach. Z zaskoczenia. Zburzyć jej spokój. Rozdrapać rany. Po chwili pożałowała, że skasowała mejla. Chciała go przeczytać jeszcze raz. Nie chciała. Targały nią sprzeczne uczucia.

Otworzyła notes i zaczęła pisać. Myśli, emocje przelewała na papier. Tyle ich kiedyś było. Tyle było światła w każdej chwili... Kiedy skończyła notować, rozplakała się. Płakała tak długo, aż zapuchły jej oczy. Nie poszła do pracy. Przespała całe popołudnie. Koło siedemnastej wybrała numer Michała.

– Cześć – powiedziała, kiedy odebrał.

– Cześć.

– Co robisz? Możemy byśmy się umówili? Mam kiepski dzień. – Anna miała ochotę przytulić się do Michała.

– Jezu, Anka, chcesz się ze mną umawiać, wtedy kiedy tobie pasuje. Co ja jestem, plasterek na twoje złamane serce?

– O co ci chodzi?

– O wszystko. Cześć.

– Cześć.

Anka przez chwilę patrzyła oniemiała na swój telefon. Michał był dla niej zawsze życzliwy. Nie wiedziała, o co mu chodziło. Czy czymś go uraziła? Weszła do kuchni, zaparzyła herbatę, po czym wróciła do pokoju i wsunęła się pod koc. W pomieszczeniu obok jakaś para uprawiała seks. Nakryła głowę poduszką. Nie to, żeby miała coś przeciwko kochającym się ludziom, ale ona tak dawno się nie kochała, że zaczęło jej to doskwierać. Musiała przysnąć, bo obudził ją dzwonek telefonu. Dzwonił Michał.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– W domu.

– Przepraszam za tamte słowa. Też mam zły dzień.

– Spoko.

– Jestem w pokoju obok.

– Z kim?

– Sam, a co?

– Jakaś para uprawiała seks z godzinę temu.

– Aaaa... Ale po parze ani śladu. – Zaśmiał się. – A właściwie czemu rozmawiamy przez telefon?

– No właśnie.

Anna podniosła się z łóżka. Już po chwili usłyszała pukanie do drzwi.

– Jedziemy – oznajmił Michał.

– Gdzie?

– Przed siebie.

– Nie mam zbyt dobrego humoru.

– Ja też nie.

– Chcesz uciec od problemów?

– Chcę się wyluzować.

– Ja w sumie też.

Już po chwili byli na parkingu. Michał z plecakiem i z karimatą, którą trzymał pod pachą.

– Co ty tam masz, w tym plecaku? – zapytała Ania.

– Cydr, kubki plastikowe, chleb, konserwy, czekoladę i latarkę.

– Tylko że ja jutro idę do pracy.

– Jutro będziemy chorzy.

Anka zaśmiała się.

– A właściwie, to czemu nie? Wiesz, podoba mi się to w Szkocji, że mogę sobie tak często chodzić na *offa* – stwierdziła kobieta.

– Mają bardziej wyluzowane podejście do wolnych dni.

– I dobrze. Każdy czasami musi odpocząć.

– My odpoczywamy ostatnio wyjątkowo często.

– Hamburg, teraz to.

– Ale nie powiesz, koncert był świetny.

– David był boski.

– Niepotrzebnie ci go pokazałem. Teraz już w ogóle nie mam u ciebie szans.

– Jakież nikle są.

Parsknęli śmiechem.

Jechali ponad dwie godziny. Na zewnątrz zaczęło się przejaśniać.

– Szkocka pogoda zawsze mnie zadziwia. – Anka odwróciła głowę w stronę Michała.

– Swą zmiennością?

– Ja bym to określiła kapryśnością.

– Kapryśnością? Co to w ogóle za słowo, pani polonistko?

Wybuchnęli śmiechem. Anna oparła głowę o zagłówek. Michał uchylił okno. Wiatr wdarł się do środka, owiewając twarz kobiety. Zmrużyła powieki. Tego jej było trzeba.

– Czemu masz kiepski humor? – zapytał po chwili Michał.

– Przez niego.

Mężczyzna zacisnął mocniej ręce na kierownicy.

– Napisał do mnie.

– I?

– I wróciły wspomnienia.

– Dupek z niego, że rozdrapuje rany.

– To taki typ, który lubi, by o nim pamiętano.

– Mąci ci w życiu.

– Są takie przeszłe miłości, o których trudno nam zapomnieć. Jakieś zauroczenia, które kiedyś nam się przydarzyły. Intensywne, nasączone emocjami, przeżyciami. Wracają we snach, wspomnieniach... Niekiedy nie chcemy o nich mówić, bo to już za nami. Wygasły, rany zaschły. Wiesz, to taki sentyment. On zostaje...

– Może. Ale chyba nie zamierzasz...

– Nie zamierzam. – Anka urwała. – Nie chcę już o tym gadać.

– Okej.

– A ty?

– Co ja?

– Mówiłeś, że też masz zły dzień.

– Miałem. Teraz już dobrze.

– Czyli też nie chcesz o tym gadać?

– Powiedzmy.

Roześmieli się.

Dotarli na parking przed osiemnastą. Wyszli z samochodu. Anna przeciągnęła się.

– Las. – Rozejrzała się dookoła. Dotarli do miejsca, gdzie rosły stare drzewa, o grubych pniach i poutrącanych gałęziach.

– Teraz cię zjem – mruknął Michał.

– A co ty, wilk?

– A jak. – Uśmiechnął się do niej. – Musimy kawałek przejść, by dotrzeć do jeziora. Ale widok jest zapierający dech w piersiach.

– Okej, tylko nie zapomnij wziąć plecaka.

– Martwisz się o alkohol?

– Tak, cydr to podstawa na zimne noce.

– Dzisiaj w nocy ma być dziesięć stopni. Nie powinnaś zamarznąć.

Michał niósł plecak i karimatę, Annie wręczył śpiwór, który woził w bagażniku. Po kilkunastu minutach dotarli nad jezioro. Widok faktycznie zapierał dech w piersiach. Jezioro z dwóch stron otoczone było lasem, a od północy górami. Tafla wody lśniła, jakby ktoś wrzucił do niej kryształy, które odbijały światło w różnych kolorach.

– Wow!

– Właśnie na to „wow” czekałem.

– Piękne miejsce.

– To nie wszystko. – Mężczyzna chwycił Anię za rękę i poprowadził przez zagajnik. – Spójrz tutaj.

Na polanie pośród starych drzew stał zamek. Widać było, że ktoś go niedawno odrestaurował. Otoczony był krzewami róż, które o tej porze roku już powiędły.

– Ktoś tutaj mieszka? – zapytała Anna.

– Już nie.

– Nie?

– Kilka miesięcy temu zmarł ostatni właściciel tego zamku, ostatni baron z klanu Glamis.

– I kto jest teraz właścicielem?

– Toczy się sprawa sądowa między państwem a Margaret Glamis, która twierdzi, że jest daleką krewną zmarłego barona.

– To może my tutaj zamieszkamy, dopóki sprawa się nie wyjaśni?

Wybuchnęli śmiechem.

– Czemu nie? Już mam dosyć tych wszystkich ludzi, którzy kręcą się po naszym domu.

– Ja już straciłam rachubę, kto tam mieszka, a kto nie.

– Ostatnim razem kupiłem kostkę sera, kilka bułek i masło. Wyszedłem do pracy, a po powrocie zastałem trochę okruszków i tyle.

– Nie myślałeś o wyprowadzce?

– Myślałem.

– Do Brazylijki? – Anka, zadając to pytanie, poczuła ukłucie zazdrości.

– Nie, do niej nie.

– Hmm. Przecież jesteście razem.

– To skomplikowane. – Michał nie chciał tłumaczyć Annie, że z Sanią łączy go tylko seks. Sądził, że Ania na pewno by nie zrozumiała. A jeśli nawet, to nie chciał, by zmieniła o nim zdanie.

– Nie chcesz o tym gadać?

– Chyba nie.

– Rozumiem. Chodź, napijemy się.

Zebrawi po drodze stos patyków. Michał rozpałił ognisko. Rozłożyli karimatę. Anka zrobiła kanapki, Michał rozlał cydru do kubków. Jedli z apetytem kanapki, popijając alkoholem.

Anna spojrzała w stronę zamku.

– Chociaż budynek wygląda na świeżo odrestaurowany, jest jakiś mroczny.

– Ponoć w każdym szkockim zamku straszy, a w tym to notorycznie.

Po plecach Anki przeszedł dreszcz, mimo to zapytała Michała o historię nawiedzonego zamczyska. Michał miał szeroką wiedzę historyczną, za co Anka go podziwiała.

– W przeszłości odbywały się tu makabryczne sceny, które odbijają się echem do dzisiaj. Duchy cierpiących osób nie dają o sobie zapomnieć. Lady Glamis – żona i truciicielka lorda Douglasa – została spalona na stosie za uprawianie magii. Lady obecnie ukazuje się pod postacią Szarej Damy, która modli się w zamkowej kapliczce przed ołtarzem. Widywana jest także w pozycji siedzącej w tylnej ławie kapliczki. Co ciekawe, występują w tym miejscu zjawiska, które parapsychologowie uważają za dowód istnienia ducha. Tam, gdzie przebywa duch lady, powietrze gęstnieje, a odwiedzający zamek ludzie czują duszności. – Michał na moment przerwał, a potem mówił dalej, udając głos przewodnika oprowadzającego wycieczkę: – Zagłębiając się dalej w historię zamku Glamis, natknąć się można na wydarzenie z roku 1486, kiedy to doszło do wyjątkowo makabrycznej sytuacji. Mieszkająca w pobliżu rodzina Ogilvie poprosiła ówczesnego panującego lorda Glamisa o schronienie przed wrogim rodem Lindsayów. Panujący możnowładca rozkazał ulokować swych nowo przybyłych gości w podziemnej komnacie. Rodzina Ogilvie została zamknięta na miesiąc, pozostawiona na łaskę losu i bez pożywienia. Po otwarciu drzwi w pomieszczeniu odnaleziono tylko jedną osobę, która jakimś cudem przeżyła. Jak się później okazało, przetrwała dzięki temu, że pożywała się pozostałymi członkami rodziny. Jej stan psychiczny pozostawał wiele do życzenia. Nie ustalono, dlaczego lord Glamis w taki sposób postąpił z tą rodziną.

– Dobrze ci idzie, panie przewodniku. A ludzie bywają okrutni – skomentowała Ania.

– Tak, chyba tak. Szczególnie ci, którzy są u władzy... Ale to nie koniec historii o duchach. Na łąkach okalających zamek pojawia się postać jęczącego mężczyzny, uciekającego przed niewidzialnym oprawcą. Według historyków jest to prawdopodobnie duch czarnoskórego służącego, na którego postanowiła zapolować szlachta w XVII stuleciu. Wtedy to panowie Glamis urządzali sobie polowania na ludzi. Służący został rozszarpany przez psy gończe, podczas gdy wysoko postawione damy śmiały się, patrząc na dramatyczną sytuację. I nie ma w tym nic dziwnego, bo w tamtych czasach właśnie w taki sposób szlachta urozmaicała sobie wolne chwile.

– Dobra, już wystarczy. – Anka poczuła niesmak.

- Przestraszyłem cię?
- Powinieneś spiknąć się z Agatą. Ona też lubi takie mroczne historie.
- Ale sama chciałaś.
- Chciałam, ale już mi wystarczy.
- Kobiety same nie wiedzą, czego chcą.
- Wiemy, ale wy, mężczyźni, zawsze idziecie po bandzie. Jak ja mam tutaj teraz spać?
- Ochronię cię przed każdym duchem.

Ogień płonął, a oni opowiadali sobie historie z dzieciństwa, śmiali się, pili alkohol. Ognisko dogasało, więc wtuleni w siebie wsunęli się do śpiwora. Patrzyli na rozgwieżdżone niebo, które jest rzadkością w Szkocji. Szkockie niebo otulone jest zazwyczaj grubą warstwą chmur. Anna przymknęła oczy. Alkohol w żyłach krążył. Po chwili poczuła ciepły oddech na swojej szyi. Mimowolnie się uśmiechnęła. Michał opuszkami palców dotknął jej policzka. Otworzyła oczy i odwróciła się w stronę chłopaka. Położyła rękę na jego piersi. Westchnął. Przytulił ją do siebie mocno. Anna sięgnęła dłonią do jego spodni. Pod palcami poczuła twardość.

Jej usta znalazły się blisko jego ust. I nagle kobieta oprzytomniała. Co ona, do cholery, wyprawia?

Odrząciła jego rękę i się podniosła.

– Przepraszam cię. Nie powinniśmy – mówiła szybko.

– Dlaczego?

– Bo wszystko zepsujemy. Lubię cię.

– Też cię lubię.

– I chcesz zepsuć to fajne kumplostwo?

– Ale...

– Masz dziewczynę.

– A gdybym nie miał?

Anna pokręciła głową.

– To by nie wyszło. Michał, za bardzo się lubimy.

„Ja cię kocham” – pomyślał chłopak. W piersi poczuł ogromną ziejącą pustkę.

– Wracajmy. – Anka zaczęła zbierać rzeczy do plecaka.

– Jestem pijany.

– Ja będę prowadzić.

– Też piłaś. Anka – złapał ją za ramiona – daj spokój. Nie będę już próbował. Zostańmy do rana.

Dołożę do ogniska drzewa. Ty się otulisz śpiworem, ja posiedzę przy ognisku na tym starym pniu. Mi i tak jest ciepło. Rano wyjedziemy.

Skinęła głową.

Rozdział 11

Od tamtego zdarzenia w lesie minęło kilka tygodni. Ania zapomniała o pocałunku, ale nie zapomniała o mejlu od Marcina. W jej sercu pojawiła się iskierka nadziei.

Lecz teraz miała inne zmartwienie. Bliska kuzynka zaprosiła ją na swój ślub, a ona nie miała z kim pójść.

– Pojedziesz ze mną na wesele mojej kuzynki do Polski? – Stała przed Michałem podparta rękoma pod boki.

– Kiedy?

– W kwietniu.

– No nie wiem. – Michał droczył się z nią.

– Stawiam bilety.

– A co ja z tego będę miał?

– Dobrą zabawę, tańce do rana i ...

– Nie lubię tańczyć.

– No tak, zapomniałam, nie jesteś w tym najlepszy.

Michał zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

– Tańczysz tylko pod wpływem alkoholu i wtedy albo wiosłujesz, albo wkręcasz żarówki.

Roześmiał się.

– A skąd o tym wiesz?

– Od Agaty.

– Nie jest aż tak źle.

– Wracając do wesela, to gwarantuję ci dobrą wyzerkę, swoje towarzystwo.

– Dobra, przekonałaś mnie tą wyzerką.

– Tylko że jest jedno ale.

– Jakie?

– Będziesz musiał udawać mojego chłopaka.

– Nie uważasz, że to głupie?

– Strasznie głupie.

– Więc po co?

– Moja rodzina, a szczególnie wszystkie pociotki, martwią się o mój stan psychiczny. Mam już

trzydzieści pięć lat i jestem sama, bezdzietna i w ogóle. Oj, sam zobaczysz, jak jest...

– Nie wiem, czy powinienem się w to pakować.

– Muzyka umca, umca... – Anka się śmiała.

– Takiej imprezy nic nie przebije, dodatkowo to jedna z tych okazji, przy której jestem w stanie tolerować pewien rodzaj muzyki.

– Zatem będzie dobra zabawa.

– A gdzie to wesele?

– Na wsi.

– Wiejskie weselicha to jest to: remiza, kokardki na balustradach, muzykant na akordeonie, podpici wujkowie, ciocie narzekające na pogodę, bo przecież one w szpilkach i ufryzowane. Każdy głodny i marzący o ciepłym rosole.

– Rozczaruję cię. To będzie wesele w stodole.

– W stodole?

– Powrót do korzeni.

Była piękna kwietniowa pogoda. Słupki termometrów wskazywały szesnaście stopni. Panna młoda ubrana w długą białą spódnicę, lniany biały kaftan, kamizelkę wystylizowaną na wzór ludowy, wianek z polnych kwiatów na głowie. Wyglądała pięknie i niewinnie. Pan młody był wysoki niczym dąb i prezentował się również niczego sobie w lnianym garniturze, z białą lilią wpiętą w butonierkę.

Stodoła udekorowana była kwiatami, ptakami uszytymi z lnu i wstążkami.

– No i co? – zapytała Michała Anna.

– Stylowo.

Zespół przygrywał ludowe przyśpiewki.

Usiedli do stolika, przy którym siedziała ciocia Józefa i wujek Franciszek.

– Aniu, dziecko, jak ja się cieszę, że już z twoją głową wszystko w porządku – zaczęła ciocia.

– Z głową, ciociu, zawsze było w porządku.

– A gdzie tam. – Ciotka spojrzała na wujka. – Po tym, jak zostawił cię ten cały Marcin, myśleliśmy, że w jakimś wariatkowie wylądujesz.

Michał dusił się ze śmiechu.

– Tak było. – Wujek kiwał głową.

– Ale widzę, że i chłopaka masz, i jakaś taka pogodniejsza jesteś.

– Tak. – Anka chciała już uciąć tę wymianę zdań.

– I ciałka nabrałaś. – Ciotka poklepała ją po ręce.

– Ciociu, bardzo miło kobiecie usłyszeć takie słowa.

– Oj, nie myśl, że ci wypominam czy co. Tak się ładnie zaokrągliłaś.

– Jak ta pyza ze śląskich drózek – dorzucił wujek.

– Mi się Ania podoba – wtrącił się do rozmowy Michał.

– To dobrze, to dobrze. Uratowałeś ją z odmętów psychozy... – Ciotka postukała łyżką o talerz.

– Ciociu, ja nie miałam psychozy.

– Oj, te terminy medyczne mi się mieszają.

– Ja nawet depresji nie miałam.

– Krążyły takie plotki po rodzinie.

– Józia, wiesz, jak to w rodzinie. – Wujek nachylił się w stronę cioci.

– Zaraz tutaj ducha wyzionę – szepnęła Anka do ucha Michałowi.

– Dobrze, że cię uratowałem. – Michał uśmiechnął się do dziewczyny.

– Dobrze, że jesteś.

Do stolika przysiadła się inna młoda para i teraz ciocia z wujkiem zwrócili się do nich. Anka odetchnęła z ulgą. To znaczy nie mogła swobodnie oddychać, gdyż wbiła się w pas wyszczuplający, co to miał zamaskować mankamenty jej figury. W rezultacie wszystko ją uwierało i siedziała wyprostowana, jakby miała wsadzony kolek w tyłek. Ale dopięła się w sukienkę numer mniejszą. Nie

wiedziała, po jaką cholere jej to było. Chciała wyglądać dobrze? Nie, szczuplej. Ale chyba nie osiągnęła zamierzonego efektu, skoro ciocia stwierdziła, że i tak jest pulchna.

– Co ci jest? – zapytał ją Michał, kiedy Anna po raz kolejny wciągała ze świstem powietrze.

– Pieprzony pas – syknęła Anka.

– Pas?

– Wyszczuplający. Na niego nałożyłam rajstopy, też wyszczuplające. Nie daję rady normalnie oddychać.

– To zdejmij.

– Obawiam się, że wtedy nie wejdę w kieckę.

– To czemu nie kupiłaś numer większej? – Michał zrobił zdziwione oczy.

Anna przewróciła oczami.

– Bo temu. Wy, mężczyźni, nic nie rozumiecie.

– A wy, kobiety, utrudniacie sobie życie. Zaraz mi tu zemrzesz z braku dopływu tlenu.

– Rosołu? – zapytała kelnerka, która pojawiła się przy ich stoliku.

– Nie, dziękuję. – Anna czuła, że gdyby zjadła chociaż łyżkę rosołu, mogłaby tego nie wytrzymać. Albo by się udusiła, albo jej pasy i rajstopy strzeliłyby w szwach.

– A coś innego?

– Nie, dziękuję.

Michał wydawał się rozbawiony sytuacją.

– I po co się tak męczyć? – zapytał Anki, kiedy kelnerka się oddaliła. Zanurzył łyżkę w rosole. – Ja mam wszystko luźne i mogę jeść do woli.

Anna wstała od stołu. Szybkim krokiem skierowała się w stronę łazienki. Weszła do kabiny. Podniosła do góry sukienkę, ściągnęła rajstopy, obciskające majtki i pas. Potem ponownie nałożyła rajstopy i obciągnęła sukienkę, która o dziwo wcale nie pękła w szwach. To nic, że oponka trochę się odznaczała, Anna poczuła ulgę.

Wróciła do stolika.

– I co? – zapytał Michał.

– Mam wystający wałek, ale sukienka cała.

– Możesz siedzieć ciągle przy stole, żeby nie było widać tego wałka.

– A żebyś wiedział.

Na stół wjechał deser w postaci lodów podawanych w ananasach, z bitą śmietaną i sosem owocowym.

– No teraz to ja od stołu na pewno nie odejdę. – Kobieta puściła oko do Michała i zanurzyła łyżkę w deserze.

Roześmieli się.

– Nigdy więcej takich wynalazków – powiedziała do Michała, kiedy tańczyli.

– I dobrze. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej. – Czasami zastanawia mnie, po co wy, kobiety, tak się męczycie?

– By wpasować się w obecny kanon piękna. Te wszystkie babki z okładek pism niemal krzyczą: „bądź taka jak my”, „weź się za siebie”, „wyglądaj fit”. Nie zrozum mnie źle, podziwiam kobiety, które wyglądają zdrowo, są wysportowane. Chodzi o to...

– Że to nie powinna być norma. Każda kobieta jest inna. – Michał przechylił Annę do tyłu. Jej ciało wygięło się w łuk, a włosy dotknęły podłogi. Kobieta się roześmiała. Michał na powrót podniósł ją do pionu.

– Jeszcze jesteś sprawna.

– „Jeszcze”. – Znowu wybuchnęli śmiechem.

– Wracając do ideału kobiety, to takiego ideału nie ma. Mnie osobiście nie kręcą takie, które wyglądają jak klony. Duże piersi, blond włosy, usta jak u karpia. Jesteś ładna, mądra, świadoma siebie, nie daj sobie kitów wciskać.

– Serio, nie kręcą cię biuściaste blondynki?

– Żartowałem. Dobrze zderzaki u tlenionej blondyny i IQ poniżej stu, to jest to.

Gdy wracali z lotniska, Ance wypadł telefon.

– Kurwa mać! – zaklęła siarczyście.

Michał podniósł aparat. Kobieta zamknęła oczy.

– No i? – zapytała, nie otwierając ich.

– Mówić prawdę?

– Tylko prawdę.

– Ekran potrzaskany i nie mogę go włączyć.

Anka otworzyła oczy.

– I powiedz mi teraz, jak tu żyć? Jak żyć?

Roześmieli się.

– Złapiemy teraz taksówkę, wysiadziemy na Princess Street i pójdziemy do operatora O2, może coś nam ciekawego zaproponuje.

– Jak to „nam”?

– Myślałem, że po weselu bardziej się do siebie zbliżyliśmy. – Michał się roześmiał, a Anna uszczypnęła go w bok.

Po czterdziestu minutach jazdy autobusem dotarli do salonu O2. Podszedł do nich handlowiec z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Dla kogo poszukują państwo aparatu? – zapytał młody szczupły, pryszczaty mężczyzna.

– Dla mnie. – Anna uśmiechnęła się do młodego chłopaka.

– Ten! – Sięgnął po samsunga galaxy. Świetny do robienia selfie. Ma opcję *beauty face*.

– Słucham? – Anka parsknęła.

– Selfie z tego telefonu wychodzą świetne. A ile ma aplikacji. Może pani być króliczkiem, kaczuszką, kotkiem.

– Nie wierzę. – Anka patrzyła na sprzedawcę jak oczarowana.

– Opcja *beauty face* wygładza skórę na twarzy i zmarszczek nie widać.

– Czy ktoś naprawdę kupuje telefon dla opcji *beauty face* i dobrego selfie? – zapytała Michała zdziwiona.

– Oj, zdziwiłabyś się, ile kobiet.

Po kilkunastu minutach Anna wyszła z salonu z nowym aparatem, bez opcji *beauty face*.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Mielila w głowie słowa handlowca.

– A ja w sumie mogę. Selfie to jest to. Selfie rządzi współczesnym światem.

– Okej. Sama pstryknę sobie czasem selfie. Bo wszystko dla ludzi, ale selfie nie rządzi moim życiem.

– Ostatnio jechałem pociągiem, dobrą godzinę, i pani, lat około czterdziestu, przez całą podróż pstrykała sobie selfie. Wdzięcznie pozując do telefonu. Uśmiechając się, robiąc dziubki, marszcząc czoło, mrużąc oczy. Selfie musi być przecież idealne. Godzinna sesja selfie i jedno, to jedno zdjęcie zostanie wybrane i wklejone na fejsa. W oczekiwaniu na lajka, serduszko, uśmieszek.

Rozdział 12

Anka miała ten jeden z płaczących dni, które kobieta czasami miewa. I świat jest zły, i mężczyźni nic nie rozumieją, i w ogóle nadciągnęły ciemne chmury. Usiadła przy stole, a rzewne łzy popłynęły po jej policzkach.

– Co jest? – Michał wszedł do kuchni.

– Nic.

– Przecież widzę, że coś.

– Wszystko.

– To nic czy wszystko?

– Wszystko i nic?

– Ciężki dzień. Świat jest zły, mężczyźni mnie nie rozumieją. Harper mnie wkurwiła. Zjadłam trzy eklerki i teraz mnie mdli. Czuję, jak mi centymetrów w biodrach przybyło.

– Będzie dobrze.

– Nie mów mi: „będzie dobrze”, kiedy ja wiem, że nie będzie. Jak ja nie lubię, kiedy jestem w rozsypce, mój świat się rozpadła na drobne kawałeczki, a ktoś wyskakuje, że będzie dobrze. Fakt, kiedyś na pewno będzie, ale nie teraz. Teraz to ja mam ochotę poużalać się nad sobą, poprzeklinać, mam ochotę rzucić talerzem o ścianę. I krzyczeć, że mi źle. I pozwól mi na to, nie wyskakuj z farmazonami, że za chwilę mi ulży. Bo nie ulży. Bo potrzebuję czasu, bo muszę się wybeczeć, wyzalić, muszę w sobie przerobić ból. A potem się podniosę. Wiesz, dlaczego mnie nigdy nie zrozumiesz?

– Mów.

– Bo nie jesteś kobietą. Bo kobieta pozwoliłaby mi na te moje beczące dni. Bo kiedy wyję do słuchawki, nie pociesza mnie na siłę, a próbuje zrozumieć. Wie, że to minie. Za dzień, dwa, tydzień. A jak nie, to przyjedzie i utuli. Bo jak to mówią, są takie dni, że kurwa mać to za mało.

Michał podszedł do Anki i wyciągnął w jej kierunku rękę.

– A ty co?

– Chcę cię przytulić.

– Ale ja nie chcę.

– Powiedziałaś, że...

– Wiedziałam, kurwa mać, to dziś za mało.

Tydzień później Michał zaprosił Ankę na kawę. Umówili się o osiemnastej w „Big mess”. Postanowił, że powie jej o swoich uczuciach. Musiał zaryzykować. Wiedział, że nie jest Ani obojętny,

jednak nie był pewny, czy Ania czuje do niego to samo, co czuł do niej on.

Pili kawę, Anna co chwilę wybuchała salwami śmiechu.

– Dziękuję ci za cudne popołudnie.

Michał nachylił się w stronę Anny, opuszką palca odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

– Ubrudziłaś się.

Ania znów się roześmiała.

– Nie wiem jak zacząć – powiedział Michał.

– Widzę, że jesteś spięty. Wal.

– Nie chciałbym, żebyś źle to odebrała.

Ania zmarszczyła czoło.

– O co chodzi?

– Chyba się zakochałem.

– To dobrze. – Ania się uśmiechnęła. – Myślałeś, że zranisz mnie tym wyznaniem? – Pokręciła głową. – Nawet nie wiesz, jak bardzo cieszę się z twojego szczęścia. Teraz to hurtowo zaczniesz znosić do domu brazylijską kawę. – Uszczypnęła Michała w bok.

Ten ani drgnął. Ba, on nawet się nie uśmiechnął.

– Ej, Misiu, co jest? Nie musisz się jej od razu oświadczać.

– Tylko że ja...

– No, wyduś to wreszcie.

– Kocham cię – powiedział na jednym wydechu.

– Mnie? – Oczy Anny zrobiły się teraz duże jak spodki.

– Ciebie.

– To nie może być prawda. – Zaczęła kręcić głową coraz szybciej.

– A jednak.

– Oszalałeś?

– Możliwe.

– Mówisz to tak spokojnie.

– A co miałbym ci powiedzieć? W końcu zdobyłem się na odwagę, żeby ci to wyznać.

– Hmmm. – Anna zaczęła wyginać palce u rąk. – Długo to trwa?

– Dość długo.

– Jezuuu – jęknęła Anna.

– Moglibyśmy spróbować. Wiem, że tamten facet cię zranił. Ale ja... Ja dałbym ci wszystko.

– Daj spokój... – Anna przygryzła dolną wargę. Zrobiła to na tyle mocno, że poczuła metaliczny smak krwi.

– To tyle masz mi do powiedzenia? – Michał poczuł ogromny ból w sercu.

– Ja wciąż go kocham...

– Nieprawda. – Michał wstał. – Wmawiasz to sobie. Wyobrażasz sobie różne rzeczy, a to nieprawda. On do ciebie nie wróci. Ma żonę i dziecko.

– A może nie jest szczęśliwy? Skoro napisał...

– A może jest! Przestań być naiwniaczką! – Michał podniósł głos.

– Słucham?

– Dobrze słyszałaś.

– Nie chcę cię zranić... – Anna wyciągnęła w kierunku Michała rękę, ale on zrobił unik.

– Już to zrobiłaś.

– Niech zostanie tak jak jest.

– Nie, Anka. Nie może zostać tak jak jest. Nie mogę cię dłużej spotykać i cierpieć. Bo ja cierpię.

– A nasza przyjaźń? – Anka patrzyła na niego zdumiona. – Czy nasza przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy?

Wzruszył ramionami.

Anna poczuła wielki zawód.

Tego samego dnia Anka postanowiła poszukać sobie jakiejś pracy z zakwaterowaniem. Jako gosposia albo opiekunka do dzieci.

Po dwóch tygodniach poszukiwań, podczas których Michał unikał jej na wszelkie możliwe sposoby, poszła na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy jako opiekunka u starszej schorowanej lady, która mieszkała w starym dworze, położonym w West Lotian, jakieś pół godziny drogi od Edynburga.

Weszła przez bramę na posesję. Ciemne kamienne płyty tworzyły chodnik, który prowadził do dworu. Dookoła chodnika wysypane były drobne, rdzawopomarańczowe kamyczki. W równej odległości od siebie ustawione były donice, w których rosły tuje. Buki i brzozy tworzyły nad ścieżką liściasty baldachim. Jakiś mężczyzna zajmował się grabieniem. Na plecach miał garb, ubrany był w łachmany. Kiedy Anna przechodziła obok, podniósł głowę. Pod wpływem jego spojrzenia kobieta zdrząła. Przyspieszyła kroku. Dookoła czuć było wiosnę.

Zapukała. Otworzyła jej stara, tęga kobieta.

– Ja do lady Abigail – powiedziała Anna. – Czy to pani?

Stara kobieta się roześmiała.

– Czy wyglądam na lady Abigail? – Nie czekając na odpowiedź, kobieta ciągnęła dalej: – Jestem Francesca. Lady Abigail jest tam. – Wskazała ręką w głąb korytarza. – Przejdiesz korytarzem przez kuchnię, a kiedy ją miniesz, pójdziesz dalej prosto. W salonie czeka na ciebie lady Abigail.

Anna weszła do kuchni, która była naprawdę duża. Mogła mieć około dwudziestu metrów kwadratowych. Podłoga była kamienna. Na jednej ze ścian wisiały stare szafki, a o drugą ścianę oparty był kredens. Pod oknem stały białe donice, w których rosły kaktusy. Ołowiane rury zdobiły narożniki ścian. W kącie stał wielki, kafłowy piec. Anna poczuła się tutaj, jakby cofnęła się w czasie i znalazła w epoce wiktoriańskiej. Przeszła dalej korytarzem, który wydawał się mroczny. Na ścianach wisiały lampy naftowe. Poczowała dreszcz przerażenia.

„Jeszcze mogę stąd prysnąć” – pomyślała. „Wystarczy, że się odwrócę i po prostu stąd wyjdę. Ale co potem?”

Przeszła dalej. Podłoga trzeszczała z każdym jej stąpieniem. Powietrze w domu było nasiąknięte wilgocią. Unosił się też zapach stęchlizny. Kiedy weszła do salonu, zobaczyła mnóstwo bibelotów i starych fotografii. Na fotelu, przykryta kocem, drzemała staruszka. Anna nie wiedziała, co ma zrobić, czy ją obudzić, czy zaczekać. Postanowiła zaczekać. Usiadła na krześle i rozejrzała się dookoła. Ściany były pokryte wzorzystą tapetą, która w niektórych miejscach odchodziła. Sufit był wysoki, pokryty zdobieniami. Wisiał na nim kryształowy żyrandol. W rogu stał fortepian, na którym poustawiane były porcelanowe bibeloty. Na ścianach w pozłacanych ramach wisiały obrazy. Okna były duże, wpuszczając do pomieszczenia dużo światła. Wychodziły na ogród, za którym rozciągał się las. Nad oknami wisiały mosiężne karnisze, na których zaczepiono aksamitne zasłony.

Na jednej ze ścian wisiał portret pięknej kobiety. Miała takie smutne oczy. Oczy, które wylały dużo łez.

– To moja matka – odezwała się nagle staruszka.

Anna się przestraszyła.

– Dzień dobry. – Anna wstała. – Jestem Anna. – Nie wiedziała, jak się zachować. Najchętniej by się skłoniła w pół, ale uznała, że lady Abigail wcale tego nie oczekuje.

– Wiem... A ja Abigail. Lady Abigail McGregor. Jakkolwiek to brzmi. – Twarz lady, mimo podeszłego wieku, była urocza. Może nie piękna, a urocza. Skórę miała nazbyt ciekłą, ale nie było na niej tyle zmarszczek, co u świętej pamięci babci Anny.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. Usiądź, kochana. Ten dom mam w spadku po ojcu – zaczęła lady Abigail. – Ja dostałam ten dwór, siostra i jej dzieci pozostałe nieruchomości.

– Duży dom. – Anna pokręciła głową.

– Tak. I drogi w utrzymaniu, ale mam pieniądze. Jeszcze... – Gospodyni uśmiechnęła się niemrawo.

– Zawsze może go pani sprzedać.

– Mogę, ale chyba nie chcę. Dwa skrzydła są zamknięte. Ogrzewamy tylko dół. Mam do pomocy starą Francescę, ale ostatnio zaniemogła, dlatego potrzebuję nowej gosposi, może inaczej, opiekunki, bo i ja podupałam na zdrowiu. Mam reumatyzm. Ciężko mi chodzić. Muszę używać tego cholerstwa. – Wskazała na chodziki. – Już o lasce nie mogę chodzić. Przewracam się. Będiesz mieszkała w domku gościnnym. Tutaj jest takie urządzenie – stara kobieta wskazała na elektroniczną nianię – które pomoże nam w komunikacji. Będiesz pracowała od dziewiątej do siedemnastej, ale niekiedy będę potrzebowała cię też wieczorem.

– Dobrze. – Anna skinęła głową.

– Powinnaś być bardziej niepokorna. W twoim wieku...

– Nie rozumiem?

– Nie zgadzaj się na wszystko, co ci powiem. – Lady Abigail uśmiechnęła się do Anny, a ta nie wiedziała, o co chodzi staruszce.

– Pochodzę z tak zwanych wyższych sfer. Odebrałyśmy dobre wykształcenie. Wraz z siostrą uczęszczałyśmy do University of Aberdeen. Od szóstego roku przebywałyśmy w internacie. Nie znałam innego życia. Wydawało mi się, że jestem uprzywilejowanym dzieckiem, kiedy chodziłam do *posh school*. Tak naprawdę po latach zrozumiałam, że zabrakło w tym wszystkim rodzicielskiej miłości. I może dlatego tak bardzo jej pragnęłam.

– Miłości?

– Tak, miłości. Cierpiałam na głód miłości. Ale o tym kiedy indziej. – Lady Abigail sama nie wiedziała, czy chce opowiedzieć nieznajomej o swoim życiu. Jednak przecież po to ją tutaj zatrudniła. Chyba podświadomie szukała spowiednika, a że w księży i Boga nie wierzyła, potrzebna jej była postronna osoba. Polka. Polacy to taki sentymentalny naród, z tym swoim Szopenem, Słowackim. Z tym przywiązaniem do tradycji. Podziwiała ich i nienawidziła. Przez niego ich trochę nienawidziła.

– Po Aberdeen wyjechałam z siostrą do Szwajcarii, gdzie ukończyłam kolejne kursy, potem wróciłyśmy do Szkocji. Trwała wojna. Północ Szkocji nie była tak niebezpieczna jak Anglia, zresztą tato... Hmmm. On się świetnie odnalazł w nowych okolicznościach. Nic nam nie groziło. Byliśmy bezpieczni. Po wojnie rodzice wysłali nas do szkoły wdzięku. Teraz myślę, że to było niepotrzebne. Po cholerę taka szkoła. – Na chwilę umilkła. Anna była lekko poruszona tym potokiem wynurzeń. – Mam ogrodnika i gosposię – ciągnęła lady. Francesca jest już stara. No może nie tak stara jak ja, ale potrzebuje pomocy. Ja niestety też potrzebuję. Kto by pomyślał, że będę taka stara – westchnęła ciężko.

– Rozumiem. Czyli ja miałabym się panią opiekować?

– Powiedzmy... – Staruszka się roześmiała. Echo jej śmiechu rozeszło się po salonie i korytarzu.

Anna zadrżała.

– Możesz obejrzeć sobie zamek – powiedziała lady.

Anna chciała odmówić, ale wzrok starej kobiety był tak przenikliwy, że skinęła tylko głową.

– Tutaj masz klucze. – Szkotka wskazała głową na pęk kluczy, który leżał na komodzie.

Anna chwyciła je i stała jak wmurowana.

– No idź już. Idź. Wejź do pokoju numer osiem, a zrozumiesz, jak wielka może być miłość...

Kobieta szła ciemnymi korytarzami, ściskając pęk kluczy. Na każdym drzwiach był numer, podobnie jak i na kluczach. Nie widziała potrzeby, aby wchodzić do każdego pomieszczenia. Otworzyła natomiast pokój numer osiem. Jej oczy poraził kolor ścian. Krwistoczerwony, który był tak intensywny, jakby ktoś wymalował je wczoraj, co nie mogło być prawdą. Na środku pokoju leżał dywan. Wyglądał na drogi, ale już wyblakł z upływem czasu. Pod oknem stała sofa, pokryta ałasem, również w kolorze czerwonym, ale nie tak intensywnym jak ściany. Jednak tym, co najbardziej uderzało, były zdjęcia. Anna podchodziła do fotografii. Było ich setki. Poustawiane na gzymsie kominka, na półkach, nawet na podłodze. Wszystko w tym pokoju było zakurzone, oprócz fotografii. Każda przedstawiała młodego mężczyznę. Czyżby to był mąż lady Abigail? A może kochanek? Nie, pewnie mąż. Co ciekawe, na żadnym zdjęciu mężczyzna nie był z lady Abigail, tylko sam. Ależ ona musiała go kochać.

Kiedy Anna wróciła do salonu, lady Abigail drzemała. Usłyszawszy kroki, otworzyła powieki.

- I jak? – zapytała Annę.
- Robi wrażenie.
- Tak. Niestety, musiałam pozamykać wszystko. Niepotrzebna mi taka przestrzeń. Kiedyś mieszkała tutaj moja rodzina.
- Pani z mężem? – zapytała ostrożnie Anna.
- Nie. Mój mąż nie był tutaj mile widziany. To było jeszcze przed tym, zanim go poznałam. Mieszkali tu moi rodzice, babcia, ja i siostra, a także służba. Aż trudno uwierzyć, że stary dwór tętnił kiedyś życiem. To kiedy możesz zacząć?
- A rozmowa kwalifikacyjna?
- Właśnie się odbyła. Chcę cię zatrudnić.
- Oooo. – Anna się nie spodziewała, że sprawy potoczą się tak szybko.

W dniu wyprowadzki czekała w kuchni na Michała, dość długo. W końcu wszedł i zaczął parzyć kawę.

- Wyprowadzam się – powiedziała.
- Słyszałem.
- Dzisiaj.
- Na moment znieruchomiał.
- Okej.
- Znasz mój numer telefonu, zawsze możesz zadzwonić.
- Sądzę, że nie będę tego potrzebował.
- Skoro tak twierdzisz.
- Powodzenia. – Nawet nie odwrócił się w jej stronę.
- Dzięki.

Tylko tyle. Anna poczuła wielki ból w sercu. Michał natomiast zamknął się w łazience i rozpłakał. Płakał dość długo i intensywnie. Wiedział jednak, że nie jest w stanie zmusić nikogo do miłości.

Rozdział 13

Anna zamknęła się w pokoju i nakryła kocem po sam czubek głowy. Marcin wrócił do niej we wspomnieniach. Pamiętała doskonale, jak skomlała o jego miłość. Wręcz obsesyjnie o nią żebrała. Na ostatnim roku studiów Marcin powrócił do rodzinnego miasta i oznajmił jej, że się zakochał i bierze ślub. Anna nie mogła w to uwierzyć. Na początku myślała, że z bólu pęknie jej serce, potem rzewnie płakała, później była na niego wściekła. Wydzwaniała do niego, często pijana, i obrzucała wyzwiskami. A potem nastął okres skomlenia. Któregoś dnia przyjechała do jego mieszkania. On właśnie się pakował.

– A więc wyjeżdżasz? Do niej.

– Tak. – Skinął głową.

– A ja?

– Ania...

– W czym jestem od niej gorsza?

– Nie jesteś ani lepsza, ani gorsza. Jesteś po prostu inna.

– Pofarbuję włosy, zrzucę kilka kilo, zmienię się.

– Anka, do cholery, opanuj się. – Marcin złapał ją w ramiona. – Uspokój się. Po prostu sprawy się skomplikowały. Ona... A zresztą nieważne.

– Nie kochałeś mnie? Wiedziałeś, że na ciebie czekam.

– Kochałem, ale wszystko się zmieniło. To, co się działo między nami, było kiedyś. To była młodzięcza miłość.

– Kocham cię. – Anna pocałowała Marcina z zaskoczenia. On się wzdrygnął i odsunął ją od siebie.

– Nie rób tego więcej.

– Kocham cię – powtórzyła.

– Ale ja już nie. – Te słowa dotknęły ją do żywego. – Proszę, idź już.

Odezwał się do niej dwa i pół roku temu. Dziesięć lat po tym, kiedy ostatnio się z nim widziała. Była ostrożna. Jednak on wysyłał jej esemesy, maile. A ona czekała na każdą wiadomość z utęsknieniem. Obudziła się w niej nadzieja. Kilka razy przyjechał z Gdańska do Warszawy, dla niej. Przynajmniej tak mówił, a że miał coś do załatwienia, to przy okazji. Rozmawiali godzinami przy kawie, winie. A ona na nowo się w nim zakochiwała. Czułe słowa, jego dłoń na jej dłoni. I te kłamstwa, którymi zabarwiony jest każdy romans. To znaczy to nie był romans, bo Anna nie pozwalała się do siebie zbliżyć. „Jeszcze nie teraz” – myślała.

Którejś soboty zadzwonił do niej. Oznajmił, że żona od niego odeszła, że nie ma nikogo, żeby

przyjechała.

– Kocham cię – powiedział do słuchawki.

– Jesteś pijany? – zapytała. Za dobrze go знаła, by nie wyczuć, że jego głos brzmi inaczej. Zresztą to wyznanie...

– Tak... Trochę.

– Gdzie mieszkasz? Ja nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

Podał jej adres.

– I co, mam wsiąść w samochód i do ciebie przyjechać? To około sześciuset kilometrów. Jest wieczór.

– Proszę, ratuj mnie. Kocham cię – skamlał do słuchawki.

Pożyczyła od ojca samochód, odwołała niedzielny obiad u rodziców, zamiast tego pędziła do niego jak szalona. Nie zwalniając na zakrętach, dociskała gazu.

Przyjechała pod podany adres kilka godzin po jego telefonie. Zapukała do drzwi, ale nikt nie otwierał. Nacisnęła dzwonek. Cisza. Pociągnęła za klamkę, drzwi ustąpiły. Weszła do przedpokoju.

– Marcin? Jesteś tu? – Poczuli się jak w tych filmach, w których ktoś wypada zza rogu, zabijając swoją ofiarę.

Odpowiedziała jej cisza.

Ruszyła w kierunku otwartych drzwi. Weszła do kuchni, w której panował bałagan. Talerze oblepione były resztkami jedzenia, na stole stały puste butelki po piwie i dwie po wódce.

– No to ostro zabalowałeś – powiedziała do siebie.

Z kuchni skierowała się korytarzem w prawą stronę. Otworzyła pierwsze drzwi. Pokój dziecięcy. Coś ścisnęło ją w dołku. To z inną ma dziecko, nie z nią. Zamknęła je pospiesznie. Przeszła dalej. Doszła do małżeńskiej sypialni. Na łóżku zwinięty w kłębek spał Marcin. Na ekranie telewizora zobaczyła nieruchomy obraz: Marcin trzymający w objęciach roześmianą kobietę, a na pierwszym planie biegnący chłopczyk. Odwróciła głowę. Dookoła Marcina leżały albumy ze zdjęciami. Serce zaczęło bić w jej piersi jak szalone. A więc on ją kocha, wciąż kocha... Po cholere tu przyjechała. Odwróciła się tak szybko, że potarła nocną szafkę, a szklanka, która na niej stała, zabiła się z hukiem.

– Co jest? – Marcin zaczął się przeciągać. Przetarł oczy i spojrzał na Annę.

– Wróciłaś?

– Jestem.

– Beata...

– Nie, to ja, Anna. – Kobieta poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Sięgnęła po poduszkę i z całej siły rzuciła nią w Marcina.

– Jezuuu... Co ty tu robisz?

– Przyjechałam, bo jęczałeś mi do słuchawki.

Marcin podniósł się z łóżka. Zionęło od niego przetrawionym alkoholem.

– I adres ci podałem?

– Najwidoczniej.

– Ach tak...

– No tak.

Mierzyli się wzrokiem. Po raz pierwszy Anna pomyślała, że ten mężczyzna wcale jej się nie podoba. Już nie chodziło tylko o jego wczorajszy wygląd, worki pod oczami, przekrwione oczy i przetłuszczone włosy. Denerwował ją jego sposób bycia, te urywane zdania i to, że traktował ją jak zbędną rzecz.

– Pozbieram szkło i sobie pójdę.

– Nie, zostaw. Napijesz się ze mną kawy, skoro tu jesteś?

– Skoro już tu jestem. A lepiej by było, gdyby mnie nie było. Wszystko musisz spieprzyć.

– O co ci chodzi? – Uniósł do góry brew.

– Co to znaczy: „Skoro tu jesteś”?

– Oj, tak mi się powiedziało.

- Bardzo mi miło. Sama nie wiem, czy mam ochotę wypić z tobą kawę.
- Przestań, jestem skacowany, zły, nie mam ochoty się z tobą przekomarzać.
- Gnałam do ciebie na złamanie karku.
- Miło mi.
- Och, dziękuję jaśnie panu. Jestem głupia, że tu się zjawiałam.
- Ostatnio było nam ze sobą fajnie.
- Masz żonę i dziecko.
- Chodź, wypij ze mną kawę. Proszę cię tylko o to.
- Kilka godzin temu wyznawałeś mi miłość.

Marcin zbył te słowa ciszą. Podniósł się z łóżka.

Po kilku chwilach siedzieli w ogrodzie, popijając kawę.

- Ładnie tutaj.
- Mi też się podoba.
- Macie kryzys? – Anna wiedziała, że powinna mu współczuć, ale w gruncie rzeczy się ucieszyła.
- Nie nazwałbym tego kryzysem.
- To co?
- Ach, wiesz, jak to w małżeństwie.
- Nie, nie wiem. Jak wiesz, nie jestem mężatką.
- Powinnaś sobie kogoś znaleźć. – Zacisnął dłoń na kubku.
- Słucham?
- Chciałbym, byś była szczęśliwa.
- Od kilku tygodni piszesz mi czule esemesy, przyjeżdżasz, by się ze mną spotkać, obiecujesz złote góry. Mówisz o kryzysie w swoim małżeństwie, a teraz mi oznajmiasz, że bym spadała?

– Tego nie powiedziałem.

– W podtekście.

Marcin odłożył kubek na wiklinowy stolik i delikatnie dotknął jej ręki.

- Po co do mnie zadzwoniłeś? – Anna upiła łyk kawy. Była obrzydliwa, tak mocna, że aż kwaśna.
- Wczoraj cię potrzebowałem.
- Dziś, mam rozumieć, że już nie.
- Anka, uspokój się.
- Myślisz, że mi jest łatwo? Po tylu latach wszystko do mnie wróciło. Na nowo się w tobie zakochiwałam.

– Chciałbym się z tobą przyjaźnić.

– A twoja żona? Co ona na to?

– Ona o tobie nie wie.

– Nie powiedziałeś jej o mnie?

– Nie, po co? Nie chciałem, by cierpiała.

– O, jaki ty jesteś szlachetny. Czyli mnie mogłeś zranić, ale jej to już nie.

– Z ciebie jest silna babka.

– Nie aż tak bardzo... Nie aż tak bardzo.

Anna omiotła wzrokiem ogród. Był piękny. Zawitała do niego jesień. Dojrzewały jabłka, gruszki spadały na trawę. Winogrona przyciągały wzrok, kusząc purpurą. Były dorodne, o wielkich kiściach. Drzewa nabierały różnorodnych barw. Tylko trawa nadal bujnie rosła...

– To o co wam poszło?

– Chyba nie muszę odpowiadać na to pytanie?

– A nie sądzisz, że jesteś mi to winien? Przejechałam dla ciebie pół Polski. Zamartwiałam się o ciebie.

– Ja chcę drugie dziecko, ona chwilowo nie – wypalił.

Anna poczuła się tak, jakby dostała cios w brzuch.

– Zawsze byłeś... Hmm – szukała odpowiednich słów. – Lekko duchem.

– Ale teraz chcę mieć liczną rodzinę. Z tą kobietą.

Anna poczuła, że już dłużej tego nie wytrzyma.

– Jesteś dupkiem! – Poderwała się z krzesła. Nie wiedziała, co ma zrobić z kubkiem kawy. Była zamoczona wściekłością. Bez namysłu chlusnęła zawartość w stronę Marcina.

– Nigdy! Powtarzam, nigdy do mnie nie dzwoń! – wymachiwała rękami. Marcin rękawem wycierał kawę z twarzy.

– Jesteś popieprzona!

– Ja? Wal się!

Ruszyła w kierunku podjazdu. Cała telepała się ze złości.

Miesiąc później była już w Szkocji. Dlaczego do niej napisał? Po chuj! Niech go chuj strzeli!

Rozdział 14

Gościnny domek znajdował się po prawej stronie dworu, na tej samej posesji. Otoczony był wysokimi, kulistymi tujami i kasztanowcami. To w nim Anna miała zamieszkać.

Kobieta włożyła klucz do zamka. Klucz nie chciał się przekręcić. Spróbowała jeszcze raz. Ustąpił. Wewnątrz czuć było zapach kurzu. Podeszła do starych okiennic i otworzyła je.

Dookoła domku miała widok na połacie róż. Niektóre z nich pączkowały.

– Jesteś tu, dziecinko? – Usłyszała głos Franceski.

Anna wyszła jej naprzeciw.

– Przyszłam ci pomóc w sprzątaniu – powiedziała gosposia.

– Dziękuję, sama posprzątam.

– Miałam to zrobić dwa dni temu, ale noga tak mnie rwała. – Twarz Franceski oblał rumieniec.

– Dam sobie radę. Niech mi tylko pani pokaże, gdzie są środki czystości.

Francesca wręczyła dziewczynie ściereczki, kilka butelek chemikaliów.

– Na pewno dasz sobie radę? – upewniła się gosposia.

– Na pewno – zapewniła Anna. – Tak naprawdę nie ma tu bałaganu, tylko tumany kurzu.

Obie w tym samym czasie zakasłały.

Anna odkurzyła domek, wymyła podłogi, starła grube warstwy kurzu z mebli. Po tych zabiegach dom wyglądał pięknie. Annę urzekły drewniane bele drewna ułożone na podłodze oraz meble wykonane z olchy, a także piękny kafłowy piec w kuchni podobny do tego we dworze. Stary kredens, który też stał w kuchni, postanowiła odmalować na biało. Uśmiechnęła się do siebie.

Następnego dnia, gdy Anna się przebudziła, musiała sobie przypomnieć gdzie jest. Zostawiła na noc uchylone okno, teraz słychać było z dworu świergot ptaków. Promienie słoneczne prześlizgiwały się przez szparę w oknie, tworząc na podłodze asymetryczne wzory.

Anna napełniła wannę. Dolała do niej sporą ilość migdałowego olejku do kąpienia i zanurzyła się w pianie. W powietrzu unosił się piękny zapach migdałów. Po kąpieli otuliła się szlafrokiem. Dziś zaczynała pracę dopiero o dwunastej, dlatego postanowiła spędzić leniwy poranek.

Wypiła kawę i wysłała do Michała link z piosenką: *Thank you for loving me* w wykonaniu Davida Garretta.

Nie odpisał. Zbyt mocno go zraniła.

Punkt dwunasta Anna stawiała się w salonie, gdzie czekała na nią stara lady. Przez chwilę kobiety

badaly się wzrokiem. Anna zastanawiała się, ile lady może mieć lat. Wydawała jej się taka stara, że aż zdziwiła się, że jeszcze żyje. Na pewno miała koło dziewięćdziesiątki, albo więcej lat. Skóra na jej twarzy była niemal przezroczysta.

– Wiesz, dlaczego cię zatrudniłam? – zapytała lady Abigail.

– Tak naprawdę to nie. Nigdy nie byłam gosposią.

– Z dwóch powodów. – Lady Abigail zapaliła papierosa. Zakasłała. – Nie powinnam tyle palić.

– Pewnie nie – odparła nieśmiało Anna.

– Lubię palić. Życie zbyt szybko przemija, aby pozbawiać się na własne życzenie drobnych przyjemności. Ale nie o tym... Zatrudniłam cię, bo kochałam kiedyś Polaka. To była moja największa miłość.

– I co? – Anna się zaciekawiła. „Czy ten mężczyzna ze zdjęć był Polakiem?” – zastanawiała się.

– Wydawało mi się, że można kochać za dwoje. Waldek... On też mnie kochał, ale był zraniony i... Kochał muzykę i Szopena, wiatr we włosach, zachody i wschody słońca, Polskę... Kochał wiele rzeczy i ludzi. Moja miłość nie była już tak podzielna. Ja kochałam tylko jego. Wam, młodym, wydaje się, że to wy wszystko odkrywacie. Ale te lądy, co wy odkrywacie, zostały już dawno odkryte. Ja też paliłam marihuanę, upijałam się whisky, spotykałam się z chłopcami. Miałam to szczęście, że byłam ładna, więc mogłam wybierać mężczyzn. Dopóki nie pojawił się on. Inny od tych, których do tej pory znałam. To miłość do niego mnie zmieniła. Waldek przybył do Szkocji po wojnie. Był polskim oficerem walczącym za wolność naszą i waszą. Tak to mówicie?

– Tak.

– Dzisiaj zjemy razem kolację. Nie jadam kolacji, ale dzisiaj chcę cię zaprosić na wspólny posiłek.

– Dziękuję.

– Francesca coś przygotuje.

Anna najchętniej zapytałaby lady, jak potoczyły się losy jej i Waldka, ale wiedziała, że nie może być wścibska.

Wspólna kolacja wydała się Annie sztywna i napszona. Jadalnia była ogromna. Stał w niej dębowy stół, pomieszczenie ogrzewał kominek zrobiony z kamienia. Wielodzielne wysokie okna wpuszczałyby zapewne dużo światła, gdyby nie były zasłonięte kotarami. Jedzenie było typowo brytyjskie: kilka rodzajów *pie*, *mash potato*, *onion rings*, brukselka i gotowane na parze warzywa. Anna czuła się skrępowana, szczególnie faktem, że to stara Francesca przyrządziła i podawała posiłek. Kiedy Anna i lady Abigail jadły, gosposia stała oparta o ścianę. Po kolacji Francesca podała herbatę i maślane ciasteczka. Lady Abigail spojrzała na Annę. Od razu zauważyła w oczach młodej kobiety smutek. Ten smutek nie był jej obcy.

– Złamane serce? – stara lady zapytała bez ogródek.

– Tak... – westchnęła Anna.

– Opowiedz mi o tym. – Lady nie prosiła, ona wręcz nakazywała. Co ciekawe, Anna nie miała nic przeciwko zwierzeniom. Opowiedziała lady Abigail swoją historię.

– My, kobiety, niekiedy źle lokujemy uczucia. Kochamy... – westchnęła. – A czym właściwie jest miłość? Każdy ma inną definicję miłości.

Anna chciała coś dodać, ale lady Abigail odprawiła ją.

– Jestem już zmęczona.

– Pomóc pani przejść do łóżka?

– Nie, Francesca mi pomoże.

Anna podskórnie czuła, że nie może naciskać na staruszkę.

– Dobranoc.

Stara lady nic nie powiedziała. Jakby jej nie słyszała.

Anna początkowo nie przepadała za lady Abigail McGregor. Kobieta wydawała jej się zimna, niekiedy ekscentryczna, innym razem niemal szalona. A teraz na domiar złego wyskoczyła do niej

„kochanie”. Anna zawsze się wzdrygała, kiedy słyszała to słowo w ustach obcej osoby. Nie była niczym „kochaniem”.

– Kochanie, czy mogłabyś mi kupić ciasto czekoladowe i kawę? – poprosiła ją któregoś dnia lady.

– Mogę upiec i zrobić pani kawę.

– Wy, Polacy... Wszystko potraficie.

– Czy to jakiś przytyk? – Anna nauczyła się, że jeśli chcesz, by na obczyźnie cię szanowano, musisz sama się szanować.

– Skądże znowu. Podziwiam waszą pracowitość i to, że niemal wszystko umiecie. Nie chcę, byś mi piekła ciasta i zaparzała kawę. Chcę, byś mi je kupiła.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że powinnaś się przewietrzyć?

– Dobrze, skoro pani tak twierdzi.

– Ja to wiem. – Lady Abigail zaczęła się śmiać. – A i jeszcze jedno, mam prośbę.

– Tak?

– Czy kupiłabyś kartkę urodzinową dla mojego brata? I jakiś upominek.

Anna otworzyła szeroko oczy.

– Myślałam, że jest pani osobą samotną.

– Bo jestem. – Lady Abigail machnęła ręką, jakby próbowała odgonić jakąś natrętą muchę.

Anna postanowiła nie drażnić tematu.

– A ten upominek? Ja nie mam pojęcia, co pani brat lubi.

– Ja też nie.

– To co mam kupić?

– Cokolwiek. Weź kartę od Franceski. Ona poda ci też pin. Cena nie gra roli. Jak już coś kupisz, wręcz ogrodnikowi, on wyśle upominek.

– Ale...

– Idź już, drogie dziecko, potrzebuję snu.

Anna skinęła głową.

Do centrum dotarła po półgodzinie jazdy autobusem. Siąpił deszcz. Weszła do kilku sklepów z upominkami, ale nie miała pojęcia, co wybrać. Kupiła kartkę urodzinową. Chodziła między sklepowymi półkami, zła na lady Abigail za to, że nie uzyskała od niej żadnej podpowiedzi, co lubi jej brat. „Co z niej za siostra?” – pomyślała z irytacją. Ona nawet nie wiedziała, ile ten człowiek ma lat. W końcu zdecydowała się na kupno męskiego szalika z kaszmiru i ręcznie robionych czekoladek.

Po powrocie Anna podeszła do ogrodnika, który znów grabił liście. Czuliła się dziwnie w jego obecności. Sama nie wiedziała dlaczego, ale się go bała. Przypomniały jej się wszystkie horrory, które do tej pory obejrzała z nawiedzonymi ogrodnikami w tle. Wszyscy oni grabili liście. „Boże, przecież od tego jest ogrodnik” – pomyślała.

– Co tam? – zagrział basowy głos, a Anna niemal nie podskoczyła.

– Mam tutaj paczkę, dla brata lady Abigail.

– No i? – Mężczyzna podniósł na nią wzrok. Nie mógł się wyprostować z powodu wielkiego garbu.

– Ponoć będzie wiedział pan, co z tym zrobić.

– Nie będę.

Anna stała jak słup soli.

– Będę, będę. – Roześmiał się.

– Dziękuję.

– A i jeszcze jedno, panienko, to, że nie jestem specjalnie za ładny, nie czyni ze mnie złego człowieka.

– Ale ja tak nie myślę.

– Nie musisz się obawiać. Jordan jestem. – Stary ogrodnik się uśmiechnął.

– Anna. – Ance zrobiło się wstyd, że źle pomyślała o człowieku, którego w ogóle nie znała. Za kogo ona się uważa?

Rozdział 15

Lady Abigail spojrzała w lustro. Już dawno powinna powiedzieć Francesce, żeby je zabrała z jej sypialni. Nie mogła patrzeć na tę staruszkę, którą się stała. Dziś miała twarz mokrą od łez. Cholerne wspomnienia. Na co je przywoływać? A może każdy z nas w którymś momencie życia stwierdza, że musi się wyświadczyć ze swoich grzechów? Spojrzała w lustro ponownie. Miała pomarszczoną, wymizerowaną twarz i zapadnięte policzki. Od ponad roku nie miała apetytu. Ponoć to normalne u starszych ludzi. Starość też jest normalna. Taka kolej rzeczy. Jednak lady Abigail brzydziła się starością.

Przywołała Francescę. Tego dnia chciała wyjść naprzeciw starości. Miała już dość szlafroków i bezkształtnych sukien *à la* podomki.

Anna nie mogła oderwać wzroku od lady Abigail. Kobieta wystrojona była w błękitną, długą koronkową suknię. Jej dłonie zdobiły rękawiczki wykonane również z koronki, wykończone futerkiem. Jej ramiona otulała etola. Na szyi wisiał naszyjnik, zapewne z drogich kamieni, o odcieniu głębokiego błękitu. Czyżby szafiry? Kobieta wyglądała, jakby wybierała się na bal, a nie rozpoczynała zwykły dzień.

– Czy wiesz, jak wygląda i smakuje starość? – zapytała Annę lady Abigail.

– Jest pomarszczona?

– Nie wiesz, jaka jest starość, dopóki jej nie odczujesz na własnej skórze. Starość jest zakurzona, pachnie pleśnią, takimi zgniłymi liśćmi. Gnije. Wszystko w tobie gnije, wspomnienia, marzenia... Nie, w tym wieku to już człowiek nie marzy, a wspomina.

Anna patrzyła szeroko otwartymi oczami na starą lady. „Czy ona jest normalna?” – zastanawiała się.

– Z moją głową wszystko w porządku. – Stara kobieta skomentowała ze śmiechem, jakby czytała w myślach Anny. – Tak tylko mówię o starości, bo nie mam się komu zwierzyć. Starość jest okropna. Odziera ze złudzeń. A stare ciało takie niewdzięczne.

Pomarszczona twarz kobiety jakby na moment obwisła.

– Wiesz, ja wiedziałam, że nasza miłość skazana jest na porażkę. Od początku to czułam. Zbyt wiele nas dzieliło, a mimo to brnęłam w to.

– Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi.

– O mnie i o Waldku. O Polaku, którego kochałam. Kobiety potrafią bezgranicznie kochać. Niekiedy ślepo. Ktoś kiedyś powiedział, że najpiękniejsze miłości to te najbardziej tragiczne, bo wtedy człowiek kocha jeszcze bardziej. Bo wmawia sobie, że gdyby ta miłość przetrwała, to byłoby tak pięknie. Nieprawda. Miłość stałaby się wówczas codziennością, a każda codzienność kiedyś nudzi. Zdajesz sobie

sprawę, że są takie kobiety, które wybierają niewłaściwych mężczyzn. Takich, którzy je ranią. I najgorsze w tym wszystkim jest to, że one im na to pozwalają. Kobiety czasem wpadają w takie koleiny. W imię czego dają się ranić? Wszystko można usprawiedliwić miłością?

– Chyba nie. To nie jest miłość. Jeśli jedna ze stron umyślnie nas krzywdzi, to to nie jest miłość. A pani, jaką pani jest kobietą?

– Byłam... Teraz jestem starym człowiekiem. A kiedyś byłam kobietą poszukującą. Szukałam w sobie tej kobiety, którą bałabym się zostać, tej, którą chciałabym być, i tej, którą cieszę się, że nie jestem. Wiesz, ja chyba wtedy nie chciałam być jak moja matka. Wydawała mi się nieszczęśliwa w małżeństwie. Ani taka jak moja babka, która nigdy dziadka nie kochała, zresztą z wzajemnością. Chciałam być inna niż one. Chciałam tańczyć do rana, czuć namiętność, pożądanie i śmiać się do utraty tchu. Chciałam czuć miłość i chciałam być szczęśliwa. Znajomość z Waldkiem wydawała mi się taka ekscytująca. Polski oficer. Inne spojrzenie na świat, inna wrażliwość, inna kultura... Nalej mi wody, proszę. A potem opowiem ci o nim.

Anna nalała wody z dzbanka i podała starej kobiecie.

– Człowiek żyje w kłamstwie, tylko jeśli ma coś do stracenia, w innym wypadku zawsze wybiera prawdę – powiedziała lady Abigail po wypiciu kilku łyków wody.

– Nie uważa pani, że prawda może być niekiedy zagrożeniem?

– Tak, niekiedy tak... Opowiem ci wszystko. Jestem już stara, może mi się coś pomylić. Na pewno mi się pomyli. Już sama nie wiem, co było kłamstwem, a co prawdą. Która miłość była prawdziwa, a która zrodziła nienawiść. Wiem jednak, że nieodwzajemniona miłość czasami staje się gorzka, jest jak trucizna. Wilcza jagoda. Zabija. Zraniona kobieta pod wpływem emocji zdolna jest do popełnienia największych zbrodni. I pewnie pomyślisz: może ona tak, ale ja nie. Nie wiesz, co byś zrobiła, kiedy byłabyś na moim miejscu czy miejscu Marysi... Nawet anioły bywają niekiedy opętane przez demony. To będzie historia przepelniona namiętnościami, ale i bólem, kłamstwem, nienawiścią i intrygami. Nie możesz nikogo osądzać ani potępiać. Nie chcę się usprawiedliwiać. Nie chciałam być samotna. Nikt nie chce. Chciałabym cię przestrzec przed popełnieniem tych samych błędów, które ja popełniłam. Nie warto się zatracać, nie warto siać zamętu, a jeśli miłość się skończy... A może zawsze warto? – westchnęła lady Abigail, po czym kontynuowała: – Aby zrozumieć moją historię, musisz wiedzieć, jak to było w Szkocji kilkadziesiąt lat temu.

W dniu 9 maja 1945 roku w Londynie i w Moskwie, w Paryżu, w Pradze i w Edynburgu miliony ludzi, ogarniętych radością i nadzieją, wyległy na ulice i place. Wiwatując, świętowano zakończenie wojny. Z wojennego odmetu miał się wyłonić świat lepiej urządzonej, świat bez gwałtu i agresji, prześladowań i przemocy, w którym prawa wszystkich narodów będą ściśle respektowane. Po sześciu latach wojny spustoszona Europa znajdowała się w stanie skrajnego zamętu – ekonomicznego, politycznego, duchowego. Niektórzy ludzie, a zapewne ci z wyższych sfer, chcieli odbudować Europę na dawnych zasadach, gdzie rządzić będzie wyższa klasa. Wielka Brytania w latach czterdziestych i pięćdziesiątych chciała pozostać taka jak przed wojną. A w tak zwanej klasie wyższej wszystkie normy i zachowania pozostawały sztywno określone. Co nie znaczy, że nie panowała tutaj skrzywiona moralność, nie było rozbojów, zdrad, kłamstwa i zazdrości. Były, tylko się o tym głośno nie mówiło lub mówiło na proszonych herbatkach, ale tylko między sobą. – Lady Abigail przerwała. – Jakoś tu duszno, może otworzysz okno? – zwróciła się do Anny. Młoda kobieta skinęła głową i lekko uchyliła okno.

– To były inne czasy... – kontynuowała stara lady. – Wtedy rodzina miała ogromny wpływ na swoje dzieci, nawet na te, które były już pełnoletnie. Rodzice mówili, jakie studia dzieci wybiorą, pilnowali, żeby ich pociechy obracały się we właściwym towarzystwie.

Nasza rodzina po wojnie nie ucierpiała pod względem bogactwa. Na pewno nie było tak jak przed wojną, bo zamiast całego sztabu lokajów zostało nam dwóch, zamiast trzech pokojówek jedna, i jeden kucharz, ale wciąż żyliśmy na bardzo wysokim poziomie.

Tato był przedsiębiorczy i podobnie jak dziadek lubił inwestować w nieruchomości. Posiadaliśmy dwór w West Lothian, w którym mieszkaliśmy w latach sześćdziesiątych i który ja odziedziczyłam, kamienicę na Morningside Road z 1830 roku, kilka mieszkań na Royal Mile, które były

warte fortunę, i dwór w Aberdeen. Nasze nieruchomości podczas wojny nie doznały żadnego uszczerbku. Najbardziej ucierpiał Londyn, Szkocja prawie w ogóle. Kiedy poznałam Waldka, mieszkaliśmy jeszcze w Edynburgu, na Morningside, on w robotniczej dzielnicy, po przeciwnej stronie miasta. – Stara kobieta uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Podziały klasowe istniały od zawsze. Podobnie jest teraz, chociaż rządzący Wielką Brytanią się tego wypierają. Ale prawda jest taka, że są równi i równiejsi. Tak było w latach czterdziestych XX wieku i tak jest teraz. W Wielkiej Brytanii od zawsze istniał pewnego rodzaju snobizm i to nie ze względu na zasobność portfela, bo tak zwana *upper class* nigdy nie lubiła dorobkiewiczów, za to pod niebiosą wychwalała ludzi, którzy wywodzili się z jej kręgów. Jeśli do nich nie należałeś, nie byłeś brany pod uwagę na zięcia, synową ani nawet na tego, z którym można porozmawiać. Chłopcy ze szkół prywatnych zajęli gabinety rządowe, by przewodzić imperium brytyjskiemu i dowodzić jego flotą i armiami, zdominowali sale konferencyjne, zapełnili stanowiska w sądach i stali się mandarynami służby publicznej. Za pośrednictwem koneksji, zaufania, niepłatnych praktyk, a także, co chyba najważniejsze, dzięki prywatnym college'om i studiom na najlepszych uniwersytetach, ci świetnie wykształceni przedstawiciele klasy arystokratycznej, klasy wyższej są dziś naszymi politykami, urzędnikami, artystami.

I wcale ta młodzież z wyższej klasy nie zachowywała się inaczej niż młodzież z klasy robotniczej. Czasami byliśmy od nich gorsi, bardziej rozpustni, snobistyczni. Wiedzieliśmy, że nam więcej można. Zamknięte przyjęcia w klubach, lunaparkach czy restauracjach. Pamiętam jedno z nich. To były dwudzieste pierwsze urodziny Jima. Jego rodzice wynajęli całe wesołe miasteczko. Pijane dziewczyny z kieliszkami wina wsiadały na karuzele, ujeżdżały konie, śmiejąc się przy tym do łez. Zawiane pary obściskowały się w namiotach. Jedni kopulowali. Jakaś panna zdjęła majtki i skakała na trampolinie, ukazując chłopcom wszystko to, co miała pod spódnicą. Szkło pękało na drobne kawałki, a zabawa trwała. – Policzki lady Abigail poczerwieniały. – Hrabia Sunnesbery rzygał do kubła z lodem, w którym chwilę wcześniej znajdowała się butelka szampana. Ale nie o tym... Waldek, to historia Waldka.

– Jak go pani poznała? – Ciekawość zżerała Annę. Ten mężczyzna musiał być przecież dla lady Abigail wyjątkowy.

– Dość zwyczajnie. Wypatrzyłam go w jednym z klubów, do których nie powinnam chodzić. Ale dałam mu odczuć, że to on wypatrzył mnie wcześniej. Kluby to dobre miejsce dla młodych ludzi, nie uważasz?

– Nie przepadam za klubami.

– Hm... No cóż. Ten był wyjątkowy, a może wtedy tak go postrzegałam. Mieścił się w podziemiach starej katedry. Mówiono, że dawniej były tam lochy, gdzie torturowano czarownice. Ponoć zła energia przenikała przez ściany, ale ile w tym prawdy? Nie wiem. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Wystrój był krwistoczerwony. Ściany pomalowane były na czerwono. Kanapy wyściełane atlasem. Na stolikach stały wazony wypełnione jakąś czerwoną cieczą, która przypominała krew. Nie wiem, czemu to miało służyć, ale wiem jedno: w tym miejscu odczuwało się inaczej, serca były mocniej, chciało się kochać. Chodzi mi o miłość fizyczną. No, no, nie patrz tak na mnie. Ludzie lubią seks. Do klubu przychodzili byli żołnierze, młode panny. Hormony buzowały. To było miejsce, gdzie powietrze przesiąknięte było pożądaniem.

Tamtej nocy wyszłam z zadymionego klubu przed północą, wcześniej spoglądając w stronę młodego oficera. Złowił moje spojrzenie. Wiedziała, że wyjdzie za mną. Szłam przed siebie z lekko uniesioną głową, a serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy usłyszałam za sobą kroki.

– Proszę zaczekać! – Usłyszałam męski głos.

Zatrzymałam się i odwróciłam w jego stronę.

– Dobry wieczór – powiedział po angielsku. Wyczuwałam silny akcent wschodni. Teraz Polacy oburzają się, kiedy mówimy, że są ze wschodniej Europy.

– Fakt, to Europa Środkowa.

– Mniejsza o to. Skłoniłam się tajemniczemu Polakowi. Szliśmy chwilę obok siebie.

– Widziałem panią w klubie.
– Doprawdy? A ja pana nie – skłamałam, mimo że w jego obecności czułam się jak rażona prądem.

– Lubi pani grać w brydża? – zapytał.

– Nie lubię.

– A pić whisky? – Zaśmiał się zażenowany.

– Też nie.

– Ach, tak. – Zaczerwienił się po koniuszki uszu.

– Ale piłam kiedyś polską wódkę. Nie smakowała mi, jednak czułam się po niej rozbawiona i taka wolna. Do widzenia.

Przyspieszyłam kroku, zostawiając go daleko w tyle.

Powiedział mi potem, że nie był przyzwyczajony do takiego zachowania. Kobiety go uwielbiały. Wysoki, barczysty blondyn o niebieskich oczach. Młody oficer.

Stara lady skinęła na Annę. Dziewczyna podeszła do niej i poprawiła koc, który zsunął się z jej nóg.

– Jaki był mój Waldek? Kochany. Wrażliwy. Dumny. Tak, był dumny z tego, że jest Polakiem. Ale o tym dowiedziałam się później. Przepraszam, że skaczę tak z tematu na temat, ale... Te emocje, choć przeszłe, odzywają we wspomnieniach. Pamiętam, kiedy mi opowiadał, jak poszedł z kolegami do restauracji. To było zaraz po zakończeniu wojny. Starsza kelnerka, która ich obsługiwała, powiedziała:

„Będę musiała powiedzieć sąsiadom, żeby córki trzymali pod kluczem. Polacy są u nas, to i trzeba dziewczyny chronić”.

Waldek się oburzył. „Nie jesteśmy zwierzętami” – powiedział.

To nie jest tak, że wygłodniali po wojnie mężczyźni brali w posiadanie, co popadnie. Oczywiście byli i tacy, co gwałcili, ale kobiety też nie były lepsze. Niektórym podobali się obcokrajowcy. Same pchały się do ich łóżek. Niektóre dziewczyny kochały żołnierzy. Chodziły za nimi do pubów czy barów. Umalowane, ubrane w najlepsze sukienki, chichotały i zerkały w ich stronę. Chciały być zauważone. W tamtych czasach wszyscy potrzebowaliśmy pocieszenia. Choć wojna wydawała się już wtedy odległa, każdy z nas nosił jej piętno.

Przywykłam do tego, że mężczyźni w mojej obecności tracą mowę i serce. Ale przy Waldku traciłam całą pewność siebie.

Rok 1947

Abigail spotkała Waldka po raz drugi w tym samym miejscu. Kiedy weszła od klubu, zauważyła, że wraz z kolegą siedzą na stołkach przy barze. Jej serce zabiło mocniej, kiedy spojrzał na nią. Twarz kobiety pozostała jednak nieruchoma. Nie dała po sobie poznać, jakie wywarł na niej wrażenie. Usiadła obok Liz, starszej o dwa lata siostry, i jej dwóch rozchichotanych koleżanek. Zamówiły coś do picia.

Kiedy Waldek ujrzał ponownie dziewczynę, nie mógł oderwać od niej wzroku. Od razu zauważył, że i ona zerka na niego. I to wcale nie były ukradkowe spojrzenia. Powiedziałby wręcz, że wyzywające. Kobieta była niebywale piękna. Jej blond włosy spływały na ramiona, sięgały do pasa. Miała zielone oczy, zapewne jasne rzęsy, pociągnięte teraz tuszem. Gapił się na nią jak urzeczony.

– Ona nie jest dla ciebie. – Usłyszał nad uchem głos Janka, byłego żołnierza, kompana z czasów wojennych.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Słyszałem, że to jakaś lady.

– A ja jestem polski żołnierz. Walczyłem o jej kraj.

– I co z tego... I co z tego... – Janek pociągnął kilka łyków whisky. – Jesteś Polakiem. Poza tym – kontynuował – myślisz, że będziesz jej pierwszym? Zapewne panna lubi się zabawić, ale są to zabawy na jedną noc. Innych żołnierzy też na pewno miała. Nie chcesz złapać chyba syfa? A tak w ogóle, to

jesteś taki wrażliwy... – Janek parsknął śmiechem.

– Jestem bohaterem – powiedział z powagą w głosie Waldek.

– A ona jest bardzo ładna. – Janek zaciągnął się papierosem. Obaj przyglądali się dziewczynie. – Jest Brytyjką z wyższych sfer.

– Myślisz, że się ze mną nie umówi? – Waldek był nieśmiały, ale w tej kobiecie był taki magnetyzm, że chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, aby zgodziła się na randkę z nim.

– Wciąż nie możemy zapomnieć, że oni nas zdradzili. – W głosie Janka pojawiła się złość. – Dlatego teraz mówimy głośno, co myśleliśmy już dawno. Pojęcie honoru dla Brytyjczyka nie istnieje, a wojna była dla nich takim samym interesem jak każdy inny.

– Ale ona... Co ona ma wspólnego ze zdradą? – Waldek nie mógł oderwać oczu od dziewczyny.

– Wcześniej czy później ciebie zdradzi.

– O czym ty mówisz...

– Nic, Waldusiu, nic. Ty nasz wrażliwcu.

Waldek nie lubił, kiedy kompani śmiali się z jego wrażliwości. Wszystko zaczęło się od tego, kiedy znaleźli jego notes, w którym pisał wiersze. Sam nawet nie wiedział, czy to jego pisanie można było nazwać wierszami, ale były to jego przemyślenia, demony, które wychodziły z niego i które mógł przelewać na papier. Może i to zajęcie nie było nazbyt męskie, ale on taki był i nic na to nie mógł poradzić. Oczywiście, że kiedy trzeba było, to był twardy, ale w stosunku do kobiet był dżentelmenem. Podczas gdy jego koledzy korzystali z okazji, on musiał poczuć „to coś”, by iść z kobietą do łóżka. Nie miał zbyt wielkiego doświadczenia. Spał z dwiema dziewczynami, obie lubił, obie mu się podobały, ale żadnej nie kochał.

Tego wieczoru Waldek nie podszedł do Abigail. Wyszli z Jankiem z klubu grubo po północy. Szli promenadą w stronę Waldkowej garsoniery.

Podeszła do nich prostytutka.

– Zrobię wam dobrze. Dwóm naraz – powiedziała, nachylając się w ich stronę. Miała tak głęboki dekolt, że jej piersi omal z niego nie wyskoczyły.

Waldek się zaśmiał.

– Ja idę – powiedział jego kompan. – Jeśli dziś sobie nie ulżę, to zwariuję. A ty?

– Nie, ja nie... – powiedział Waldek.

– Chodź. Dla ciebie gratis. – Młoda prostytutka nie dawała za wygraną. Był tak słodki, że nawet prostytutki chciały go mieć za darmo.

Wiedział, że podoba się kobietom. Nie musiał płacić za seks, tak jak jego niektórzy towarzysze. Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w stronę mieszkania.

Przez kolejny tydzień Waldek po pracy przychodził do klubu. Obserwował lady Abigail, jednak nie miał śmiałości do niej podejść. Zauważył też, że jest o nią niebywale zazdrosny. Gdy któryś z mężczyzn ośmielał się do niej zbliżyć, robił się czerwony na twarzy i zaciskał dłonie w pięści. Na szczęście dziewczyna odprawiała absztyfikantów z kwitkiem. Sączyła swojego drinka, po czym wychodziła z baru.

Tego wieczoru Waldek łyknął kilka głębszych, nabrał powietrza w płuca i ruszył do stolika, przy którym siedziała Abigail.

– Dobry wieczór. – Skłonił się nisko.

Waldek śmieszył Abigail tą swoją sztywnością.

– Dobry wieczór – odpowiedziała.

Nie pamiętała, jak to się stało, ale pod koniec wieczoru zostali sami. Siedzieli na wytartych atlasowych sofach naprzeciwko siebie. Ona była już lekko zamoczona alkoholem, on wydawał się trzeźwy.

Powietrze przesiąknięte było dymem papierosowym i kwaśnym zapachem piwa.

„Ona ma w sobie coś, co pozwala jej wygrywać” – pomyślał wtedy Waldek.

Rozdział 16

Rok 1947

– Późno wczoraj wróciłaś – zagałł przyjaźnie lord Andrew podczas śniadania, kiedy smarował tost pomarańczową marmoladą.

– Byłam z Liz w pubie – odrzekła Abigail, nalewając kawy do filiżanki.

– Ona wróciła wcześniej. – Lord McGregor uważnie przyglądał się młodszej córce.

– Tato, a ty co, jakąś kontrolę sprawujesz nade mną?

– Nie podobają mi się te twoje wyjścia do klubów.

– Zaraz idę do szkoły wdzięku – powiedziała z przekąsem Abigail.

– To dobrze... To dobrze. – Lord McGregor pociągnął łyk herbaty. Skrzywił się, bo zapomniał dolać do niej mleka. – Dziś wieczorem z mamą wyprawiamy kolację, chciałbym, żebyś na niej była. Będą państwo Smith z synami i państwo McEvans z Wiliamem.

Abigail nic nie odpowiedziała, tylko skubała rogalik.

– Chciałbym, żebyś się pojawiła. Obracasz się w nieodpowiednim towarzystwie, a ci młodzi mężczyźni, których zaprosiłem na kolację...

– Są nudni jak flaki z olejem – odparowała Abigail. Nie lubiła tych drętwych przyjęć, które wyprawiał ojciec, a jeszcze bardziej denerwowało ją to napuszone towarzystwo, które się schodziło wtedy do ich domu.

Lord Andrew odchrząknął.

– Czasami sądzisz, że plotki nie dotrą do rodziców, a jesteś w błędzie.

– Nie rozumiem, tatusiu. – Abigail zmarszczyła czoło.

– Moi przyjaciele widzieli cię wczoraj w klubie.

– A co twoi przyjaciele robią w takiej obleśniej spelunie?

– Nie podoba mi się twój ton.

– A więc?

– Siedziałaś przy stoliku z Polakiem.

– No i? Czy to zbrodnia?

– Nie chcesz przyjść na kolację, a zabawiasz się z Polakiem. Pociąga cię egzotyka? – zadrwił stary lord.

– Polacy nie są małpami w zoo, tato. To bohaterowie.

Lord poczerwieniał na twarzy.

– Proszę cię o obecność na kolacji.

– Będę. A teraz pozwól mi wyjść na zajęcia.

Lord skinął głową.

Lady Abigail nie zjawiała się na kolacji. Nie miała ochoty tracić wieczoru na gadki z nudziarzami, którzy nie mają pojęcia o życiu. Wiedziała, że odbierze od ojca słuszną burę, ale miała to gdzieś. Jedyne, o czym marzyła, to spotkać się z Waldkiem.

Lord McGregor dostał szału, kiedy Abigail nie dotarła do domu na czas. Jednak przy gościach zachował kamienną twarz. Wyżył się na swojej żonie, kiedy goście opuścili dwór.

– Ma to po tobie! – krzyczał, a ona kulila się w sobie. – Ty też pragnęłaś rozrywek, uniesień. – Zamachnął się. Jego dłoń spoczęła na policzku żony. Na twarzy kobiety wykwitła czerwona plama. Lady McGregor nie odezwała się. Jej oczy zaszkły łzami, a ona skinęła głową.

– Przepraszam – burknęła po chwili, jakby to faktycznie ona była wszystkim winna.

– Póki żyję, ten Polak nie przekroczy progu tego domu!

„Nawet nie wiesz, o czym mówisz” – pomyślała z dziką satysfakcją jego żona, lady Beatrix. „Miłość pokona wszystkie granice”. Ona coś o tym wiedziała.

Kiedy Beatrix była już w swojej sypialni, roześmiała się. To był dziki, przeraźliwy śmiech. Nie płakała. Od tylu lat nie płakała.

Abigail przeglądała zawartość szafy. Tego wieczoru chciała wyglądać pięknie. Z szuflady wyciągnęła pończochy i podwiązki. Na łóżku położyła kilka jedwabnych sukienek. „Jedwab to klasa i szyk” – pomyślała. Zaczęła je przymierzać, jedna po drugiej. W końcu zdecydowała się na tę w kolorze burgundu. Dekolt obszyty był perełkami, a dół sukienki delikatną koronką. Wybierała się na festyn. Abigail wiedziała, że Waldek tam będzie. Wcześniejszego wieczoru głośno o tym festynie opowiadała. Widziała, jak Waldek nadstawiał ucha.

Był. Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Podeszła do Waldka, kołysząc biodrami, a on nie mógł oderwać od niej oczu. Złożył pocałunek na jej dłoni, patrząc jej przy tym w oczy. Był taki szarmancki. W Szkocji mężczyźni nie całowali kobiet w dłonie.

– Zatańczysz? – Abigail zapytała Waldka, kiedy rozbrzmiała muzyka. Nie zdążył odpowiedzieć, bo już ciągnęła go na parkiet. Muzyka była skoczna. Kobieta okręcała się wokół własnej osi, nie puszczając dłoni chłopaka. Sukienka tańczyła z nią, falując i unosząc się ponad kolana. Waldek uśmiechał się do Abigail, ona do niego. Muzyka była coraz bardziej skoczna. Wirowali oboje, na ich czołach pojawiły się kropelki potu.

Tego samego wieczoru Waldek pocałował Abigail. Dziewczyna nie chciała, aby sprawy potoczyły się szybko, ale w sumie nie miała nic do stracenia. Oboje siebie pożądali, co było niezaprzeczalnym faktem.

Kochali się na plaży, pod osłoną nocy. Kochali się, wcale się nie znając, ale oboje w jakiś niewytłumaczalny sposób bali się, że ktoś lub coś może ich rozdzielić.

Kiedy leżeli wtuleni w siebie, Waldek opowiadał Abigail o Polsce. O Tatrach, Bieszczadach i Beskidach. Kochał wspinaczkę górską. Abigail doskonale pamięta, jak powiedział: „Lubię wasze Highlands Hills, ale to w Tatrach zostawiłem serce”, „a nasze Morze Bałtyckie ma inny klimat niż wasze Północne”. Przez kolejne godziny roztaczał przed nią barwne opowieści o tym, jak smakuje polski chleb, pierogi jego mamy, jak pachnie maciejka. I o tym, że przed wojną grał na fortepianie, głównie Szopena. Kochał grywać szopenowskie nokturny. Słuchała jego opowieści z zapartym tchem.

– Kiedyś tam pojedziemy – stwierdził, całując Abigail w czoło.

– Na pewno.

– Opowiedz mi teraz o sobie. – Znowu pocałował dziewczynę.

– Nie ma o czym. Dopóki ciebie nie poznałam... Nie miałam mężczyzny na stałe.

– Nie byłaś dziewczicą. – Poczul ukłucie zazdrości. A może jednak Janek miał rację i Abigail sypiała z innymi żołnierzami? A nawet jeśli, to nie powinna go obchodzić jej przeszłość.

– Nie. – Abigail się skuliła.

– Nie osądzam cię. Myślałem tylko, że panienki z dobrych domów...

– Nie kochałam nikogo przed tobą.

– Ja też nie – powiedział, chociaż przecież nie był pewien, czy kocha Abigail. To było za wcześnie. Nie znał jej i tak naprawdę nic o niej nie wiedział.

– Kocham tańczyć i śmiać się bez powodu, kocham ciebie – powiedziała, nie odrywając oczu od jego twarzy.

– Już teraz to wiesz?

– Tak. Wiem to. Czuję to.

Waldek zamyślił się, jego oczy były jakieś smutne. Abigail zdawała sobie sprawę, że chłopak ma w sercu jakąś wyrwę.

– Jesteś bohaterem – powiedziała, gładząc go po rękę.

Obruszył się.

– Nie jestem żadnym bohaterem. Nie chcę pamiętać ani o wojnie, ani o tym, co tam się działo. Nie chcę, aby mnie okłaskiwano. Chcę normalnie żyć. Najchętniej w Polsce, a jeśli tutaj, to niech Wielka Brytania traktuje mnie jak człowieka czynu. Co mi oferują? Pracę w fabryce czy magazynie... Wojna się skończyła, ale ludzie pozostali. Co zrobiono z ponad dwustu tysiącami polskich żołnierzy, którzy jeszcze niedawno byli czwartą aliancką siłą w Europie? Szybko staliśmy się emigrantami, którzy z dnia na dzień muszą obawiać się o własny los.

– Dlaczego nie wrócić do Polski, do domu?

– Abigail, dziewczyno, czy ty wiesz, o czym ty mówisz?

Abigail była zawstydzona swoimi pytaniami.

– Powrót do zdominowanej przez komunistów ojczyzny jest w większości wypadków okupiony trudnymi decyzjami. Dla wielu z nas oznacza procesy karne o „zradę ludowej ojczyzny”, pobyt w więzieniu i utratę obywatelstwa.

– Ale w prasie piszą *Poles, go home!*

– Możemy wrócić, prosto w komunistyczne łapska.

– To smutne – westchnęła Abigail. – Jak tam było?

– Gdzie? Na wojnie?

– Tak.

– To głupie pytanie. – Waldek obrzucił dziewczynę karcącym spojrzeniem.

– Przepraszam. – Abigail znowu się skuliła.

– Wojna zmieniła chłopców, którzy na nią szli. Byli pełni wzniosłych ideałów. Na wojnie ideały umierały, a chłopcy zmieniali się w mężczyzn. Mnie też zmieniła, jednak jako jeden z niewielu wciąż wierzę w miłość. Mam w sobie wiarę i ufność i nigdy nie zwątpiłem w drugiego człowieka. Nawet tam... Zabijałem ludzi. Niewinnych. Winni byli przecież ci, którzy stali na szczycie. A ci chłopcy po przeciwnej stronie barykady byli tak samo wystraszeni jak ja. I pociągałem za spust, bo jeśli ja bym tego nie zrobił, oni byliby pierwsi. Wojna to zbrodnia, krew, łamanie zasad... Nie chcę o tym mówić. Nie chcę pamiętać, co tam się działo.

Abigail i Waldek zostali kochankami. Kiedy jest się tak młodym, miłość jest bardzo intensywna, barwna. Abigail pokochała Waldka tak bardzo, że wydawało jej się, że już nikogo innego nie zdoła pokochać. I... Chyba tak było. Do dzisiaj zastanawia się, czy Waldek w ogóle ją kochał. Czy była tylko jego odskocznią od cierpienia. Przeżył wojnę, nie mógł wrócić do kraju, był samotny na obczyźnie, a ona była pomostem, który łączył go z normalnością. Chciała być dla niego jak żona, jeszcze zanim jego żoną została. Pocieszała, przytulała, słuchała... On jej wtedy potrzebował. Była jego kołem ratunkowym. Tylko ile dla niego znaczyła? On był dla niej całym światem. A ona dla niego? Mówił, że jest jego promykiem słońca. Może i tak. Nie kochał jej, musiała to przyznać, ale była jedyną rzeczą, która pozwalała mu żyć na obczyźnie, dlatego była dla niego ważna. Gdyby tylko mógł wtedy pojechać do Polski, zapomniałby o niej tego samego dnia, kiedy przekroczyłyby granice. Teraz to wiedziała, a wtedy wierzyła, że jest inaczej.

Waldek mieszkał w robotniczej dzielnicy Edynburga na Leith Walk. To tam dostał przydział na mieszkanie. Janek, jego kompan, mieszkał w tej samej kamienicy. Po wojnie w stolicy Szkocji było wiele opuszczonych mieszkań i domów, które odpowiednie służby przydzielały obywatelom. Mężczyzna pracował w magazynie trzy, czasem cztery dni w tygodniu po dwanaście godzin. Kiedy miał wolne, włóczył się po mieście bez celu. Chodził też do pubu na piwo. „To nie życie” – myślał często. „Nic z tego życia nie mam”. Myślał tak dopóki nie spotkał Abigail. Dzięki niej w wolne dni budził się już o świcie. Mył się i golił.

Teraz, kiedy spieszył się, by być gotowy na spotkanie z ukochaną, ręka mu drżała i zaciął się przy goleniu. Pierwszy raz zaprosił ją do siebie.

– Cholera jasna – zaklął. Przyłożył kawałek papieru do policzka, by zatamować krwotok. A później się roześmiał.

Kiedy skończył się golić, włożył swoje najlepsze spodnie i białą koszulę, a także marynarkę, którą pożyczył od Janka. Rękawy były trochę za krótkie, ale trudno. Na włosy nałożył brylantynę i zaczesał je do tyłu. Przejrzał się w lustrze. „Ujdzie” – pomyślał.

Przesunął mały okrągły stolik na środek pokoju.

Przyniósł z kuchni wazon, do którego narwał wczoraj polnych kwiatów. Na talerzyk wysypał herbatniki, a w czajniczku zaparzył herbatę. Za kilka minut będzie tutaj Abigail. Serce biło mu jak szalone. Wiedział, że dziewczyna zamiast iść na swój nudny kurs wdzięku, przyjdzie do niego. Usiadł na łóżku. Sprężyny skrzypnęły pod ciężarem jego ciała. Wstał, wygładził narzutę, którą kupił na pchlim targu, i zaczął chodzić po pokoju.

Abigail trzymała w ręku adres, który napisał na kartce Waldek. Była już pomięta i spocona od ciągłego rozkładania i zwijania. Po około czterdziestu minutach marszu kobieta dotarła pod wskazany adres. Westchnęła głęboko i ruszyła do klatki. Pchnęła drzwi i po betonowych schodach ruszyła na górę. Numer piętnaście. Zapukała energicznie. Waldek otworzył drzwi i porwał ją w ramiona.

– Jesteś. – Nie krył radości.

– Jestem.

Mieli coś zjeść. Nie zjedli. Całowali się namiętnie przez następne kilkanaście minut.

– Wiesz... – powiedziała Abigail i spuściła głowę.

– Coś się stało?

Dziewczyna się zarumieniła.

– Dzisiaj...

– Co, kochana? Co? – serce podeszło mu do gardła.

– Dostałam okres.

Waldek odetchnął z ulgą.

– To chyba dobrze.

– Nie chciałam cię zawieść. Myślałam, że wiesz... Będziemy...

– O czym ty mówisz? Nie zawiodłaś.

– Nie jesteś rozczarowany, że nie będziemy się kochać?

– Nie. Pewnie, że nie.

Oczywiście Waldek najchętniej zerwałby z dziewczyny sukienkę, ale zamiast tego przytulił ją do siebie. Jej skóra była tak gorąca, że niemal parzyła.

– Zaopiekuję się tobą – powiedział.

Ich związek był prędko, pospieszny. Waldek czasami był taki nachalny, innym razem nostalgiczny. Często płakał w ramionach dziewczyny. Ona starała się go zrozumieć, ale tak naprawdę nie rozumiała. Dzieliło ich wszystko, łączyła bliskość.

Rozdział 17

Przez kolejne dni lady Abigail była słaba. Praktycznie nie podnosiła się z łóżka. Kiedy Anna do niej przychodziła, starsza kobieta zazwyczaj spała. Anka nie lubiła bezczynności, dlatego w tym czasie pomagała Francesce w porządkach. Wyszorowały podłogi, wyprały ciężkie zasłony, powycierały kurze w pokojach. Po kilkudniowym sprzątanu nie czuła rąk. Jednak najbardziej chciała, by jej pracodawczyni doszła już do siebie. Nie mogła doczekać się, kiedy ponownie usłyszy historię Abigail i Waldka.

Sobotniego popołudnia Anna wybrała się do Medows Parku w Edynburgu. Pogoda była ładna. Kobieta popijała kawę i delektowała się słońcem.

– Anna! Hej. – Dziewczyna się obróciła. Na wprost niej stała Harper.

– O, Harper. Hej. – Takiego spotkania to się nie spodziewała.

– Jak się miewasz?

– Dobrze. A ty?

Harper promieniała.

– Och, wspaniale. – I tu Harper zaczęła opowieść o swoim nowym podstarzałym kochanku, który porzucił dla niej żonę.

– Czyli z Roganem to koniec?

– Och, Rogan to już przeszłość. Jak to mówią, odszedł do lamusa.

– Czyli nic się u ciebie nie zmieniło? – Anna zakpiła.

– Oj, jak nic? Wszystko się zmieniło. – Harper się obruszyła.

– No, tak, tak... Nowy mężczyzna.

– Lecimy na Karaiby.

– To świetnie.

– Muszę jednak popracować nad formą. Wiesz, trzeba włożyć bikini...

– Wiem, wiem. – Anna potakiwała głową.

– Ale ty świetnie wyglądasz. Schudłaś?

– Sama nie wiem.

– Schudłaś, no przecież widzę. Co ćwiczysz?

– Co ćwiczę?

– No czemu tak oczy wytrzeszczasz? Od czegoś musiałaś schudnąć.

– Robiłam porządki. Skłony przy misce z wodą. Wspinanie na drabinie, by ściągnąć zasłony.

– Ach! To nie dla mnie.

Anna się roześmiała.

– *Good luck*, Harper! – zakończyła tę śmieszłą konwersację.

Kiedy wróciła do domu późnym popołudniem, lady Abigail wyglądała jak nowo narodzona.

– Cieszę się, że lepiej się pani czuje. – Anna naprawdę była zadowolona, że staruszka wraca do formy.

Lady Abigail się uśmiechnęła. Na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

– Wypiłam szklaneczkę whisky, odespałam zmęczenie i jestem zadowolona. W tym wieku to człowiek potrafi się zmęczyć nawet gadaniem.

– To dobrze, że u pani lepiej. Wygląda pani kwitnąco.

Lady Abigail zachichotała.

– Chcesz posłuchać o tym, co było dalej?

– Jeszcze pani pyta? Pewnie, że chcę.

Rok 1947

Kuzynka Abigail, Beth, zaprosiła młodych do siebie. Mieszkała w małym miasteczku na północy Szkocji. Abigail nie kryła radości, gdyż wiedziała, że spędzi z Waldkiem kilka dni. Kilka tygodni wcześniej wysłała kuzynce list, opowiadając w nim o swoich miłosnych zawirowaniach. Beth odpisała: „Przyjeżdżajcie”. Abigail pożyczyła samochód od babki, nie wyjawiając jej całej prawdy. Przyznała się, że jedzie do Beth, ale nie wspomniała ani słowa o tym, z kim jedzie. Waldek był zauroczony północą Szkocji. Tutaj jakby czas się zatrzymał, a życie toczyło się spokojnie. Wśród klifów i wzgórz tuliły się do siebie domy z kamienia. Kuzynka przyjęła młodych z życzliwością. Jednak kiedy rozniosła się wieść, że do Beth przyjechała kuzynka z Polakiem, zaczęto spoglądać na przybyłych gości mało przychylnie. Społeczeństwo brytyjskie było podzielone, jeśli chodzi o stosunek do polskich żołnierzy, którzy chcieli na stałe osiedlić się w ich kraju. Byli ludzie, którym to nie przeszkadzało, jednak niektórzy patrzyli na obcokrajowców z niechęcią, wręcz odrazą, uważając się za lepszych.

Beth zwróciła uwagę, że Abigail się zmieniła. Kiedyś były sobie bardzo bliskie. Teraz przez odległość ich zażyłość zmieniła natężenie, jednak Beth wyczuła wszystkie zmiany, jakie zaszły u Abigail. Kuzynka była do szaleństwa zakochana. Beth cieszyła się z jej szczęścia.

Abigail promieniała przy Waldku. Poruszała się płynnie, jakby niesiona przez miłość. Z gracją i wdziękiem. Kołysała biodrami, wypinała dumnie pierś. Jej oczy były rozmarzone, a usta rozciągnięte w uśmiechu.

Abigail z Waldkiem spędzali czas na spacerach. Chodzili po klifach pełnych surowego piękna. Fale roztrzaskiwały się o skały. Porośniętą ostami ścieżką zeszli na plażę. Stado dzikich gęsi szybowało wśród pierzastych chmur, które złowieszczo przetaczały się po niebie. Wiatr wlatywał za kołnierze. Abigail ciałniej opatulila się szalem. Pomyślała, że chciałyby zamieszkać kiedyś z Waldkiem w małej chatce w polskich górach. Jak one się nazywały? Biescady? Ta nazwa była trudna do zapamiętania. W salonie byłby kominek i w taki dzień jak ten ogrzewaliby się w jego ciepłe. Waldek grałby z zamkniętymi oczami swojego Szopena, a ona patrzyłaby na niego oniemiała. Cienie tańczących płomieni malowałyby smugi na jego skupionej twarzy. A ona by słuchała i patrzyła. Patrzyła i słuchała.

W sobotnie południe we trójkę wybrali się do nowo otwartej kawiarni. W tamtych czasach Wielka Brytania wstawała z kolan. Otwierały się nowe sklepy, kawiarnie. I ta, do której weszli, „Sweet Chocolate”, również była nowa, ale było w niej dużo gości. Tylko jeden stolik był wolny.

Beth pchnęła drzwi, weszli do środka i przeszli do stolika przy oknie. Kiedy przechodzili przez salę, niektórzy patrzyli na nich pogardliwie.

– Czego się napijecie? – zapytała Beth.

– Nie wiem. – Waldek rozejrzał się dookoła.

Beth chwyciła go za rękę.

– Masz prawo tu przebywać tak samo jak Abigail czy ja. Nic sobie nie rób z ich ciekawskich spojrzeń.

– Kawy, napiję się kawy.

Beth uśmiechnęła się promiennie.

Waldek był dżentelmenem. Abigail nie obchodziło to, czy był innej narodowości. To, kim jesteśmy, nie zależy od koloru skóry ani miejsca urodzenia, ale od tego, jakimi jesteśmy ludźmi.

Cała trójka postanowiła nie zwracać uwagi na pozostałych gości. Rozmawiali, pili i śmieli się. Jednak szeptki dookoła nich nie umilkły.

– Niby mówi po angielsku, ale z akcentem – odezwał się jeden z mężczyzn siedzący przy sąsiednim stoliku.

– Polacy uważają, że powinniśmy im być wdzięczni za to, że wspierali szeregi naszej armii. Oni już tacy są. Chcą wdzięczności – zawtórował jego sąsiad, mężczyzna z brodą.

– A jak urodzi mu dziecko, to w jakim języku będzie mówiło? Po angielsku czy po polsku?

– Jest w Szkocji, niech mówi tak jak my.

– Nie przejmuj się nimi. – Abigail dotknęła ramienia Waldka. – Pogadają i przestaną. Teraz jest nagonka na Polaków. Ale to minie... Ludzie są rozgoryczeni brakiem pracy, zniszczeniami wojennymi...

Rozdział 18

Lady Abigail obudził wiatr, który dudnił w okiennice, jej ciało było zeszywniałe. Przez chwilę miała wrażenie, że znajduje się gdzieś indziej. Przed oczami zamajaczyła jej postać Waldka. Po co przywoływała wspomnienia? Od kilku tygodni żyła przeszłością. Może niepotrzebnie otworzyła się przed Anną? A może właśnie potrzebnie? Chciała w końcu z siebie wyrzucić wszystkie tajemnice.

Anna nie lubiła listopadowych dni. „Listopad to brzydki miesiąc” – pomyślała. Krótkie dni, długie wieczory. Szaruga, gęste mgły i te przekłete wiatry, które opanowują wyspy w listopadzie. Deszcz siąpi z nieba, a ty marzysz o tym, by uciec jak najdalej. Gdzieś w głębi domu zatrzeszczała podłoga. Anna wzdrygnęła się. Niby przyzwyczaiła się już do tego dworu, jednak niekiedy ogarniał ją tutaj jakiś niepokój. Pospiesznie ruszyła w stronę salonu.

Lady Abigail siedziała na fotelu i popijała herbatę. Kiedy w drzwiach stanęła Anna, starsza kobieta się uśmiechnęła.

- Spóźniłam się? – zapytała Anna.
- Nie. To ja wstałam bardzo wcześnie. Francesca pomogła mi się ubrać.
- Mogła mnie pani zawołać.
- Mogłam, ale nie chciałam. A ty już po śniadaniu?
- Tak.
- Siadaj. Dzisiaj mam ochotę mówić. Dużo mówić...

Rok 1947

Waldek tęsknił za Polską. Nie miał wieści od rodziny, to go najbardziej bolało. Polska się zmieniła, a on nie mógł wrócić. Inni wrócili i zajęło się nimi SB. Wysyłał listy do rodziców, jednak pozostały bez odpowiedzi. Jego tęsknota była taka namacalna, że aż bolała nie tylko jego, ale i całe jego otoczenie. Szczególnie Abigail.

– Tęsknię za rodziną, za Polską, za polskimi zwyczajami, polskim chlebem, polską kulturą. I za wolnością – mówił do Abigail. Coraz częściej mówił, że tęsknota go zżera. Niekiedy przy niej płakał. Nie wstydził się tych łez, naznaczonych rozdarciem i smutkiem.

- Jesteś tutaj wolny – przekonywała go dziewczyna.

– Nie, Abigail. Nie jestem. Czasami wydaje mi się, że umrę z tej tęsknoty. Czasami mnie kusi, by tam wrócić, bez względu na wszystko. Co będzie, to będzie.

– Ludzie tacy jak ty, oficerowie, uciekają z Polski.

– Wiem. – Opuścił ramiona. – I to mnie boli. Ani w kraju nas nie chcą, ani tutaj.

– Nie myśl o tym tyle...

– Jak mam nie myśleć? Ty jesteś w swoim kraju, masz rodzinę, a ja?

– Chodź, kochany. Chodź. Przytul się do mnie...

Tego wieczoru kochali się na łące, nieopodal wzgórza Arthur Seat. Miłosne uniesienia naznaczone były jednak smutkiem. Abigail nawet nie zauważyła, że po policzku Waldka spłynęła łza.

Abigail dotarła do domu grubo po północy. Planowała być wcześniej, ale nie mogła oderwać się od Waldka. Na samo wspomnienie się uśmiechnęła. Wracała już do domu o tak późnej porze nie raz. Była przecież dorosła. Zdjęła trzewiki w holu i na palcach weszła do salonu. Zamarła. Wokół stołu siedzieli domownicy. Mama, tato, babcia i siostra. Elizabeth, siostra Abigail, była wyraźnie zaspana.

– Oooo – jęknęła Abigail, zakrywając usta dłonią.

– Co znaczy to „oooo”? – Ojciec zmarszczył brwi.

– Co tu robicie?

– Czekaliśmy na ciebie. – Lord Andrew był wyraźnie nie w sosie.

Mama z babcią od razu zauważyły, co przez cały wieczór wyprawiała ich córka. Usta dziewczyny były podrażnione i czerwone. W jej włosach było kilka źdźbeł trawy, a guzik od bluzki był odpięty.

– Gdzie byłaś? – Głos ojca był srogie.

– Tam, gdzie chodzą młode dziewczyny, na potańcówce. – Abigail wydeła usta.

– Sama?

– Ze znajomymi.

– Doprawdy, ci polscy chłopcy zachowują się jak zwierzęta – wtrąciła swoje trzy grosze babcia Margaret.

Elizabeth puściła siostrze oko. W gruncie rzeczy zazdrościła jej tego chłopaka.

– Posłuchaj, jest tylu młodych brytyjskich dżentelmenów – ojciec zaczął swoją przemowę, co zirytowało dziewczynę.

– Tak? Nie sądzę, tatku. Waldek...

– Przestań o nim mówić w naszym domu.

– Dlaczego?

Lord McGregor nic nie powiedział, tylko pociągnął łyżek szkockiej.

– Jeśli chcesz tu mieszkać, respektuj nasze zasady. Proszę, byś wracała o rozsądnej porze.

– Nie żyjemy w średniowieczu.

Ojciec trzasnął ręką w stół.

– Zawsze możesz się wyprowadzić.

– Kiedy on ci się oświadczy? – zapytała babcia Margaret. Mama jak zwykle milczała. Ta kobieta nigdy nie stawała w obronie swoich córek. „Jest tak zakochana w swoim mężu, że tylko mu przytakuje” – pomyślała Abigail o lady Beatrix. Miała o to do matki pretensje. Ojciec na piedestale jak król, a jej dzieci daleko w tyle. Abigail zawsze to denerwowało.

– W swoim czasie.

– Mamo? O czym ty mówisz? – Lord Andrew spiorunował wzrokiem starszą kobietę.

– Przepraszam was, ale jestem bardzo śpiąca. Idę do pokoju – powiedziała Abigail i czmychnęła na górę.

Leżała już w łóżku, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

– Mogę wejść? – zapytała Elizabeth. Była o dwa lata starsza od Abigail. Uchodziła za wyjątkową piękność. Do tego miała charyzmę. Nie ukrywała też tego, że jest kochliwa. Dziewictwo straciła w wieku piętnastu lat, o czym nie omieszkała powiadomić Abigail. Teraz też nie żałowała sobie cielesnych uciech.

– Wejdz, Liz.

Siostra usiadła na skraju łóżka, na jej twarzy malowały się rumieńce.

- Ale namieszalaś. – Zachichotała. – Ojciec wariuje.
- Chodzi o Waldka?
- Tak. Kiedy ciebie nie ma w domu, lamentuje, że wybrałaś polskiego żołnierza, który teraz jest magazynierem, i że pewnie wyjedziesz z nim do Polski.
- Nie wyjadę. Waldek to dobry chłopak, kochany, inny niż ci, z którymi...
- Ja śpiam. Dokończ, śmiało. – Liz się roześmiała.
- Abigail się zaczerwieniła. Ona nie miała takiego doświadczenia jak siostra.
- Skąd tato wie, gdzie pracuje Waldek?
- Nie znasz ojca, wszystko musiał sprawdzić. Ma dojścia, znajomości.
- No tak... – westchnęła Abigail z rezygnacją.
- Kochasz go?
- Jestem zakochana. Różni nas naprawdę dużo. Ale... Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go stracić.
- Czasami trzeba mieć trzeźwy umysł, Abi. Ty teraz kierujesz się sercem. Tylko Abi... – Liz złapała siostrę za rękę. – Nie chcę, byś przez niego cierpiała.
- On jest taki delikatny, czuły, troskliwy.
- Jesteś młoda. Skąd wiesz, że za jakiś czas ci się ta jego delikatność i czułość nie znudzi?
- Nie wiem, ale...
- Może zapragniesz czegoś więcej: brutalności, mocniejszych przeżyć.
- Abigail prychnęła.
- Nie jestem tobą.
- Uważaj.

Przy śniadaniu panowała morowa atmosfera.

- Wyjdę za niego – powiedziała Abigail.
- Lord Andrew upuścił łyżkę. Owsianka przysnęła na obrus.
- O czym ty mówisz?
- Wyjdę za niego za męża.
- Ile go znasz?
- Krótko. Ale wiem, że chcę z nim spędzić resztę życia.
- Twoja stopa więcej nie postanie w tym domu.
- Trudno.

Abigail wstała od stołu i wyszła z pokoju.

Lord McGregor miał nadzieję, że jego córka znuży się Waldkiem. Młody mężczyzna był co prawda bohaterem wojennym, ale teraz pracował jako magazynier. Magazynier nie jest przecież tak pociągający jak żołnierz. Andrew McGregor spojrział na żonę. Lady Beatrix siedziała przy stole sztywna jak struna, zapatrzona przed siebie. Mężczyzna prychnął. Jak ta kobieta go irytowała. Taka nimfa, w której nie było krzty życia. Gdyby nie on... Ta rodzina już dawno by się rozpadła.

Lady Beatrix nie miała w sumie nic przeciwko Waldkowi. Wiedziała jednak, że takie związki kończą się fiaskiem. Abigail zbyt mocno się zaangażowała. To było widać gołym okiem, Gdyby mogła wybierać, wybrałaby dla swojej córki innego męża. Brytyjczyka. Nie dlatego, że miała coś do Polaków czy innych narodowości, ale dlatego, że zdawała sobie sprawę z tego, że związek nie przetrwa próby czasu i zwykłej codzienności. Szczególnie jeśli małżonkom brakuje pieniędzy. A Beatrix była pewna, że jeśli Abigail wyjdzie za męża za tego Polaka, to Andrew ją wydziedziczy. Miłość miłością, ale samą miłością człowiek nie wykarmi dzieci. A zarówno Abigail, jak i Liz przyzwyczajone były do wysokiego standardu życia. Nigdy nie pracowały i nie musiały zarabiać na swoje utrzymanie.

Kiedy lady Beatrix wypijała kawę, wstała od stołu i poszła do pokoju córki. Abigail siedziała przy toalecie i przeczesała włosy.

- Mogę? – zapytała lady Beatrix, wskazując na krzesło.
- Tak – odpowiedziała Abigail, chociaż nie miała ochoty na rozmowy z matką.

– Powiem ci coś, coś, co ja zrozumiałam po wielu, wielu latach. Dobra rady kobiety, która przeżyła więcej od ciebie.

– Mamo, ja nie prosiłam ciebie o rady.

– Ale ja chcę ci powiedzieć, że nie można ufać sercu. Serce zbyt łatwo się zakochuje i wyprowadza człowieka na manowce. Kobiece serce zazwyczaj zakochuje się w nieodpowiednich mężczyznach. Dobrze, że niekiedy do głosu dochodzi rozum. Tylko czasem jest już na to za późno.

– Nie znasz go – syknęła Abigail.

– To zapewne mądry młody człowiek. Czarujący. Ale dzieli was zbyt wiele.

– Mamo, daj spokój.

– Dobrze, dam. Tylko pomyśl o tym, co powiedziałam.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? Skąd możesz wiedzieć, jak to jest tak kochać, szalenie?

Abigail odwróciła się w stronę matki. Z oczu ciskała gromy.

– Wyobraź sobie, młoda damo, że wiem. Zbyt wiele wiem... I wiesz co? – Beatrix nachyliła się w stronę córki. – Ja kiedyś też to czułam.

Lady Beatrix odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

„O czym ona mówiła?” – przez chwilę zastanawiała się Abigail. Czy matka mogła kiedyś kochać szalenie? Dziewczyna prychnęła. Według Abigail jej matka była obojętna. Tak, cechowała ją obojętność. Obojętna jej była rodzina, to czy świeci słońce, czy pada deszcz, co zjedzą na obiad. Wyglądała na osobę, której cięży życie. Poruszała się po domu niemal bezszelestnie, a dnię najchętniej spędzała w swojej sypialni. Siadywała na krzeselku przy toalecie, patrzyła się w lustro albo w okno. Zazwyczaj miała je uchylone, nawet w zimie. Wiatr poruszał zielonymi kotarami. Abigail nie cierpiała zielonego koloru.

Rozdział 19

Rok 1947

Babka Abigail, lady Margaret, nie potrafiła trzymać języka za zębami, a plotki i ploteczki nawet z własnego podwórka sprawiały jej ogromną radość. Co drugi dzień spotykała się ze swoimi napuszonymi znajomymi na herbatce. Tego piątkowego popołudnia kobiety również się spotkały.

– Moje drogie... – Lady Margaret otworzyła papierośnicę.

– Coś się stało? – Wdowa Mcenzie nadstawiła uszu.

– Nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – Zrobiła pauzę dla wzmocnienia efektu.

– Mów, nie krępuj się – odezwała się Edna, która wkroczyła na salony z przytupem jakieś pięć lat temu. Pulchną ręką, na której dyndały bransoletki wysadzone drogimi kamieniami, poprawiła włosy.

– To tragiczna historia. – Lady Margaret zrobiła pauzę, by wzmocnić efekt słów, które za chwilę miały paść.

– Ależ mówże wreszcie, o co chodzi? – Pani Mcenzie spijała z ust każdą ploteczkę.

– Och! Tragedia. Moja wnuczka zakochała się w biednym jak mysz kościelna Polaku. Który pracuje na magazynie i...

– Jest Polakiem – dokończyła wdowa Mcenzie.

– To takie romantyczne – westchnęła Edna. Pokręciła głową, wstrząśnięta dramatyзмом sytuacji.

– Nie ma w tym nic romantycznego – syknęła niczym parowóz stara lady Margaret.

– Jaki wstyd dla twojego syna. – Wdowa Mcenzie udawała oburzenie.

– Właśnie. Jeśli to się rozejdzie w towarzystwie, nasz rodzina jest skończona. Aż boję się o tym myśleć. Oczywiście mogę na was liczyć, kochane?

– Ależ oczywiście, od nas nic nie wyjdzie. – Wdowa Mcenzie już się zastanawiała, komu przekazać nową plotkę.

– Gdzie go poznała? – Edna była zachwycona nową miłosną historią, która rozgrywała się tuż obok niej.

– Nie wiem. Chyba na jakiejś potańcówce.

– Teraz młode dziewczęta, nawet te z dobrych domów, chodzą do klubów, na potańcówki.

Kiedyś było to nie do pomyślenia. – Wdowa Mcenzie napuszyła się niczym stara papuga.

Lady Margaret uśmiechnęła się pod nosem, ciesząc się z tego, jakie jej słowa zrobiły wrażenie

na zebranych.

– I co teraz?

– Trzeba jakoś wybić jej z głowy tego Polaka. Głupia dziewucha upiera się, że jest zakochana.

Ale wiecie, jak to jest z tymi wszystkimi miłościami... – Margaret stuknęła łyżeczką w filiżankę.

Kobiety zachichotały niczym pensjonarki, co na pewno nie uchodziło tak nadobnym matronom.

– Mam nadzieję, że Abigail wcześniej czy później odzyska rozsądek. – Pani Mcenzie prychnęła.

– Mam nadzieję, że to będzie wcześniej niż później.

– To takie smutne. – Edna kręciła głową. Czowała rozpacz kochanków, jakby sama jej doświadczyła.

Lady Margaret posłała kobiecie karcące spojrzenie.

Plotka została puszczona w obieg, teraz rozejdzie się w towarzystwie niczym pożar. Lady Margaret odczuwała satysfakcję. Mogła milczeć, ale milczenie nie było w jej stylu.

Tego samego dnia stara lady Margaret zabrała wnuczkę do imponującego sklepu Jennersa przy Princess Street.

– Moja droga, wybierz sobie, co tylko sobie zażyczysz. Ja kupuję. – Machnęła ręką w stronę wnuczki.

– Co to za okazja, babciu? – Abigail nie traciła czujności. Wiedziała, że babka lubi rozgrywać te swoje dziwne gierki.

– Po prostu chcę sprawić wnuczce przyjemność. – Stara kobieta się uśmiechnęła.

Abigail kupiła buty na obcasie, o których marzyła, dwie jedwabne sukienki, kapelusz i rękawiczki. Jej uśmiech był szeroki, a w oczach pojawił się znajomy babce błysk. „Kobiety lubią drogie, eleganckie rzeczy i tylko te nie lubią, których na to nie stać” – pomyślała stara lady.

Po zakupach usiadły w kawiarni. Babka zamówiła kawę, a wnuczka ciastko i herbatę.

– Musisz być ostrożna z tym, co jesz – skarciła Abigail babka.

– Babciu, jedno ciasto jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Tak, tak... Ciastka łatwo wchodzi w boczki.

Abigail momentalnie odechciało się jeść. Jej babka była mistrzynią we wbijaniu szpileczki.

– Podobają ci się nowe sukienki?

– Tak.

– Mi też. – Lady Margaret patrzyła na wnuczkę, jakby chciała ją przeświecić. – Chyba chciałabyś, żeby było cię zawsze na nie stać.

– Chyba tak.

– Ja też. Tego twojego Polaka nie będzie stać na zapewnienie ci takich luksusów.

„A więc tu jest pies pogrzebany” – pomyślała z goryczą Abigail.

– Nieważne.

– Teraz tak mówisz. A kiedy pierwsze zauroczenie minie, będzie ci to doskwierać. Niektórzy ludzie do siebie nie pasują.

– Ale my...

– Wy... Co wy? Jest inny od nas, to cię w nim pociąga, ale z czasem zaczniesz uwierać. Zobaczysz.

Wojna ograbiła nas z młodych mężczyzn, ale na salonach znajdzie się jeszcze ciekawy kąsek.

– Babciu, nie żyjemy w średniowieczu, a aranżowane małżeństwa dawno już wyszły z mody.

– A szkoda.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę. Zgodne małżeństwa to takie zawarte z rozsądku. Szaleństwo jest zawsze zgubne.

Ale nie o tym... Urządzą przyjęcie z okazji swoich osiemdziesiątych urodzin – oznajmiła babka.

– Ostatnio mówiłaś, że jesteś zmęczona gośćmi.

– Ale zmieniłam zdanie.

Lady Margaret miała plan. Za wszelką cenę chciała przedstawić wnuczce kilku młodych mężczyzn z towarzystwa.

– Mogę...

– Nie! Ani mi się waź! – Lady Margaret знаła doskonale psychikę młodych dziewczyn. I wiedziała, że Abigail chciała zaprosić na przyjęcie Waldka, tego Polaczka. Jeszcze tego brakowało. Nie to, że lady Margaret miała coś przeciwko Polakom. Niech sobie żyją w Szkocji, ale nie żenią się przypadkiem z jej wnuczkami.

– Skąd wiedziałaś, co chciałam powiedzieć?

– Twoje oczy cię zdradzają. Przyjdiesz sama. Ten Polak nie jest mile widziany.

– Ale on...

– Nie dyskutuj. – Babka podniosła się z krzesła. Musiała przytrzymać się stołu, bo stawy zaczęły jej ostatnio doskwierać i bała się, że może się przewrócić.

Lady Margaret siedziała przy toaletce i nakładała na twarz grubą warstwę kremu. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę. Mogłaby być urokliwą, starszą panią, ale lata zgorzknienia pozbawiły ją urody. Była osobą, której wiecznie coś nie pasowało. Kiedy świeciło słońce, było jej źle, kiedy padał deszcz, jeszcze gorzej. Była zazdrosna o młodość innych kobiet, miłość zakochanych, prestiż innych ludzi. Niemal o wszystko. Kłuło ją w oczy szczęście innych ludzi. Czy aby chciała dla wnuczki dobrze? Czy po prostu była zazdrosna o taką miłość, której ona nigdy nie zaznała? Wyszła za mąż z rozsądku, by zapewnić sobie i swojej rodzinie dobrobyt. Przez lata miała pieniądze, piękne suknie, dwór, służbę, ale nie wiedziała, jak to jest być tak szalenie zakochanym. Wtedy ponoć człowiek robi różne rzeczy, zwariowane. Roześmiała się. „Zwariowanie”. Cóż to jej starej chodzi po głowie? A może to właśnie na starość człowiek żałuje rzeczy, których nie miał odwagi zrobić?

Było ciepłe popołudnie. Lady Margaret nakazała rozstawić stoły na tarasie, w ogrodzie. Wszystkie były nakryte białymi obrusami i udekorowane kwiatami. Menu omówiła szczegółowo z kucharkami. W rogach tarasu rozpalono wielkie lampiony. Gospodyni przebrała się w koronkową czarną suknię i intensywnie skropiła perfumami Coco Chanel.

O osiemnastej goście zaczęły się schodzić. Lady Margaret wsparta na ramieniu syna wyszła im naprzeciw.

Zasiedli do kolacji. Abigail siedziała między dwoma młodymi mężczyznami. Jacob ukończył Harvard. Był szczupły, jego spojrzenie było czujne, a włosy ułożone na bok. Przy tym był nudny jak flaki z olejem. Po drugiej stronie siedział James. O ciemnobrązowych włosach, rozwichrzonych oczach. Jego szklaneczka whisky niemal co chwila była pusta.

Pod koniec kolacji był tak nawalony, że wstał od stołu i zaczął tańczyć, zanim muzyka zagrała.

Abigail wstała od stołu po deserze. Przepraszyła gości i poszła w stronę ogrodu. Najchętniej uciekłaby z tego durnego przyjęcia, ale wiedziała, że babka by jej tego nie darowała. Westchnęła głęboko. Usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się. Za nią stał Jacob.

– James jest prostakiem. Wiem, że jego zachowanie cię zraziło – wypalił mężczyzna.

„Nie mniej niż twoje” – pomyślała Abigail.

– Puściły mu hamulce – stwierdziła kobieta.

– Za dużo pije. To pijak.

Abigail nie lubiła takich osądów.

– Ja jestem... – Jacob wypiął do przodu chęrlawą pierś.

– O, patrz, jakie piękne dziś niebo. Bezchmurne. A w Szkocji bezchmurne niebo to rzadkość. – Zmieniła temat.

– Tak. Kobieta potrzebuje odpowiedzialnego, mądrego, bogatego mężczyzny – zaczął ponownie swój wywód Jacob.

– I? – Abigail zmarszczyła czoło.

– Jestem odpowiednim kandydatem na męża.

– Nie zamierzam wychodzić za ciebie za mąż.

– A tak, wiem. Jest ten Polaczek. – Prychnął z pogardą. – Żadna matka ani ojciec nie chciałby takiego człowieka za zięcia.

- Co ty o nim wiesz?
- Pracuje w magazynie...
- Byłeś na wojnie?
- Ja? Nie. Bo...
- A on był. Walczył.
- Ja... skończyłem Harvard i...
- I ta rozmowa mnie nudzi. – Abigail odwróciła się na pięcie i odeszła.

Rozdział 20

Rok 1947

Abigail wyszła ze szkoły wdzięku. Nie mogła się już doczekać, kiedy te nudne zajęcia się skończą. Zastanawiała się, po jaką cholere tam chodzi. Przeskakiwała po dwa schodki, aż w końcu znalazła się na chodniku. Pod latarnią zobaczyła młodego człowieka, który stał oparty o słup i palił papierosa. Zamachał do niej. Abigail ruszyła jednak dalej. Nie знаła go.

– Stój! – zawołał za nią.

Przystanęła. Mężczyzna dobiegł do niej.

– Cześć. – Wyrzucił niedopałek papierosa i przydeptał go stopą.

– Cześć. – Abigail uświadomiła sobie, że gdzieś go już widziała.

– Jestem przyjacielem Waldka.

– Cześć. – Przypomniała sobie Janka, który przesiadywał z Waldkiem w klubie. – Coś się stało?

– Od razu pomyślała o ukochanym.

– Masz chwilę na rozmowę?

– Właściwie... – Chciała się wykręcić.

– To ważne.

– Dobrze. – Zgodziła się po krótkiej chwili namysłu.

Weszli do pobliskiej kawiarni. Zamówili herbatę.

– Jestem przyjacielem Waldka i niezręcznie mi o tym mówić... – mówił po angielsku z tak silnym polskim akcentem, że Abigail musiała wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć.

– Słucham?

– Niezręcznie mi...

– Tak, ale ja nie wiem, o co chodzi?

– Chciałem z tobą o nim porozmawiać, bo... – Zrobił pauzę. Pociągnął łyk herbaty. – Waldek nie jest tu szczęśliwy.

– Wiem. – Drażniła ją ta rozmowa.

– On... Zaraz po zakończeniu wojny przeszedł załamanie nerwowe.

– To znaczy?

– Załamał się. Tęsknił za ojczyzną, nie mógł się pogodzić z tym, jak on i jego żołnierze zostali

potraktowani. Abi... On...

- Potrzebuje mojej miłości, ona go uzdrowi.
- Polska zawsze wygra z tą miłością.
- Jesteś o niego zazdrosny? – Ta rozmowa zaczęła ją irytować.
- Nie. Nie chcę, żebyście wyszli z tego związku oboje poturbowani.
- Wychodzę. – Abigail poderwała się z krzesła.

Janek ukrył twarz w dłoniach. Niepotrzebna była ta rozmowa, niepotrzebna. Ale on wiedział, że Abigail jest tylko plastrem na zbolełe serce Waldka.

Abigail nadal spotykała się z Waldkiem, choć robiła to ukradkiem. Nie chciała denerwować ani rodziców, ani babki. Na wieczorne spotkania wymykała się, kiedy dom już spał. Pewnej nocy tak się zagapiła, że wróciła o czwartej nad ranem. Ściągnęła buty przed wejściem i bosą na paluszkach zaczęła wchodzić po schodach. Całe jej ubranie przesiąknięte było dymem papierosowym. Jej włosy były w nieładzie, ale na twarzy gościł szeroki uśmiech. Z ulgą weszła do swojego pokoju. Na jej łóżku siedziała zasnana Liz.

- Co ty tu robisz? – Abigail się wystraszyła.
- A ty? Myślałam, że śpisz sobie w łóżku, a ciebie nie było. – Siostra puściła do niej oko. –

Wracasz o...? Która jest właściwie godzina?

- Czwarta.
- Rano?
- Nie, po południu – zadrwiła Abigail.
- Abi, Abi. – Siostra zachichotała.
- Ciii... Obudzisz rodziców.

– Co ty wyprawiasz? Wydawało mi się, że to ja jestem ta bardziej niemoralna. A jednak... Cicha woda brzegi rwie.

- Jestem zakochana. Do szaleństwa.
- Najpierw poznaj go dobrze. Jego zamiary. Żeby nie złamał ci serca.
- I kto to mówi?
- Ja się nie zakochuję. Ja korzystam z życia.
- Nie powiesz nikomu?
- O czym?
- O moich schadzkach.
- Nie. Cieszę się z twojego szczęścia. Kwitniesz, promieniejesz...
- Cieszę się z życia.
- A co dalej? – Liz obwinęła się kocem.

– Mam nadzieję, że Waldek poprosi mnie o rękę. Weźmiemy ślub.
– Tata cię wydziedziczy. Podśluchałam ostatnio jego rozmowę. On jest święcie przekonany, że zakończyłaś tę historię.

- Trudno. Mam w nosie jego majątek. Dorobimy się sami. Pójdę do pracy.
- Przecież ty nigdy nie pracowałaś.
- To zacznę.
- Jesteś gotowa na takie poświęcenia?

– Tak – powiedziała z przekonaniem Abigail. – Poza tym sądzę, że rodzice potrzebują czasu, aby się z tą myślą oswoić. Jeśli dam im wnuki, to wszystko się zmieni.

- Nie wiem, Abi. Nie wiem...
- Zobaczysz. – Abigail cmoknęła siostrę w policzek. – A teraz chodźmy spać.

Abigail jechała z Waldkiem w stronę plaży. Wzięła samochód od ojca, nie pytając go nawet o pozwolenie. Wiedziała, że po powrocie do domu wysłucha kazania, ale w tamtej chwili nic jej to nie obchodziło. Zaczął padać deszcz. Wycieraczki zgarniały duże krople z przedniej szyby.

- No i po pikniku – powiedziała Abigail. Była zdenerwowana. Czula się, jakby była na pierwszej

randce. A przecież spotykali się już od dłuższego czasu.

– Trudno. – Waldek zdawał się nie przejmować nieprzychylną aurą pogodową.

Po kilku chwilach Abigail zaparkowała samochód przy zatoczce wśród skał.

– Tam jest jaskinia. – Waldek wskazał ręką na skały. – Skryjemy się tam. – Otworzył drzwi Abigail. Chwycił w jedną rękę kosz piknikowy, w drugą jej drobną dłoń. Ruszyli w stronę jaskini.

Weszli do środka. Waldek wyjął z kosza świeczki. Zapalił knoty. Ciepłe światło rozświetliło grotę. Mężczyzna na ziemi rozłożył koc.

– Byłeś tu wcześniej? – zapytała Waldka Abigail.

– Tak.

– Z jakąś kobietą? – Abigail poczuła uczucie zazdrości.

– Sam. Schroniłem się przed burzą.

Deszcz nie ustawał. Usiedli na kocu. Oboje nie mieli ochoty jeść. Patrzyli sobie w oczy.

I nagle Waldek chwycił Abigail w objęcia. Zaczął ją namiętnie całować. A ona oddawała pocałunki. Dziewczyna otoczyła jego szyję ramionami, pozwalając, by Waldek przytulił ją jeszcze mocniej. Serce Abigail biło żywo, a ją samą ogarnęła mieszanka podniecenia i lęku. Czuła jakiś podskórny lęk, jakąś obawę, że roztrzaska sobie serce. Co, jeśli Waldek wróci do Polski?

– Nie bój się – szepnął jej do ucha, jakby czytając w jej myślach.

Już się nie bała.

Z każdym dniem, z każdą chwilą Abigail poznawała Waldka coraz lepiej. Kochała jego wrażliwość. Uwielbiała patrzeć na niego, kiedy w skupieniu czytał Mickiewicza i Słowackiego. Mały tomik któregoś z wieszczów nosił zawsze przy sobie. Na jego czole pojawiała się wtedy jedna, drobna poprzeczna zmarszczka.

Był wrażliwcem, tego była pewna. Kiedyś poszli do sklepu muzycznego, a Waldek zapytał sprzedawcy, czy może zagrać coś na fortepianie. Mężczyzna skinął głową. Waldek zaczął grać. Jego długie blade palce ze zwinnością uderzały w klawisze. Pięknie grał. Ludzie w sklepie znieruchomieli. On na nikogo nie zwracał uwagi. Zatopił się w muzyce. Ta muzyka była pełna melancholii i tęsknoty. Tak, to była tęsknota.

– Co grałeś? – zapytała Abigail, kiedy wyszli ze sklepu.

– Szopena. Wiesz, Szopen podobnie jak i ja był emigrantem. Zmarł we Francji, w Paryżu, jako emigrant polityczny, podobnie jak inni najwięksi nasi twórcy, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki czy Cyprian Kamil Norwid. Dzieła ich wszystkich były zakazane w kraju i wykreślone przez rosyjską cenzurę. Serce Szopena do Polski przewiozła jego siostra. Słój z sercem trzymała początkowo w domu na Podwalu. Później urnę umieszczono w kościele św. Krzyża. – Waldek na moment się zatrzymał, a potem ruszył, nie oglądając się na towarzyszkę i mówiąc jakby do siebie. – W kwietniu 1940 gubernator Warszawy Hans Frank opublikował odezwę wzywającą do zbiórki metali na potrzeby zbrojeniowe armii niemieckiej. Jako pierwszy na złom trafił pomnik Szopena w Łazienkach. Zanim Niemcy zwalili pomnik, grupa żołnierzy i oficerów Wehrmachtu strzelała do niego z karabinów i pistoletów, jako do szczególnego celu. Co to jest, że wszyscy chcą zniszczyć naszą kulturę, wypławić z nas polskość. – Oczy Waldka zaszyły łzami. – Kocham Szopena. Muzyka leczy chorą duszę. Nie uzdrawia jej, ale koi ból.

Rozdział 21

Lady Abigail skinęła na Annę.

– Nalej mi wody, kochanieńka. Zaszło mi w gardle.

Anna wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z dzbankiem wypełnionym wodą.

Nalała wody do szklanki i podała starszej kobiecie. Ta wypila łączywie całą szklankę.

– Mój ojciec dowiedział się o tym, że nadal spotykam się z Waldkiem. Nie był z tego powodu zadowolony. Wiedziałam, że tak będzie, dlatego mu nie powiedziałam o swoim związku, ale ludzie gadali. Ludzie kochają gadać o innych. W gruncie rzeczy są zawistni. Teraz to wiem. Ojciec miał wpływy, znajomości, wiedział, gdzie Waldek pracuje i mieszka. Któregoś wietrznego popołudnia zaprosił go do domu. Mnie wtedy nie było. Mama zabrała mnie na spacer, a potem na obiad do ciotki. Ojciec przywitał Waldka chłodno, bez cienia uśmiechu na twarzy. Był wysoki, barczysty, budził respekt. Ubrany w tweedowe spodnie i jedwabną koszulę. Włosy nosił zaczesane do tyłu. Nasz dom na Morningside Road w Edynburgu wyglądał wtedy dostojnie. Podłogi z marmuru lśniły. Dwór wypełniony był nowoczesnymi jak na tamte czasy meblami. Szkocja nie doświadczyła tyłu wojennych zniszczeń. Poza tym tato w każdym czasie miał dobre układy z panującą władzą.

Rok 1948

– Spotyka się pan z Abigail? – zapytał Waldka.

Waldek przytaknął.

– Podoba się panu Szkocja? – Lord McGregor poczęstował Waldka herbatą.

– Tak i nie. Podobają mi się szkockie wrzosowiska, piękne widoki, nie lubię tutejszej pogody, a zachody słońca piękniejsze są w Polsce.

Twarz lorda wykrzywił grymas. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie spodziewał się też, że młodzieniec mówi dobrze po angielsku. Zdradzał go akcent, ale mówił płynnie.

– Cóż... Każdy kocha swój kraj.

– Nie każdy, lordzie.

– Zamierza pan wrócić do Polski?

– Chciałbym, o ile sytuacja polityczna mi pozwoli. Obecnie nie jestem tam mile widziany.

– A tutaj? Myśli pan, że jest pan tutaj mile widziany?

Waldek zmrużył brwi.

– Walczyłem o Wielką Brytanię. Gdyby Polacy nie stanęli po stronie Anglików, nie odzyskalibyście wolności. W szeregach brytyjskiej armii walczyło kilkanaście tysięcy polskich żołnierzy – powiedział dobitnie Waldek.

– Czego od nas teraz oczekujecie? Pozwoliliśmy się wam osiedlić w naszym kraju.

– Łaskawcy... – Waldek się zaśmiał. – Chcemy odzyskać naszą dawną Polskę. Churchill powiedział: „razem zwyciężymy, razem umrzemy”. I co? W Polsce mamy rząd podległy Sowietaom. Walczyliśmy, bo wierzyliśmy w to, że nam potem pomożecie, a nie uznacie komunistyczny rząd, który chce skazać polskich oficerów na zagładę. Zhańbić pamięć tych, co polegli.

– Nie wiem, czy pan słyszał, ale ostatnio przeprowadzono wśród ludności pewien sondaż. – Lord Andrew zacisnął usta w ciekawą kreskę.

– Nie wiem, o jakim sondażu mowa.

– Otóż ankietowanemu zadano pytanie, czy chcą, by Polacy opuścili ich kraj. – Stary lord świdrował wzrokiem młodego mężczyznę.

– I?

– Większość Brytyjczyków nie chce u siebie Polaków – prychnął.

– Ciekawe.

– Prawda?

– Jestem rozgoryczony tym, że Polaków spycha się na margines. To zdrada! – powiedział dobitnie Waldek.

– Czy my, Brytyjczycy, mamy być wam wdzięczni do końca życia? Wojna się skończyła, a niektórzy ciągle chcą do niej wracać, ciągle o niej mówią. Co zrobili podczas wojny, a czego nie.

– Do czego zmierza ta rozmowa? – Waldek poczuł, że go mdli.

– Abigail powinna znaleźć sobie chłopca ze swoich sfer.

– Abigail jest już dorosła.

– Taaak – powiedział przeciągle stary lord. Ale... Ale pochodzi z dobrego domu.

– Ja też. – Waldek spojrział na lorda. Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniami.

– Żądam od ciebie, byś dał sobie z nią spokój. – Na twarzy lorda McGregora pojawiły się czerwone plamy.

– A jeśli nie?

– Wydziedziczę ją! Straci wszystko: rodzinę, dom, prestiż.

Waldek odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

Z każdym spotkaniem Abigail kochała Waldka coraz mocniej. Gdyby tylko jej się oświadczył, bez zastanowienia powiedziałaaby: „tak”. Co ciekawe, nigdy przedtem nie chciała być żoną.

Raz nawet sama zapytała go, niby żartem:

– Masz zamiar się ze mną ożenić?

– Może... Najpierw muszę pojechać do Polski. Zobaczyć, co z moją rodziną.

– A jeśli nigdy tam nie pojedziesz?

Westchnął. Nic więcej nie powiedział.

Abigail poczuła się zawiedziona. Wybiegła z jego mieszkania na drżących nogach.

– Czy coś się stało? – zapytała ją mama, kiedy Abigail pojawiła się w korytarzu.

– Nie, nic... – rzuciła i po schodach pobiegła do swojego pokoju.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, rozryczała się na dobre.

– Co jest? – Liz weszła do pokoju siostry.

– Waldek nie chce się ze mną żenić – wychlipała.

Liz usiadła obok Abigail i gładziła ją po włosach.

– Może to dla niego za wcześnie.

– Obawiam się, że on nigdy się ze mną nie ożeni.

– Abi, Abi... Tak nie można. Jeśli on nie chce, trudno. Jest tylu mężczyzn.

– Pieprz się! – Abigail wrzasnęła. – Pieprz się, z tymi swoimi mężczyznami, a mnie zostaw

w spokoju. Ja go kocham! Kocham tylko Waldka!

Lady Margaret weszła do salonu. Jej synowa, za którą nie przepadała, siedziała na fotelu i czytała książkę.

– Dzień dobry, mamó. – Młodsza kobieta odłożyła powieść na stół.

– Wcale nie jest taki dobry. Twoja córka straciła głowę dla tego Polaka.

Lady Beatrix się uśmiechnęła.

– Nie wiedziałam, że jesteś z tego zadowolona? – Starsza kobieta nie mogła znieść uśmiechu synowej.

– Napije się mama whisky? – zaproponowała Beatrix.

– Chętnie.

Lady Beatrix przywołała kamerdynera. Po chwili zjawił się ze srebrną tacą, na której stały dwie szklaneczki z trunkiem. Teściowa sięgnęła po jedną. Nawet nie podziękowała lokajowi.

– Dziękuję – odezwała się lady Beatrix, która przywykła do grubiańskiego zachowania teściowej.

– Wracając do tego Polaka... – Lady Margaret nie dawała za wygraną.

– Kochają się.

– I co z tego? – Staruszka zacisnęła szczęki.

– Może jej się odwidzi.

– Nie odwidzi. Ta dziewczucha jest głupia tak samo jak ty...

Przez chwilę kobiety taksowały siebie wzrokiem. Lady Beatrix wiedziała, że musi zamknąć buzię na kłódkę, w przeciwnym razie rozpęta się tutaj straszliwa awantura. Kiedyś popełniła błąd i musiała za niego pokutować.

– Jest dorosła, wolna i... – zaczęła spokojnie.

– Zawsze możemy wybić jej go z głowy.

– Otóż to, że nie możemy. Nie możemy... – Lady Beatrix pokręciła głową i odpłynęła we wspomnienia, wyłączając się z tego, co teściowa miała do powiedzenia.

Tamte pocałunki tak bardzo smakowały, tamten dotyk sprawiał, że jej ciało przeszywały dreszcze, tamte oczy patrzyły na nią z takim uwielbieniem. Tamto serce wtedy tak bardzo kochało...

Lady Beatrix weszła do kwaciarni. Nie lubiła pani Dawson, ale musiała kupić gąbki do swoich kompozycji kwiatowych. Od dwóch lat zajmowała się amatorsko układaniem kwiatów. To ją uspakajało i cieszyło. Pani Dawson wiedziała wszystko o wszystkich. Czasami koloryzowała informacje na temat tej czy tamtej osoby.

– Dzień dobry, pani Dawson. – Lady Beatrix powitała kwaciarkę sztucznym uśmiechem.

– Dzień dobry. Co też panią do nas sprowadza? – Gruba pani Dawson zmrużyła powieki.

– Chciałam kupić gąbkę do moich kompozycji kwiatowych.

– A więc to prawda? – Kwaciarka oparła grube dłonie o blat lady.

– Nie rozumiem?

– Lady Abigail wychodzi za mąż.

Beatrix uniosła wysoko brwi.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Pani Dawson ściszyła głos, jakby w kwaciarni oprócz ich dwóch był ktoś jeszcze.

– Ludzie gadają, że spotyka się z tym polskim oficerem.

Lady Beatrix uśmiechnęła się niemrawo.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Jak nie znaczy? – oburzyła się pani Dawson. – Są nierozłączni.

– Wie pani, jak to z miłością jest... – Lady Beatrix ugryzła się w język, bo przecież pani Dawson była starą panną i nikt nigdy nie widział u jej boku mężczyzny.

– Szczerze mówiąc, to nie wierzę w żadne miłości – odgryzła się pani Dawson. – To bzdura. Ale wracając do zamążpójścia pani córki... Jestem ciekawa, jak to wszystko znosi pani biedny małżonek?

– Zapewniam panią, że wiedziałabym, gdyby coś było na rzeczy. Nie będzie żadnego ślubu.

Lady Beatrix okręciła się na pięcie i zamaszystym krokiem wyszła z kwaciarni, zapominając o gąbce.

Nie będzie żadnego ślubu... Nie będzie... Sama nie wiedziała, dlaczego była tak zła. Może dlatego, że zazdrościła córce? „To chore” – pomyślała. Jak może być zazdrosna o szczęście córki? Jednak w jej sercu pojawił się jakiś ból. Znajomy. Taki sam ból, kiedy to jej serce pękło.

Rozdział 22

Anna pchała wózek po plaży. Było jej dość ciężko, ale kiedy spojrzała na uśmiech starszej kobiety, poczuła radość. Mgła opadła nisko, mewy wydobywały piskliwe dźwięki, które zawsze ją irytowały. Płytkie kałuże wody lśniły w promieniach słońca, które próbowało przedrzeć się przez zasłonę z mgły. Wiatr niósł ze sobą zapach zgniłej trawy.

Lady Abigail namówiła Annę na ten spacer.

– Kocham morze. Zrób mi tę przyjemność, kochana, i zabierz mnie na plażę – powiedziała starsza kobieta.

Anna walczyła z wózkiem, którego kółka grzęzły w piachu, jednak uśmiechała się, spoglądając na swoją pracodawczynię. Starsza kobieta miała rozanieloną minę. Dla takiego widoku Anna mogłaby pchać wózek nawet i pod górę.

– Wiesz, kochana... – zaczęła lady Abigail – My, kobiety, za często kierujemy się sercem i emocjami. Rządzą nami emocje. Powinniśmy więcej kalkulować, przyjmować niektóre rzeczy na chłodno. I ja taka byłam, emocjonalna. Zbyt łatwo poddawałam się uczuciom. Wyprowadziłam się z domu po kolejnej awanturze z ojcem.

Rok 1948

- Albo on, albo my! – Lord McGregor postawił ultimatum.
- Dlaczego go tak nienawidzisz? – łkała Abigail.
- Moja córka powinna mieć męża z odpowiednich sfer.
- To mądry, wykształcony mężczyzna.
- Może i tak.
- Najbardziej przeszkadza ci w nim to, że jest Polakiem!
- Nie chcę od nowa wałkować tego tematu. Powiedziałem jasno!

Wyprowadzka nie okazała się wcale taka trudna, jak wcześniej myślała Abigail. Po prostu spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i wyszła z domu. Ojciec jej nie zatrzymywał. Mama też nie. Beatrix nachyliła się w stronę córki. Abigail myślała, że matka chce ją pocałować, jednak kobieta nachyliła się

nad nią i powiedziała:

– Bądź szczęśliwa.

Abigail spojrzała na matkę. Myślała, że ta powie jej kilka słów do słuchu, a ona jakby pochwaliła jej pomysł.

Z małą walizką ruszyła przed siebie. Zamówiła taksówkę, która zawiozła ją pod mieszkanie Waldka.

Dopiero kiedy wysiadła z taksówki, zaczął ogarniać ją niepokój. Co dalej? – Poczuli, jak w żołądku zawiązuje jej się węzeł.

Miała niewielkie oszczędności, po spieniężeniu kilku drogich sukien i biżuterii. Ale ile będzie się w stanie z tego utrzymać? To tata za wszystko płacił. Ona nigdy nie martwiła się o pieniądze. „Będzie dobrze. Znajdę sobie jakieś zajęcie” – starała się myśleć pozytywnie.

Czekała na Waldka na klatce, pod jego drzwiami kilka godzin. Wrócił do domu po pracy. Kiedy ją zobaczył, skuloną na wycieraczce, stanął jak wryty.

– Co ty tu robisz? – omiół wzrokiem walizkę.

– Wyprowadziłam się z domu.

– Iiii?

– Przyjmiesz mnie?

– Tak, oczywiście. – Na jego twarzy nie było widać oznak szczęścia.

Weszli do mieszkania. Waldek położył walizkę na łóżku, obok plecaka.

– Dlaczego jesteś spakowany? – Abigail poczuła strach. O co, do licha, chodzi?

– Jadę do Polski – oznajmił.

– Do Polski? Przecież mówiłeś, że nie masz tam wstępu, że...

– Nie pytaj, jak... Ktoś mi pomoże. Wrócę. Nie mogę tam mieszkać, ale muszę zobaczyć swoją ojczyznę. Muszę sprawdzić, co się dzieje z rodzicami. Muszę... Chcę. – Waldek przeczesywał nerwowo włosy.

– A ja? – spojrzała na niego smutnym spojrzeniem. W jej oczach wezbrały łzy. – Teraz?

– Nie uprzedziłaś mnie.

– Ty też mnie nie uprzedziłeś. Pojadę z tobą.

Waldek pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne.

– Na jak długo jedziesz? – Abigail poczuła, że zaraz się rozplacze. Co ona najlepszego zrobiła?

Waldek wyjeżdżał, a ona wyprowadziła się z domu.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Po prostu. Nie wiem, ile zajmie mi podróż. Nie wiem, ile czasu będę na miejscu.

– A co ze mną?

– Wrócę...

– Wrócisz. – W głosie Abigail zabrzmiała nieprzyjazna nuta.

– Zostawię ci wypłatę. Mam trochę oszczędności.

– Nie chcę twojej jałmużny.

– To z czego będziesz żyła?

Wzruszyła ramionami.

– Zostawię ci pieniądze.

– Dobrze – odburknęła.

– Abi. – Waldek zbliżył się do dziewczyny. – Może wróc do domu?

– Nie! Nie!

Tej nocy oboje nie mogli spać. Waldek leżał nieruchomo na łóżku, Abigail kręciła się z boku na bok. Co ona najlepszego zrobiła? A co, jeśli Waldek nie wróci? Ojciec był na nią wściekły, na pewno nie przyjmie jej z powrotem, zresztą rodzina nie może się o niczym dowiedzieć. Uniosła się honorem, to

teraz nie może tam wrócić z podkulonym ogonem.

Rano oboje byli markotni i małowówni. Waldek skubał tost, a Abigail popijała lurowatą kawę.

– Muszę być z tobą szczerzy – zaczął Waldek. Ręce mu się trzęsły – Nie wiem...

– Czego nie wiesz? – W Abigail z każdą chwilą narastała złość.

– Czy pokocham cię kiedyś tak mocno jak ty mnie...

– Będę kochała za dwoje. – Poczula się zagrożona.

– Neeee! – jęknął.

– Nie kochasz mnie?

Oparł ręce o stół i spojrzał w okno. Patrzył na świat przez brudne szyby.

– Kocham, Abi... Ale zbyt dużo nas dzieli... Nie jestem pewien, czy to związek na całe życie.

Chcę być wobec ciebie szczerzy. Jeśli wyjadę, a ty...

Abigail podeszła do Waldka i objęła go. Przytuliła się do niego.

– Ja cię kocham. Szaleńczo. Jestem pewna. Tylko to się liczy. Tylko to. Wrócisz do mnie?

– Tak – powiedział bez przekonania. – Chcę, byś wróciła do domu. Myślałem o tym w nocy. Nie możesz tu zostać.

– Neeee... – Abigail jęknęła.

– Będę wiedział, że jesteś bezpieczna. A tutaj? To robotnicza dzielnica, wieczorami różne elementy się tu kręcą.

– Nie wrócę. Na razie nie... Napiszesz do mnie?

– Postaram się. W Polsce jest cenzura. Każdy list jest otwierany. Nie mogę podpisywać się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. To byłoby zbyt niebezpieczne. Nikt nie może wiedzieć, że jestem w Polsce. Nikt!

– Rozumiem. A czy ja będę mogła do ciebie pisać?

– Dam ci znać. Najwyżej napiszę ci adres zwrotny. Na tę chwilę nie wiem. Nic nie mogę ci obiecać.

– Pisz do Liz. Będę od niej odbierała listy.

Skinął głową.

* * *

– Chcę wracać już do domu – odezwała się lady Abigail. – Jestem już zmęczona.

– Tak, oczywiście. Wracajmy – powiedziała Anna.

– Wiesz, dziecko, cierpienie jest tym dotkliwsze, im więcej o nim myślimy.

Rozdział 23

Anna stanęła jak wryta. Nie mogła uwierzyć, że przed nią stoi ON. Przetarła dłonią oczy.

– Co ty tutaj robisz? – wykrztusiła w końcu.

– Przyjechałem.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Wiesz – uśmiechnął się – w dobie facebooka wszystko jest możliwe. Podpytałem twoich znajomych. Powiedzieli to i owo. A że jestem twoim bratem, któremu ukradli telefon i zgubiłem do ciebie numer i adres... Byłem przekonujący. – Marcin uśmiechnął się do Anny.

– Cały ty.

– Nie odpisałaś na mojego poprzedniego mejla.

– Nie mamy o czym rozmawiać. – Anna chciała zamknąć drzwi, ale Marcin przytrzymał je nogą.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Nie.

– Ann... – często tak się do niej zwracał, nie Anna, Ania, a Ann... To też było w jego stylu. Chciał być inny od wszystkich.

– Przyjechałeś tutaj dla mnie? – zapytała.

– Niezupełnie. Byłem w delegacji, w Glasgow. To rzut beretem.

– Wiem, gdzie jest Glasgow.

– Tak, zapewne. Zjemy razem kolację? – zaproponował. Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Anna poczuła, jak serce w jej piersi tłucze się jak szalone. „Boże!” – jęknęła w duchu. Czy już do końca życia będzie omdlewać na widok tego mężczyzny? Nawet po tym, jak dotkliwie ją zranił?

– Przeczytałaś ostatniego maila?

– Jezuuu, Marcin. Jesteś żonatym facetem. Czego ode mnie chcesz?

Wzruszył ramionami.

– Pogadać o starych dobrych czasach.

– I o tym, jak mnie ostatnio potraktowałeś. Przejechałem do ciebie pół Polski, a ty mi oznajmiłeś, że chciałbyś mieć drugie dziecko ze swoją żoną.

– Wciąż cię to boli?

– Nigdy nie przestało. Nie chcę, żebyś się pojawiał i znikał. W ogóle nie chcę cię znać!

Anna stała z opuszczonymi ramionami, wpatrując się Marcina. Całkiem bezsilna. Sponiewierana tymi wszystkimi emocjami, jakie grały w jej duszy. Przez chwilę znów była tamtą dziewczyną, zakochaną do szaleństwa w tym chłopaku.

– Wiem, że byłem dupkiem.

– Dobrze, że sam się do tego przyznałeś. Wtedy, ten ostatni raz... Zrobiłeś mnie w trąbę. Delikatnie rzecz ujmując.

– Ann... – Dotknął jej ramienia. – Ja wiele zrozumiałem. Nie chcę rozpieprzać ci życia... Chcę z tobą zjeść kolację i pogadać o tym, co u ciebie.

– Możemy zjeść kolację – zgodziła się w końcu Anka. Już po chwili pożałowała tych słów. Była wściekła na siebie, że dała się tak podejść.

Po co wrócił? Czy jest szczęśliwy? A może się rozwiódł? W jej sercu pojawiła się iskierka nadziei.

– Super. Powspominamy... – Uśmiechnął się do niej zawadiacko.

– Są takie rzeczy, o których człowiek nie potrafi mówić.

– Dlaczego?

– Zbyt dużo w nich emocji, wzruszeń, bólu, niekiedy niespełnionej miłości...

– Ciii... Nie mów nic, tylko poczuj to. – Położył dłoń na jej dłoni.

Maleńka kawiarenka pękała w szwach. Anna dziękowała Bogu, że zadzwoniła i zarezerwowała stolik. W środku pachniało oliwą, pieczonymi pomidorami, świeżymi bagietkami i kawą. Stała pod ścianą, szukając go wzrokiem.

– Ann... – Ciepły szept owiał jej szyję.

Odwróciła się. Ujrzała jego twarz i uśmiech. Wyglądał szalenie przystojnie w spranych dżinsach i białej koszuli, której dwa górne guziki były odpięte.

– Jesteś – powiedział to z takim przekonaniem, jakby wiedział, że na pewno przyjdzie. A ona wkurzyła się po raz kolejny na siebie za to, że zawsze mu ulegała.

– Jestem. Przecież to ja zarezerwowałam tutaj stolik.

– Ale to ja chciałem zjeść z tobą kolację.

Przeszli do stolika. Marcin odsunął dla niej krzesło.

Zawsze taki był. Szarmancki, z nienagannymi manierami. Kobiety go kochały.

– Na co masz ochotę? – Marcin nie spuszczał z niej wzroku.

– Mają tu dobry makaron z sosem pomidorowo-serowym.

– Zdaję się na ciebie.

Zamówili butelkę wina i dwie porcje makaronu.

– Co u ciebie? – Marcin oparł ręce o blat stolika i nachylił się w jej stronę.

– W porządku.

– Oj, nie bądź taka poważna. Opowiedz coś więcej.

– Co chciałbyś usłyszeć? Że tęskniłam za tobą? Że zламаłeś mi serce dwukrotnie?

– To już słyszałem. Ann, przykro mi. Tak czasami bywa. Popelniłem błąd.

– Słucham?

Anna przez chwilę nie mogła złapać tchu. Jej serce biło jak szalone.

– To co słyszałaś. Nie jestem szczęśliwy.

– Dlaczego?

– Bo ona nie jest tobą. Bo jej już nie ma. Odeszła, wtedy. Szukałem cię, ale dowiedziałem się, że wyjechałaś.

Kelner postawił przed nimi półmiski z parującym daniem. Żadne z nich nie spojrzało na swoje talerze. Patrzyli sobie głęboko w oczy.

– Zmieniłam się, Marcin. Zbyt wiele cierpienia mnie to wszystko kosztowało. Rozstania i powroty... To już za mną.

– Tamto... Z moją żoną, to było chwilowe zauroczenie, które wzięłem za miłość. Ann, ja tak naprawdę kochałem tylko ciebie.

Anna przełknęła głośno ślinę.

– Ale wciąż jesteś żonaty.

– Formalnie tak. Widzisz... – Zamyślił się. – Znaliśmy się tyle lat. Nasz związek trwał od... Zawsze? Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. A ja chciałem to poczuć.

– I poczułeś?

– Przez chwilę. Ale to nie było to...

– Należ mi wina.

Marcin rozlał do kieliszków wina. Anna wypila kieliszek, potem drugi. On też. Nie tknęli makaronu.

– Czemu nie jesz? – zapytał po kilku chwilach.

– Straciłam apetyt.

– Ja też. Chodźmy do hotelu.

– To nie jest dobry pomysł.

– Porozmawiamy. Mam ci tyle do powiedzenia.

– Nie odzywałeś się do mnie przez tyle czasu.

– Napisałem mejla, a teraz jestem tutaj.

– Masz żonę.

– Mówiłaś już to. Chodź ze mną.

Poszła. Wiedziała, że to jest zły pomysł. W ogóle nie powinna z nim rozmawiać.

Weszli do pokoju hotelowego, a on przysunął się do niej bardzo blisko.

– Kocham cię – powiedział, patrząc jej w oczy.

Te dwa słowa spadły na nią jak grom z jasnego nieba. Przez te wszystkie lata wierzyła, że jeszcze je usłyszy.

– Lepiej już pójdę. – Anna spuściła oczy.

– Naprawdę chcesz iść? – Objął ją wpół. A ona znów to poczuła. Wróciło do niej uczucie miłości do tego człowieka.

– Marcin... Boże... Masz żonę...

– Popełniłem błąd. – Całował jej szyję. – Wtedy. Żałuję.

Zaczął ją rozbierać. Ona nie oponowała. Pragnęła go, to był fakt. Jej oczy błyszczały. Jego ręce były szybkie, już po chwili stała przed nim naga.

– Teraz będę cię kochał – powiedział, patrząc z zachwytem na jej ciało.

– A co potem?

– Liczy się ta chwila.

Sięgnęła do suwaka jego spodni. Pomógł jej. Po chwili i on był nagi. Wziął Annę w ramiona i położył na łóżku. Nie napotkał żadnego oporu. Była już gotowa, kiedy tylko go zobaczyła.

Rano obudził ich dzwonek telefonu. Marcin poderwał się na równe nogi i wszedł do łazienki. Sądził, że Anna jeszcze śpi.

– Tak, kochanie... Tak, tak. Kolacja z kontrahentem się przeciągnęła. Padłem jak długi. Tak. Pewnie. Też cię kocham. – Zaśmiał się. – Udowodnię ci to po przyjeździe.

Rozłączył się. Kiedy wszedł do pokoju, Anna w pośpiechu zbierała rozrzucone ubrania.

– Co się stało?

– Wszystko. Ale ja jestem głupia. Odegraliśmy scenkę jak z jakiejś tandetnej komedyjki romantycznej.

– Nie jesteś głupia.

– Naiwna.

Łzy spływały obwicie po jej policzkach. Kiedy Marcin wyciągnął w jej stronę ręce, odskoczyła.

– Nigdy nie pozwolę już się nabrać.

– Co miałem jej powiedzieć?

– Ponoć od ciebie odeszła.

– Tak. Ale mamy dziecko... I...

– Spierdalaj! Spierdalaj raz na zawsze z mojego życia!

W pośpiechu naciągała spodnie, potem włożyła bluzkę. Kiedy była już ubrana, stanęła naprzeciwko niego.

– Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Wszystko! A ty to wykorzystałeś.

Marcin leżał na łóżku i gapił się w sufit. Chciałby odzyskać Annę. Kiedyś ją kochał. Dziś miał

rodzinę, dom w Gdańsku, dobrą pracę, pieniądze, które dawały mu szczęście. Był przystojny, dbał o siebie. Chodził na siłownię cztery razy w tygodniu. Miał twarde bicepsy. Martwił się tym, żełysiał. Kilka razy nawet pomyślał o przeszczepie włosów. Taki facet jak on powinien dobrze wyglądać. Już wolałby siwieć, ale ta łysina. Ciężka sprawa... Czemu myśli o łysinie, kiedy głowę powinna zaprzętać mu Anna. Chciałby znów się z nią kochać. Zawsze go pociągała. Przez te wszystkie lata nie był o niej w stanie zapomnieć. Beata nie była jego wielką miłością i pewnie byłby z Anną nadal, gdyby nie ciążyła Beaty. Kilka razy się z nią przespał. Był młody, cały nabuzowany, a jak wiadomo, młodzi mężczyźni potrzebują się wyszaleć. Oczywiście, że wtedy kochał Ankę, ale dzieliło ich tyle kilometrów. Poderwał kelnerkę. I kiedy chciał o niej zapomnieć, stanęła w drzwiach jego pokoju (mieszkał wówczas w akademiku). Nie widywał się z nią wtedy od dwóch miesięcy. Łukasz otworzył drzwi.

– Jakaś panna do ciebie – rzucił w stronę Marcina, który leżał na łóżku i jarał zioło. Chłopak wstał niechętnie.

– Oooo. – Był zdziwiony.

– Cześć.

– Cześć.

– Mogę wejść? – zapytała Beata.

Marcin odwrócił głowę. W pokoju był niezły syf, a Łukasz był już tak zjarany, że teraz wgapił się w Marcina i robił przygłupie miny.

– Nie. Przejdziemy się. – Złapał kurtkę i wyszedł z Beatą na korytarz. Zeszli na dół po schodach i wyszli z budynku.

– Nie odzywałeś się – powiedziała smutnym głosem.

– No tak. – Szli przed siebie, było dość chłodno. Marcin schował ręce do kieszeni.

– Czemu?

– Mówiłem ci, mam dziewczynę.

– Hm – westchnęła Beata.

– Wiesz, ja i ty... No po prostu umilaliśmy sobie czas.

– I z tego umilania coś wyszło.

– Co masz na myśli? – Na czole Marcina momentalnie pojawiły się kropelki potu. Żółć podeszła mu do gardła. W jednej chwili zachciało mu się wymiotować.

– Jestem w ciąży.

– Słucham?

– To, co słyszałeś, będziemy mieli dziecko.

– Co ty mi, kurwa, chcesz powiedzieć?

– To, że zostaniesz ojcem.

Beata była piękną blond włosy, wielkie cycki i niezłe nogi, ale nie nadawała się ani na matkę, ani na żonę. Anna tak, Beata nie. A zresztą kto myślał wtedy o ślubie i dzieciach.

– No i?

– No i co?

– Skołużę kasę na zabieg.

– Nie, kochany, nie usunę...

Wzięli szybki ślub. Co ciekawe, pierwsze dziecko urodziło im się po dwóch latach od wypowiedzenia sakramentalnego „Tak”

„Poroniłam” – powiedziała wtedy Beata. Ale on w ogóle jej nie wierzył.

Beata była w nim śmiertelnie zakochana, podobnie jak wcześniej Anna. Była dobrą żoną i matką, ale on jej nie kochał.

Rozdział 24

Anna siedziała w bujanym fotelu, na plecy zarzuciła kraciasty pled. Bujała się i płakała. Czuła dławiący ból samotności. Przez chwilę zasłuchiwała się w wiatr, który dął na zewnątrz. Nie cierpiała tych wietrznych dni i nocy w Szkocji.

Nie spała całą noc. Ból trawił jej serce. Kiedy przyszła do lady Abigail, miała ochotę się rozplakać.

– Coś się stało? – Staruszka wyczuła, że Anna jest smutna.

– Nic.

– Rozumiem. Nie chcesz, nie mów.

Anna się rozplakała. Już po chwili opowiedziała lady Abigail o wczorajszym spotkaniu z Marcinem.

– Jestem idiotką – chlipała.

– Nie jesteś.

– Ależ tak. Ile razy można pozwolić się przeczłgać? To tak, jakbym podała mu nóż i prosiła go, by wbił mi go prosto w serce.

– Ile z nas daje się zranić?

– Powinam zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Widzisz, czasami się powinno, a się tego nie robi. Kobiety niekiedy same siebie oszukują. Znajdują miłość tam, gdzie jej nie ma. To ułuda. Napij się. – Ruchem głowy lady Abigail wskazała na barek.

– Nie lubię whisky.

– Mam też wódkę.

– Wódki też nie lubię.

– A wino?

– Czerwone?

– Tylko czerwone. Jest w barku. Dobry rocznik, sycylijskie.

– Dziękuję.

Anna podeszła do barku i naląła sobie kieliszek wina.

– Dla pani też?

– Nie, dziękuję. Siadaj. Opowiem ci, co było dalej.

Rok 1948

Janek odprowadził Waldka do portu.

– Po co chcesz tam wracać? – zapytał. – Jesteś oficerem, byłeś dowódcą. Oni cię zniszczą. To nie jest ta sama Polska, co przed wojną.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Polska Rzeczpospolita Ludowa jest właściwie strefą zamkniętą. Płot z drutu kolczastego ma ponad dwa tysiące kilometrów i oddziela nas od sąsiadów. Granicy strzegą Wojska Ochrony Pogranicza. To ponad trzydzieści tysięcy żołnierzy. Naokoło rozlokowano tysiąc trzysta wież wartowniczych. Wpuszczą cię do Polski, zrobią swoje, ale już cię nie wypuszczą. – Janek wydmuchał kółka dymu, po czym wrzucił niedopałek papierosa na chodnik.

– Zasięgnąłem języka tu i ówdzie. Popłynę do Szwecji. A ze Szwecji do Polski. Marynarze ze szwedzkich węglowców są bardzo pomocni. Szmuglują naszych pod pokładami ich statków.

– Czemuś się tak uparł, by tam wracać?

– Janek, Janek. – Waldek potarł palcami skronie – Muszę zobaczyć mamę. Dowiedzieć się, co się dzieje z moją rodziną. Ojca wywieźli na początku wojny na Pawiak, a mama?

– Wrócisz, jak w Polsce będzie inaczej... Lepiej.

– A jak nie będzie? – westchnął Waldek. – Jesteśmy za żelazną kurtyną i może tak już zostanie.

– Wiem, że nie odwiodę cię od tej decyzji.

– Nie.

Janek poklepał kompana po plecach.

– Spokojnej drogi.

Waldek wsiadł w Dundee na pokład statku, który płynął do Szwecji. Stał na pokładzie. Był zmęczony i smutny. W jego oczach malowała się jakaś dziwna nostalgia. Palił papierosy, jednego za drugim. Wziął na drogę trzy paczki. Wypalił już połowę pierwszej. Nie chciał opuszczać dziewczyny, ale wiedział, że jeśli nie zobaczy Polski powojennej, to nigdy sobie tego nie wybaczy. Poza tym chciał się spotkać z rodzicami. Wiedział, że nie będzie mógł zostać w ojczyźnie. Jego serce krwawiło. Dla Polski gotów był porzucić Abigail, chociaż naprawdę darzył ją uczuciem. Może z czasem i ją pokocha. Tylko czy Abigail nadawała się na żonę? Dzieliła ich przepaść kulturowa. Niby byli w podobnym wieku, ale jednak czasami wydawało mu się, że w ogóle się nie rozumieją.

Ze Szwecji do Polski płynął pod pokładem statku, na kutrze rybackim. Do portu w Gdańsku kuter wpłynął po północy. O piątej rano dotarł do rodzinnego domu. Jednak nie zastał tam nikogo. Okiennice były zamknięte, a drzwi zaryglowane. Postanowił pójść do domu ciotki Jadzi, siostry mamy. Jej dom znajdował się na końcu wsi. Waldek przemykał się skrajem lasu. Miał to szczęście, że dom ciotki stał z dala od innych zabudowań. Na krańcu wsi, a raczej tuż za nią. Otoczony z dwóch stron lasem, a z jednej polami.

Ciocia Jadzia już nie spała. Krzątała się po kuchni. Przyjęła siostrzeńca z otwartymi ramionami. Waldek od razu dostrzegł u ciotki zmiany. Postarzała się, a na jej twarzy malował się smutek. Usiadli przy stole w kuchni. Ciocia podała mu szklankę herbaty i pajdę chleba ze smalcem. Waldek nie miał ochoty jeść. Chciał dowiedzieć się, co się stało z jego rodzicami.

– Twojego tatę rozstrzelano zaraz po tym, jak zabrano go na Pawiak.

Waldek westchnął.

– A mama?

– Mama zmarła dwa tygodnie temu.

– Na co?

– Z tęsknoty umarła.

– Ciociu, o czym ty mówisz?

– Oj, Walduś, Walduś, jesteś jeszcze młody... Mało wiesz. Z tęsknoty, mówię.

Ciocia dała Waldkowi klucze do jego rodzinnego domu. Mężczyzna chciał jak najszybciej tam wrócić.

- Pojedź, Walduś, i pójdiesz.
- Ciociu, nie jestem w stanie teraz jeść. – Poderwał się na równe nogi.
- Idź skrajem lasu. Unikaj ludzi. Nikt nie może wiedzieć, że wróciłeś.

Waldek skinął głową, złapał klucze i ruszył w stronę swojego domu. Nie mógł uwierzyć, że spóźnił się o dwa tygodnie. Gdyby nie zwlekał z przyjazdem, zastałby mamę żywą. Przez chwilę siłował się z kłódkami. W końcu otworzył rygiel. Pchnął drzwi. Ze środka uderzył go znajomy zapach. W powietrzu unosiła się woń szarego mydła i płynu, którym mama myła podłogi. Cytrynowego. We wnętrzu panował półmrok. Ciężkie zasłony były zaciągnięte na okna. Podchodził do każdego okna i odsłaniał je. Otworzył okiennice. Kiedy w domu zrobiło się jasno, Waldek nie wiedział, co ma ze sobą począć. Stał na środku korytarza i wsłuchiwał się w ciszę, niepodobną do tego miejsca. W tym domu przed wojną zawsze było gwarno, wesoło, mama puszczała płyty i wszyscy razem podrygiwali w rytm muzyki. A teraz... Teraz jest pusto i cicho, tak bardzo cicho, że aż boli. Obszedł wszystkie pokoje, ogarnięty uczuciem straty. Drewniane deski podłogowe trzeszczały pod jego ciężarem. Podszedł do szafy. Otworzył ją. Wyleciało z niej kilka moli. Na wieszakach wisiały suknie mamy, które wkładała na wyjścia z tatą. Rzadko, bo rzadko, ale kiedy w którąś się wystroiła, wyglądała pięknie, nie jak mama, jak jakaś gwiazda. Zamknął szafę. Przeszedł do sypialni rodziców. Łóżko było starannie zaścielone. Klęknął, wymacał palcami trzy ruchome deski. Podważył je. Pod podłogą znajdowała się stara skrzynia, w której mama zachowała kilka polskich książek: Mickiewicza, Słowackiego. Znalazł też płyty Szopena. Poczul silny ucisk w sercu.

Siedział w rodzinnym domu cały dzień i noc, dopiero po tym czasie wrócił do ciotki.

– Możesz z nami zostać, jak długo chcesz – powiedziała ciocia Jadzia. – Ale masz robić wszystko, by nikt cię nie zauważył. Nie chcę ściągać kłopotu na naszą rodzinę, chyba rozumiesz.

– Tak, ciociu, rozumiem.

– To już nie jest ta sama Polska – westchnęła ciotka. – A was, oficerów, traktują jak największych zbrodniarzy. Ech... Nie mogę o tym mówić, bo żal mi serce ściska. Wieczorem przyjdzie Kazek, to pogadacie.

Kazek był synem cioci Jadzi, a kuzynem Waldka. Obaj nie mieli rodzeństwa, dlatego całe dzieciństwo spędzili razem. Mogli na sobie polegać.

Ciotka postawiła przed Waldkiem talerz gorącego żurku.

– Jedz, póki ciepłe.

Waldek z ochotą złapał łyżkę i zaczął jeść.

– Jak ja tęskniłem za polskim żurkiem z jajeczkiem. – Jadł zachłannie.

– Nie macie tam żurku?

– Nie mamy, ciociu, nie mamy.

– Niepotrzebnie wracałeś. – Ciotka Jadzia mięła fartuch.

– Myślałem, że mama żyje...

– Nawet jakby żyła, nie potrzebowałyby cię tutaj. Walduś, oni chcą twojej śmierci.

– Kto?

– Komuniści, esbecja... – Ciotka ściszyła głos. – Władze ludowe źle postępują z polskimi bohaterami, członkami Armii Krajowej, powstańcami warszawskimi, osobami zasłużonymi w walce o wolność. Dla komunistów to wszystko nie ma znaczenia, uznano was za zdrajców i wrogów ojczyzny. Wszystkich postanowiono zniszczyć. Wojna zabrała wam młodość – ciotka kiwała się na taborecie to w przód, to w tył – a nowa władza chce wam zabrać te lata, które przed wami. Oficerów, żołnierzy, prawych ludzi ścigają, więżą, niszczą psychicznie. I nikt wam nie chce pomóc. Szkoda, że tak niewielu pochyła się nad losem tych, którym te czasy odebrały wszystko... Dobrze ci tam, w tej Anglii?

– W Szkocji, ciociu. Mieszkam teraz w Szkocji.

– W Szkocji?

– Tak, chyba tak... Tęsknię.

– To zrozumiałe, Walduś. – Ciotka dotknęła dłoni siostrzeńca. – Ale tutaj nie miałbyś życia. Musiałbyś się ukrywać, bo oni... Oni by cię wykończyli.

– Tak, wiem o tym. Wróć do Szkocji. Poza tym, jest ktoś, kto na mnie czeka.

Ciocia uśmiechnęła się do Waldka.

– Czyli masz dziewczynę?

– Tak, ciociu.

– Brytyjkę?

– Tak. Kiedy wrócę, ożenię się z nią.

– Mówisz to bez przekonania. Powiem ci coś. Nie postępuj pochopnie. Jesteś młody... Zakochasz się nie raz.

– Abigail to dobra dziewczyna.

Starsza kobieta wstała od stołu, złapała ścierkę i zaczęła wycierać czysty stół.

– Nie podejmuj zbyt pochopnych decyzji.

Kiedy Waldek skończył jeść, wyszedł na dwór. Z tyłu domu podwórko było zarośnięte. Z szopy wyjął kosę i zaczął kosić trawę. Był sierpień. Według Waldka to najpiękniejszy miesiąc w Polsce. Słońce paliło jego nagie ramiona. Kiedy podniósł głowę, zobaczył zapierający w piersiach dech widok. Pola pokryte były złotym złotem. Z jednej strony pola słoneczników, z drugiej zboże. Westchnął i wciągnął do płuc ciepłe powietrze, które pachniało trawą, kwiatami i słońcem. Uśmiechnął się do siebie. Tutaj jest u siebie, a tam nawet pogody takiej nie ma.

Wieczorem wpadł Kazek z butelką bimbrow. Ciocia postawiła na stół talerz z kielbasą, pomidorami i kiszonymi ogórkami.

– Idę się położyć – powiedziała do mężczyzn. – A wy dobrze się bawcie.

Kazek rozlał bimber do kieliszków.

Rozmawiali o wojnie, o Szkocji, o kobietach. Z każdym kieliszkiem byli coraz bardziej wstawieni.

– Moja Baśka to do tańca i różańca, i do łóżka też. Dobra z niej kobitka. Słyszałem od mamy, że masz jakąś Szkotkę na oku.

Waldek ugryzł ogórka.

– Abigail. – Waldek uśmiechnął się na samą myśl o dziewczynie. Ożenię się z nią.

Kazek prychnął.

– Jak długo zamierzasz zostać?

– Jakiś czas...

– Mogę ci załatwić jakąś dziewczynę.

Waldek uniósł jedną brew.

– Po co?

Kazek zaśmiał się gardłowo.

– Facet ma swoje potrzeby. – Ostentacyjnie złapał się za krocze. – Nie chciałbyś sobie zaruchać?

– Nie...

– Oj, nie bądź taki święty, Waldusiu. – Kazek potargał jego włosy. – Jeśli zmienisz zdanie, znam taki lokal, gdzie są fajne dziwki.

– Zamierzam poślubić Abigail. – Waldek czuł się nieswojo, dlatego sięgnął po kieliszek. Pociągnął kilka łyków i skrzywił się.

– A ty mówisz chociaż po angielsku?

– Mówię. Miałem intensywne lekcje angielskiego. Łatwo przyswajam języki.

Waldek był już pijany. Świat mu wirował. Zamknął oczy. Pamiętał te lekcje angielskiego, które pobierał u jednej Angielki. Dość frywolnej, która na lekcje wkładała bluzki z głębokim dekoltem. Dekolt był tak duży, że Waldek miał wrażenie, że jej piersi wypłyną na zewnątrz. Miała rude kręcone włosy i nos nakrapiany piegami, jasną cerę i zielone oczy. Za duży nos, zbyt wąskie wargi, ale była na swój sposób piękna. „To te włosy” – myślał Waldek.

Kusiła go na wszystkie możliwe sposoby, ale on zamiast podziwiać jej walory, uczył się pilnie angielskiego.

– Niepotrzebnie tu wracałeś. Naraziłeś siebie, nas. – Kazek rozlał resztki alkoholu do kieliszków.

- A co byś zrobił na moim miejscu?
- Nie wiem.
- Widzisz... Jakbyś był tam, tobyś zobaczył, jak bardzo chce się wrócić do Polski. Choć na chwilę.

Rozdział 25

– W Polsce Waldek był dłużej, niż zamierzał. – Lady Abigail zakaszłała. – I pewnie zostałyby jeszcze dłużej, gdyby ktoś na niego nie doniósł i nie musiał uciekać... Podczas pobytu w Polsce zakochał się.

Anna otworzyła szeroko oczy.

– Nie patrz tak, dziecko. Ludzie zakochują się i odkochują. Takie właśnie jest życie. Mną był zauroczony, ale tamta kobieta... Cóż? On był tak bardzo przesiąknięty polskością, że pokochał Polkę. Nie obwiniam go za to. Teraz nie, wtedy... Wtedy to ja nic nie wiedziałam.

– Powiedział pani o tym, że się zakochał? – Anna nie spuszczała wzroku z lady Abigail.

– Nie. Ale kobiety wiedzą o takich rzeczach, prawda?

– Tak, chyba tak.

– Właśnie... Tylko czasami nie chcą nawet same przed sobą tego przyznać. Ale od początku...

Tęskniłam za Waldkiem cały ten czas. Miłość nie umiera, ona żyje w nas. Kiedy prawdziwie kochałaś, to odnajdujesz tę miłość wszędzie. W kawiarni, gdzie piliście razem kawę, w wydeptanych ścieżkach na szczycie klifów, po których chodziliście razem, trzymając się za ręce, w zapachu stokrotek, które on dla ciebie zrywał. W spojrzeniu waszego dziecka. Ona trwa latami, do końca. I nawet jeśli któreś z was odejdzie, to miłość zostanie.

Lady Abigail zakasłała. Przerwała opowieść.

– Przynieś mi wodę, kochanieńka.

Anna wstała, podeszła do stolika i z dzbanka nalała do szklanki wody.

– Dodać plasterka cytryny?

– Nie, dziękuję.

Lady Abigail łapczywie wypijała. Była zmęczona tymi opowieściami. Czasami wydawało jej się, że wszystko, co przeżyła, było jakimś snem. Chciała niektóre sprawy wymazać z pamięci, ale ta wciąż podsuwała jej właśnie te bolesne wspomnienia.

I tamten dzień sprzed kilkudziesięciu lat, o którym na pewno nigdy nie uda jej się zapomnieć. A czy odważy się i opowie o nim Annie? Cóż ma do stracenia?

Znała ją kilka miesięcy, ale jakoś jej ufała. Czowała, że może jej zaufać.

Rok 1948

Waldek nabierał wody ze studni, kiedy usłyszał skrzypnięcie furtki. Podniósł wzrok. Do ogrodu jak burza wpadła dziewczyna o blond włosach, splecionych w gruby warkocz. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech. Miała na sobie białą, zwiewną sukienkę, która lekko prześwitywała. Podniosła z trawy papierówkę i zatopiła w niej zęby. Dopiero wtedy zobaczyła Waldka. Krzyknęła z przerażenia, o mało się przy tym nie krztusząc.

Ciocia Jadzia wybiegła z domu.

– Marysia! Marysia! Co się stało? – podleciała do dziewczyny.

Dziewczyna wskazała ręką na Waldka.

– Spokojnie, spokojnie. – Starsza kobieta przycisnęła Marysię do swojego okazałego biustu. – To Waldek, mój siostrzeniec.

Dziewczyna poczuła, jak rumieniec wpełza jej na policzki.

Ciocia dokonała prezentacji.

– To Marysia, córka mojej przyjaciółki. Pomogła mi bardzo w czasie wojny. A to Waldek.

Waldek wyciągnął w kierunku dziewczyny rękę. Ona również wyciągnęła swoją. Mężczyzna pocałował delikatnie dłoń Marysi. Ona zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Oboje to poczuli. Wzajemną siłą przyciągania. W ułamku sekundy nadeszła fascynacja.

– Chodźmy na werandę, napijemy się kompotu i zjemy ciasto – zaproponowała ciotka.

– Zaraz do was dołączę – powiedział Waldek.

Mężczyzna zniknął za drzwiami domu. Po schodach wbiegł na górę. Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jego serce galopowało jak szalone. Co się z nim działo? Ochlapał twarz w misce zimnej wody. Usiadł na łóżku, starał się opanować emocje. To ona, dziewczyna z jego snów. Ta dziewczyna, chociaż nie widział jej wcześniej, śniła mu się kilka razy. Jak to możliwe? Przebrał koszulę, kilka razy odetchnął głęboko i zszedł na dół.

Ciocia postawiła przed nim szklankę kompotu. Jadwiga napominała Marysię, by nikomu nie mówiła o tym, że Waldek u niej mieszka.

– To zbyt niebezpiecznie. Wiesz, co się teraz w kraju dzieje.

– Tak, oczywiście. Nie piszę nikomu ani słówka. – Dziewczyna podniosła wzrok na Waldka.

Młody mężczyzna poczuł, jak krew w żyłach szybciej zaczyna krążyć.

– Nawet rodzicom. – Ciotka Jadzia wpatrywała się w Marysię.

– Oczywiście.

Potem rozmowa przeszła na inne tory. Rozmawiali o żniwach, o rodzicach Marysi. Waldek nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny, a kiedy ta na niego spojrzała, peszył się.

– A jak się żyje w Wielkiej Brytanii? – spytała Marysia.

Spoglądała na Waldka z zaciekawieniem. Rozchyliła delikatnie usta, a mu słów zabrakło.

– Dobrze.

– I tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Roześmiała się.

Waldek nie wiedział, czy była tak zuchwała, czy tak prostolinijna, czy po prostu nie wstydziła się go, tak jak on jej.

Kiedy wypili herbatę, ciocia Jadzia zaproponowała młodemu spacer.

– Może pójdziecie do lasu, na jagody? Upiekę jagodzianki na sobotę.

– Tak – odpowiedzieli zgodnie.

Całe słoneczne popołudnie spędzili razem. Spacerowali po lesie, zrywali jagody. Śmiali się. I on wiedział, że to ta kobieta. Marysia była kobietą, z którą chciałby się zestarzeć. Nie Abigail. Abigail była wspaniała, ale nie wyobrażał sobie z nią przyszłości. Za to Marysia była taka swojska. Prawdziwa. Była z Polski. Tak. Wtedy tak odczuwał. Chciał doświadczać tej polskości, na każdym kroku.

Minął sierpień i wrzesień. Abigail czekała na Waldka. Tęskniła. Była na kilku potańcówkach, ale jej serce było skute lodem. Jej oszczędności stopniały i dziewczyna wróciła do rodzinnego domu.

– Widzę, że zmądrzałaś – powiedział Lord Andrew.

– Po prostu... On wyjechał...

– Czyli koniec miłosnej historii?

– Wróci...

Lord Andrew spojrział na córkę z politowaniem.

– Wy wszystkie tak myślicie.

– Jakie „wszystkie”?

– Nieważne. – Machnął ręką.

Abigail snuła się po domu, nie mogąc znaleźć żadnego zajęcia. A kiedy ojciec lub matka pytali, co zamierza dalej zrobić ze swoim życiem, prychała niczym kot.

Był sobotni poranek. Abigail pożyczyła od babki samochód i pojechała w stronę klifów. W to samo miejsce, gdzie była kiedyś z Waldkiem. Chodziła po klifach kilka godzin. Dał silny wiatr, a mimo to kobieta nie czuła przeraźliwego zimna. Myślała o ukochanym. Tak bardzo tęskniła. Tak długo już czekała na list od Waldka. Umierała z tęsknoty. Wiedziała, że listy z Polski idą długo i że jeśli otrzyma list, to Waldek podpisze się fikcyjnym imieniem i nazwiskiem. Nie napisze też wszystkiego wprost. „Ta przekłeta cenzura w Polsce” – mówił. „Poza tym nikt nie może się dowiedzieć, że tutaj jestem. Podam ci adres kuzyna, odpiszesz do niego. Nie pisz za dużo o nas. Pisz tak, jakbyś pisała do niego” – powiedział na pożegnanie. „Umiem czytać między wierszami”. Obiecał, że napisze. Nie napisał. A ona... Czekala. Rozplakała się. Plakała tak długo i intensywnie, że zapuchły jej powieki. Wracając do domu, obawiała się, że może spowodować wypadek. Kiedy wchodziła do domu, natknęła się na ojca. Przeklęła w duchu. Ojciec przebiegł spojrzeniem po jej zapłakanej twarzy.

– To przez tego Polaka? – powiedział sarkastycznym tonem. – Współczuję ci.

– Dlaczego? – Abigail odruchowo poprawiła włosy.

– Tęsknisz za kimś, kto nigdy nie będzie twój.

– Planujemy ślub, tatusiu – skłamała.

– To się nie uda. Chcę cię ochronić. Dla twojego dobra. – Ojciec dotknął policzka córki. – On kocha swoją ojczyznę, dużo przeszedł, za dużo go rozczarowało.

Abigail oblała się rumieńcem upokorzenia. Odwróciła się na pięcie i bez słowa odeszła.

– Abi. – Usłyszała za sobą głos lorda. – A myślisz, że co on robi w tej Polsce? Myślisz, że tak za tobą tęskni? Myślisz, że nie ma tam innych kobiet?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko puściła się pędem w stronę swojego pokoju.

Liz usiadła obok siostry, gładząc ją po ręce.

– Czy uważasz, że źle robię, że się tak angażuję? Myślisz, że on mnie też kocha? – zapytała rozpaczliwie Abigail.

Liz wierzyła w miłość Waldka do siostry, ale nie wierzyła, że z tego związku może coś dobrego wyjść, nie była w stanie jednak powiedzieć o tym siostrze, by jej nie zranić.

– Ufam mu i wierzę w niego – ciągnęła dalej Abigail.

Liz знаła mężczyzn i takich jak Waldek też. Zagubionych, emocjonalnie nadwrażliwych.

– Abi, może pójdziesz ze mną do klubu? Nie możesz tylko siedzieć i płakać.

– Ale ja go kocham.

– Ja nie każę ci przestać go kochać...

Liz była inna od Abigail. Uwielbiała dobrą zabawę i mężczyzn. Aktualnie miała dwóch kochanków. Żadnego nie kochała, ale taki układ jej odpowiadał. Jednym był Włoch, Luigio, który kochał się obłędnie, drugi Thomas, który pieścił ją czule i dawał drogie prezenty. Nie angażowała się, nie cierpiała. Proste.

W końcu Abigail otrzymała upragniony list, który przyszedł na adres rodziców i zaadresowany był na Liz, tak jak wcześniej uzgodnili.

Tego dnia pogoda była fatalna. Wiał silny wiatr i co kilka chwil padał rzęsy deszcz. Mimo to Abigail postanowiła, że przeczyta list na ławce w parku. Nie chciała robić tego w domu, gdyż bała się reakcji ojca, kiedy zobaczy córkę z listem od Waldka. Wichura omal nie wyrwała Abigail z rąk koperty. Dziewczyna doszła do parku na trzęsących się z wrażenia nogach. Usiadła na ławce i rozerwała kopertę.

Serce biło jej jak szalone.

Kiedy przebiegła wzrokiem po kartce, poczuła dotkliwie rozczarowanie. Waldek nie wyznał jej miłości, nie pisał o tęsknocie, a opowiadał o Polsce. O tym, jak pachnie polska wieś, jak cudna jest pogoda, jak smakuje polski chleb. Wiedziała, że nie mógł napisać więcej, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Ale mógł przecież napisać coś w rodzaju: Szkocja jest taka piękna, lub Kocham Szkocję. Ona by zrozumiała. Wiedziała już, że jeśli Waldek wróci do Wielkiej Brytanii, to nie z jej powodu, ale ze względu na sytuację polityczną w kraju. Poczuła, że złość zalewa jej duszę. „A niech cię diabli!” – krzyknęła w duchu.

Po chwili już płakała z żalu. Kiedy Waldek tylko wróci, to ona mu się oświadczy. Będzie dla niego dobrą żoną. Nauczy się polskiego. Będzie mu lepiła, no te... pierogi.

Liz patrzyła na siostrę z bólem w sercu. Dzień w dzień towarzyszyło jej oczekiwanie i tęsknota. Może tego dnia wróci, a może za dzień, dwa? Abigail czekała. Codziennie miała w oczach nostalgię. Codziennie rano sprawdzała pocztę. A kiedy tylko ktoś zapukał do drzwi, to Abigail je otwierała. Na jej toalecie było coś na kształt ołtarzyka. Dwa zdjęcia Waldka, otoczone świeczkami, kadzidełkami, płatkami róż. Liz miała ochotę potrząsnąć siostrą, ale było jej żal. Liz niekiedy nienawidziła Waldka za to, co zrobił z jej siostrą. Nie wiedziała, jak pocieszyć Abigail, ponieważ żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Patrzyła na cierpienie siostry i zdawała sobie sprawę, że nie ma słów, by ją podnieść na duchu. Zachęcała ją, by rozpoczęła nowe życie. Miała tylu adoratorów. Lecz ta uparcie powtarzała, że Waldek wróci, to tylko kwestia czasu.

– Jest tylu mężczyzn... – Liz dotknęła ramienia siostry.

– Ale tylko jeden będzie ojcem mojego dziecka.

– Słucham? – Liz otworzyła usta.

– Jestem w ciąży.

– I nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Sama wpadłam na to niedawno. A raczej... Przypuszczałam, ale bałam się... Byłam u lekarza kilka dni temu. Potwierdził ciążę.

– I co teraz?

– Nie wiem. – Abigail rozplakała się.

– To było głupie pytanie. – Liz objęła siostrę. – Pomożemy ci.

– On wróci, on wróci – niczym mantrę powtarzała w kółko te same słowa.

– Musisz powiedzieć rodzicom.

– Jestem już dorosła. Nic nie muszę.

– Ale oni cię utrzymują. – Liz pokręciła głową. Wyobrażała sobie reakcję ojca.

Abigail rozplakała się na dobre.

Waldek usiadł do stołu. Ukroił pajdę chleba i posmarował ją wiśniowym dżemem.

– Ciociu? – zaczął.

– Tak? – Ciotka wyrabiała drożdżowe ciasto.

– Czy nie wiesz, kiedy Marysia do nas wpadnie?

– Nie wiem.

– Ach, tak...

– Codziennie rano spaceruje z psami po lesie.

– Dzięki. – Waldek się uśmiechnął.

– Tylko jej nie zrań – powiedziała Jadzia do siostrzeńca.

– Ciociu, to, że chcę ją zobaczyć, nie znaczy wcale...

– Waldek, ja wiem, ile znaczy, i starej kobiety nie oszukasz.

Następnego dnia rano Waldek przechadzał się po lesie. W końcu ujrzał dziewczynę, która szła przed siebie żwawym krokiem. Przed nią biegły psy. Wyglądała niczym nimfa, w jasnoblękitnej sukience, na tle wschodzącego słońca. Oderwał się od pnia drzewa i ruszył w jej stronę.

- Cześć – rzucił w jej kierunku. Zauważył, że jest zmieszana.
- Cześć.
- Spacerujesz?
- Tak.
- Mogę się dołączyć?
- Pewnie, las nie jest tylko mój.

Waldek się roześmiał.

Szli obok siebie. Waldek kilkakrotnie próbował zagadnąć dziewczynę, ale ona odpowiadała zdawkowo. Zdziwiło go to, bo przecież tamto popołudnie należało do niej. Gadała nieustannie, a on niemal spijał każde słowo z jej ust.

- Muszę już wracać – powiedziała po kilku chwilach.
- Mogę cię odprowadzić? – zapytał Waldek. Bardzo chciał spędzić z nią jeszcze trochę czasu.
- Wolę iść sama. Cześć.

– Zaczekaj. – Złapał ją w ramiona i odgarnął zabłąkany kosmyk z jej policzka. – Spotkamy się jeszcze?

- Na pewno. – Uśmiechnęła się niemrawo.

Oczywiście, że Marysia chciała go jeszcze spotkać. Mogłaby spędzać z nim każdą minutę, ale wiedziała, że ten mężczyzna wkrótce wyjedzie, a ona nie może sobie pozwolić na złamane serce. Zresztą, do tej pory nie była zakochana.

Ciocia Jadzia pokroiła ciasto drożdżowe z truskawkami. Skinęła na Waldka, który rąbał drzewo. Pot oblepiał jego koszulkę.

- Chodź na werandę. Wystarczy tego rąbania. – Machnęła do niego ręką.
- Będziesz miała na zimę.
- Dziękuję. Już dosyć. Umyj ręce i posil się. Pyszne ciasto mi wyszło.
- Tobie, cioteczko, zawsze wychodzi pyszne ciasto.

Ciotka Jadzia uśmiechnęła się, słysząc komplement.

Waldek obmył się w misce, przebrał koszulkę i usiadł na wiklinowym fotelu. Sięgnął po kawałek ciasta, który błyskawicznie zniknął w jego ustach.

- Mhmmm.
- Dobrze?
- Pyszne. Mogę jeszcze?
- Jeszcze pytasz. Jedz, Waldusiu. Na zdrowie.

Ciotka zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

- Wiesz, ja wujka Bronka to początkowo nie kochałam.
- Słucham? – Waldek uniósł do góry brwi.

– Kiedy za niego wychodziłam, miałam już swoje lata. Dwadzieścia pięć lat to dla kobiety dużo na zamążpójście. Wujek Bronek był już koło trzydziestki. Teraz to płaciłby bykowe za to, że był bezzenny i bezdzietny. Bałam się, że jeśli nie on, to już nikt inny. Brak urody nadrabiał poczuciem humoru. Kobiety go kochały, a on upatrywał sobie mnie. Lubiłam go bardzo, ale nie kochałam. I robotny był Bronczek, rwał się do pracy. Był stolarzem. Wszystkie meble w domu to on zrobił. Nie zaglądał do kieliszka i do kościoła w niedzielę chodził. Przetęńczyłam z nim jedną zabawę, potem drugą. Potem były spacerunki przy blasku księżycy i kwiaty. I coraz bardziej lubiłam Bronka. W końcu poprosił moją tatę o moją rękę. Wesele mieliśmy huczne, z oczepinami, tańcami, przytupem. I rosół był jak należy, i bigos, schabowe z ziemniaczkami i ciasta, i tort. Urodził się Kazek, Bronek pracował. Powodziło nam się dobrze. Byłam szczęśliwa. Życie mieliśmy zwykłe. Dużo pracy w obejściu, w domu. Ale jedno drugie wspierało. Bronek nie był wylewny. Ale czasami miło mnie zaskakiwał. To wracając z roboty, narwał mi bzu, to okrył kocem, kiedy byłam chora. Kiedy twój wujek zachorował, tuż przed wojną... – Jadzia spojrzała na siostrzeńca.

Waldek skinął głową.

– Tak, pamiętam.

– To ja wtedy zrozumiałam, że Broniek jest całym moim życiem. Przez te wszystkie lata myślałam, że go lubię, szanuję, że to nie żadna miłość. Ale to była miłość.

Po policzkach starszej kobiety zaczęły kapać łzy.

– Ciociu, cioteczko... – Waldek nie wiedział, co ma powiedzieć.

Kobieta rąbkiem fartucha otarła łzy.

– Mówię ci to po to, byś nie pomylił miłości z zauroczeniem.

Waldek oszalał na punkcie Marysi. Jednak dziewczyna wciąż trzymała go na dystans. Przychodziła niekiedy do domu cioci Jadzi, ale kiedy on zapraszał ją na spacer, czmychała do domu niczym wystraszona łania.

– Robię coś nie tak? – zapytał ją któregoś dnia Waldek, kiedy zostali sami na werandzie.

– Nie.

– Masz narzeczonego?

– Nie.

– Nie chcesz mnie widywać?

– Nie wiem. Nic już nie wiem. – Marysia wzruszyła ramionami.

– O co więc chodzi? – Waldek na samą myśl, o tym, że Marysia nie będzie chciała go więcej widywać, dostawał szału.

– Kiedyś wyjedziesz – powiedziała smutnym głosem.

– Nie wiem.

– Wyjedziesz. Przecież nie będziesz żył całe życie w ukryciu.

– Polska kiedyś wyzwoli się z sowieckich kajdan.

– Kiedy?

Wzruszył ramionami.

– Mam dziewiętnaście lat... I zakochuję się w tobie.

– Ja też, Marysiu, ja też. – Waldek doskoczył do dziewczyny i zaczął ją namiętnie całować. Ona nie oponowała.

Odtąd spotykali się, kiedy tylko mieli wolną chwilę. Spacerowali po lesie albo zamykali się w pokoju. Całowali się godzinami, śmiali się i rozmawiali. Niekiedy leżeli na polanie i Waldek czytał Marysi książki, a ona słuchała jego ciepłego głosu z zapartym tchem.

Mężczyzna nie powiedział Marysi, że w Szkocji czeka na niego Abigail. Zresztą przestało mieć to dla niego znaczenie. Czuł się szczęśliwy w Polsce, z Marysią. Nie chciał psuć tych chwil z nią. Ciocia Jadzia wygadała się któregoś dnia przy wspólnym obiedzie.

– To nie jest tak, jak myślisz – tłumaczył się Waldek dziewczynie, kiedy zostali już sami.

– Zazwyczaj tak się mówi – odparła jak gdyby nigdy nic, ale Waldek usłyszał w jej głosie smutek.

– Masz do mnie żal?

– Czy ja wiem... Gdybyś naprawdę ją kochał, tobyś nie spędzał tyle czasu ze mną, nie całowałbyś mnie. To ty masz problem, nie ja.

– Masz rację. To mój problem. Kocham cię. – Waldek złapał w swoje ręce dłonie Marysi. Dziewczyna patrzyła mu w oczy. Uśmiechała się, ponieważ wiedziała, z jaką determinacją Waldek wypowiedział te słowa.

– Myślisz, że można kogoś kochać, tak krótko go znając? – Patrzyła w twarz Waldka pełna nadziei.

– Nie zawiodę cię.

Chciała mu wierzyć, jednak podświadomie czuła, że ich drogi się rozejdą.

– Chcę się z tobą kochać – powiedziała.

– Teraz?

– Choćby zaraz. – Wzięła jego rękę w swoją dłoń. Poszli w stronę lasu. Kiedy weszli między krzaki, przystanęli. Marysia zaczęła zsuwać ramiączka sukienki. Waldek przelknął ślinę. Krew w jego

żyłach zaczęła szybciej buzować. Dookoła panowała cisza. Nawet nie było słycać śpiewu ptaku. Niebo miało kolor lazurowy, słońce ostro grzało, a Waldek był oszołomiony tą chwilą. W tym samym momencie Abigail poczuła silny ból w okolicy mostka. Tak boli rozkochane serce, kiedy ktoś wbija w niej nóż.

Marysia i Waldek leżeli, spleceni ze sobą. Pośród rozproszonego, złotego światła, które przebijało się przez liście. Młodzi zaczęli się całować. Muskali się pocałunkami. Ich ciała były coraz bardziej rozpalone. Marysia ostrożnie wsunęła dłoń pod koszulę Waldka. Mężczyzna drgnął pod jej dotykiem. Potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. On zdjął z niej bieliznę. Jego wzrok spoczął na piersiach. Jędrnych, sterczących, niezbyt dużych. Podobał mu się ten widok. Przybliżył usta do jej brodawek. Chciał poczuć ich smak. Marysia wydała cichy jęk i wbiła paznokcie w jego plecy. Dłonie Waldka objęły ją w pasie, potem zeszły niżej, na jej blade pośladki. Ułożył ją na rozgrzanej trawie. Uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś moim pierwszym – szepnęła Marysia.

– Będę ostrożny.

Kochali się niespiesznie. Waldek, choć targały nim namiętności, był delikatny, a Marysia poddawała się jego pieścizdom.

Waldek znosił do spiżarni weki, które robiła ciotki. Ciotka stanęła za nim.

– Co zamierzasz? – zapytała siostrzeńca.

– Co masz na myśli, ciotku? – Mężczyzna odstawił słoiki na górną półkę i wytarł dłonie w spodnie.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi. O Marysię, ciebie i tę szkocką dziewczynę.

– Nie wiem.

– Widzisz, ja też nie wiem. Zostaniesz w Polsce?

– Wiesz, że nie mogę.

– Hm – mruknęła ciotka. – To porozmawiaj z Marysią. Wy tłumacz jej wszystko. Ona ci ufa, ona cię kocha. To wspinała dziewczyna.

– Wiem – westchnął Waldek. – Wiem...

Waldek był rozgoryczony tą rozmową, ale wiedział, że ciocia Jadzia ma rację. Tylko co on mógł? On sam nie wiedział, co dalej będzie z nim, jego przyszłością. Czy będzie musiał wyjechać? Czy tu zostanie? Kiedy tego wieczoru spotkał się z Marysią, wiedział, że to spotkanie będzie trudne. Nie chciał zniszczyć tego, co było między nimi, ale wiedział, że musi być wobec niej szczerzy, bo ona nie zasługiwała na kłamstwo. Dziewczyna przybyła na polanę uśmiechnięta. Blask księżyca oświetlał jej twarz. Pocałowała Waldka w policzek.

– O, jaka jestem zmęczona, cały dzień robiłam w polu.

– Mogłaś odwołać spotkanie, zrozumiałbym.

– Wykąpałam się i od razu poczułam się rześko. Zresztą nie przepuściłabym naszego spotkania.

– Spojrzała na Waldka z czułością.

– Coś się stało? – zmarszczyła brwi.

– Nie, nic.

– Jesteś smutny?

Westchnął.

– Któregoś dnia będę musiał wrócić do Wielkiej Brytanii.

– Ale jeszcze nie teraz?

– Nie.

– To nieważne.

– Marysiu. – Złapał ją za rękę. Odwróciła w jego kierunku głowę. Patrząc sobie głęboko w oczy, nie wiedzieli, co mają sobie powiedzieć. On nie wiedział. – Nie chcę cię zranić.

– Sam dobrze wiesz, że sprawy między nami zaszły daleko.

– Jesteś taka niewinna. – Waldek pocałował najpierw jej prawą, potem lewą dłoń.

- Już nie.
- Tak, faktycznie... Może teraz powinnaś odejść?
- A kim ty jesteś, żeby tak do mnie mówić?
- Masz rację, nie powinienem.

Marysia kochała Waldka. To był dobry, ciepły człowiek, pełen empatii. Kochała go za ten błysk w oczach i za to, że mogła z nim o wszystkim porozmawiać. Bała się, że kiedyś od niej odejdzie. Chciała, by ją zapewnił, że zostanie z nią na zawsze. Ale przecież nie mógł wiedzieć, ani on, ani ona, ani nikt inny, czy będą razem za rok, dwa, dziesięć... Takich rzeczy się nie wie. Nawet kiedy chciałoby się, by to trwało... By było już na zawsze... Ale teraz? Teraz jest miłość. I tylko to jest ważne.

Waldek napisał do Abigail kolejny list. Wyznał jej, że kogoś ma, że chciałby zakończyć związek z Abigail. Był uczciwym człowiekiem i mimo iż wiedział, że złamie serce Abigail, to prawda była ponad to. Zdał sobie sprawę, jak bardzo kocha Marysię.

Lord Andrew wychodził z domu na brydża, kiedy zauważył listonosza. Przywołał go gestem ręki.

- Jakaś poczta do nas? – zapytał.
- List do pańskiej córki.
- Przekażę jej.

Listonosz jakby się zawahał, ale po chwili podał kopertę lordowi. Ten włożył ją do marynarki. Stempel na kopercie był z Polski, a jako adresat widniała Liz. Lord Andrew zawahał się przez chwilę. Coś go jednak tknęło, by to przeczytać. Do Liz nikt z Polski by nie napisał. To pewno on, ten cały Waldek. Rozerwał kopertę. List zaczynał się słowami: *Dear Abigail*. „Sprytnie to uknuli” – pomyślał. Odczytał list w samochodzie. Podarł go na strzępy, zostawiając sobie tylko kopertę z adresem zwrotnym. I być może gdyby wtedy nie podarł tego listu, historia potoczyłaby się inaczej...

Lord McGregor nie pojechał na brydża, zamiast tego wszedł do domu i wypił duszkiem dwie szklaneczki whisky. Był wściekły. W takim stanie zastała go żona.

- Coś się stało? – zapytała męża lady Beatrix.
- Wszystko...

Opowiedział jej o liście Waldka do Abigail.

- Nie powinienes go czytać.
- Może i nie, ale czułem nosem, że coś się święci.
- Powinniśmy jej powiedzieć... – zaczęła lady Beatrix.
- Oszalałaś. Ona jest w ciąży. Napiszę do niego, że ma wracać. Kto teraz się z nią ożeni. A u mnie

w rodzinie nie będzie bękarta.

- Może lepiej, żeby nie wracał. – Lady Beatrix kręciła głową.

– Dosyć! – Lord trzasnął ręką w stół, tak mocno, że szklaneczka z whisky się przewróciła.

Resztki alkoholu spłynęły stróżką po blacie.

– Ona ma prawo wiedzieć. – Beatrix pierwszy raz była taka niezłomna. – On kogoś tam ma. Nie kocha Abigail.

- Nie chcesz kłamać?
- Tak.
- To nie będzie kłamstwo, a przemilczenie.

Kiedy Andrew został sam, zaczął pisać list do Waldka. Wyznał, że Abigail jest w ciąży i Waldek ma natychmiast wracać, nie wspominając ani słowem o tym, co wyprawiał w Polsce.

- Polaczek! Jak tu im ufać? – Lord pokręcił głową.

Waldek był zakochany jak szaleniec. To prawda, miłość wszystko zmienia. Życie, świat, ludzi dookoła, światopogląd. Wszystko. Mężczyźnie wydawało się, że w tamtych chwilach nie istnieje nikt oprócz nich. Mieli z Marysią swój tajemny świat. A ciotka nie przeszkadzała im, a wręcz nie miała nic przeciwko, kiedy Waldek zapraszał Marysię do pokoiku. Wiedziała, że się kochają. Nawet żyrandol na dole drżał, kiedy łóżko na górze podskakiwało. Ciotka uśmiechała się z lubieżnym uśmiechem

i wychodziła do kur.

– A to pierony... Ale żeby aż tak! – Śmiała się do siebie. Ona przecież też kiedyś była młoda.

Kazek przybiegł z samego rana, trzymając w ręku rozerwaną kopertę. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Cholera, Waldek! – Potrząsnął śpiącym kuzynem.

Waldek jęknął, po czym podniósł się na łokciu.

– O co chodzi?

– List do ciebie. Nie znam angielskiego, ale wymieniają tutaj twoje imię! Kurwa, jeśli podajesz mój adres, powinieneś uważać. Jak ja się będę teraz z tego tłumaczył? Ci u władzy inwigilują korespondencję! Poza tym nikt miał nie wiedzieć, że tutaj jesteś. I co teraz?

– Spokojnie, może nikt o niczym się nie dowie. List jest napisany po angielsku.

– Wszyscy się dowiedzą. Koperta była rozerwana. Niektórzy znają angielski.

Kazek cisnął listem w Waldka.

– Mam żonę i dziecko. Moja mama przyjęła cię pod swój dach, a ty?

– Przepraszam... Naprawdę mówiłem Abigail, jaka jest sytuacja w Polsce.

– Ech... – Kazek jęknął, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Waldek przebiegł wzrokiem po kartce. Poczul, jak oblewają go poty. Oblizął językiem spierzchnięte usta. Abi w ciąży, z nim. On będzie ojcem... Lord Andrew napisał do niego...

– Niiieee!!! – wyrwało się z jego gardła.

Co z nim i Marysią? Będzie ojcem, będzie ojcem... To jego dziecko przyjdzie na świat...

Marysia! Tak bardzo ją kochał.

Rozdział 26

Rok 1949

Abigail doskonale pamiętała to uczucie piekącego żalu. Była już w zaawansowanej ciąży i nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Rozdarta, zagubiona i zła. Minęło już pięć miesięcy, a Waldek nie dawał znaku życia. Liz powiedziała jej, żeby na niego nie czekała, nie łudziła się. Abigail była na nią wściekła. Do tej pory żywiła nadzieję, że on do niej wróci.

Czuła, jak nienawiść przesącza jej duszę. Jak on mógł jej to zrobić? Tak bardzo była w nim zakochana. Pierwszy raz w życiu kogoś kochała!

Na domiar tego wszystkiego Liz ogłosiła swoje zaręczyny. Ta Liz. Jej siostra, która skakała z kwiatek na kwiatek, zakochała się i po trzech miesiącach postanowiła wyjść za mąż. Abigail poczuła jeszcze większe przygnębienie. Oczywiście, że cieszyła się ze szczęścia siostry, ale z drugiej strony była wściekła, że to nie ona przymierza teraz suknię ślubną, a Liz. Liz dumnie przechadzała się po sklepie w długiej koronkowej sukni.

– A welon? – zapytała mama.

Liz prychnęła.

– Welony wkładają dziewice.

Lady Beatrix zaczerwieniła się po same koniuszki uszu.

Liz zakochała się w sławnym skrzypku. Poznała go, kiedy ten grał koncert w londyńskiej Filharmonii. To nie było w stylu Liz, a jednak ona była zakochana jak szalona. Ojciec był szczęśliwy, mama też, a Abigail, mimo iż życzyła siostrze jak najlepiej, zrozpaczona.

Był luty, Abigail była już w zaawansowanej ciąży. Nic na nią nie pasowało, była tak opuchnięta, że miała wrażenie, że zaraz pęknie. Nikt jednak się nią nie przejmował. Wszyscy zajęci byli przygotowaniami do ślubu.

Przyjęcie miało się odbyć w podgrzewnym namiocie ustawionym przed domem. Wejście do namiotu zdobiła kwiecista pergola. Wewnątrz ustawione były krzesła i ławki dla gości. Obok prowizorycznego ołtarza, przy którym miał stać pastor, który udzieli ślubu Liz i skrzypkowi, fruwały balony w kolorze kości słoniowej.

Liz szła do ołtarza z uniesioną głową, dumna i jakże piękna. W oczach Abigail zaiskrzyły łzy. Przy ołtarzu czekał na nią Josh, ubrany w kilt. Wyglądał bardzo dostojnie. Ludzie patrzyli na młodą parę z podziwem w oczach.

Dla Abigail cała ta uroczystość była koszmarem. Nieustannie myślała o Waldku. Gdyby nie była w ciąży, to chętnie by się napiła czegoś mocniejszego, żeby tylko przetrwać ślub. Mogła nie przychodzić, wymówić się mdłościami, złym samopoczuciem, ale po pierwsze sprawiłaby Liz ogromną przykrość, a po drugie ludzie by gadali. W sumie miała to gdzieś, bo i tak o niej gadali. Lord McGregor wymyślał na poczekaniu jakieś bajeczki, kiedy temat schodził na Abigail. Jego rodzina nie mogła być przecież zhańbiona. Abigail poczuła się słabo. Na szczęście pastor zaczął kazanie i mogła usiąść. Zastanawiała się, czemu Liz uparła się na ślub kościelny, skoro była niewierząca. Abigail zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie. Po kilku chwilach wszyscy zgromadzeni powstali, i ona powstała. Skrzypek zagrał jakąś pieśń, a młoda para nałożyła obrączki, została pobłogosławiona i ruszyła w stronę wyjścia. Na twarzach młodych malowały się szerokie uśmiechy.

Waldek z Kazkiem siedzieli przy stole. Ciocia Jadzia nagotowała bigosu. Postawiła miskę na stole, a sama wyszła do pokoju. Wzięła ze sobą różaniec. Usiadła na łóżku i zaczęła się modlić.

– Nie możesz już tu mieszkać. – Kazek rozlał do kieliszków wódki.

– Co się stało? – Waldek spojrzał kuzynowi w oczy.

– Ludzie zaczynają węszyć. Nawet nie wiesz, ile jest konfidentów i donosicieli. Boją się o mamę, o Basię, dziecko, ciebie. Byłeś dowódcą polskich wojsk za granicą. Jeśli zdobędą pewność, że tutaj jesteś... Nigdy stąd nie wyjedziesz. Poza tym te listy. Wziąłem to na siebie, ale... listonosz, ubecy, oni czytają wszystko, co wychodzi i przychodzi z zagranicy... Sam wiesz. Chodzą plotki, że chcą cię oskarżyć o szpiegostwo. Ktoś cię tu widział. To tylko kwestia dni, może godzin.

– O szpiegostwo. To nonsens!

– Waldek, mówiłem ci, Polska jest teraz inna. Wiadomo, że spreparują dowody, a potem UB cię arestuje. Musisz stąd pryskać. Zbyt wiele się teraz w Polsce dzieje. Zbyt wielu ludzi próbuje ucieczki. Wzmocnią jeszcze bardziej granice. Jakiś czas temu głośna była sprawa Żurawia. Okręt Żuraw wyszedł z Kołobrzegu i obrał kurs na Gdynię. Po godzinie 22 Polacy utracili łączność radiową ze statkiem, tłumaczono to sobie słabą radiostacją. Tymczasem po opuszczeniu portu na pokładzie wybuchł bunt. Sterroryzowano oficerów i kapitana. Zbuntowani marynarze przejęli okręt i skierowali go na wody terytorialne Szwecji. W Szwecji porywacze poprosili o azyl, a okręt z resztą załogi wrócił do Gdyni. Powitanie w porcie było lodowate. Wszyscy zostali natychmiast arestowani i postawieni przed sądem pod zarzutem tchórzostwa oraz oddania nieprzyjacielowi okrętu bez walki. Kapitan i pozostała część załogi zostali zdegradowani i skazani na 15 lat więzienia. Okręt uznano za zhańbiony, wykreślono go z rejestru jednostek Marynarki Wojennej. Uciekinierów skazano zaocznie na karę śmierci, a ich rodziny do dziś spotykają szykany – część wyrzucono z pracy, blokuje im się naukę na uczelniach wyższych, niektórych arestowano i zmuszono do pisania listów wzywających zbiegłych marynarzy do powrotu do kraju. – Kazek wychylił kolejną szklankę. – Dzieje się coraz gorzej, a władze naszego kraju chcą, aby ludzie zapomnieli o oficerach, dowódcach, generałach, którzy walczyli na obczyźnie. Ma zginąć pamięć o nich. Na początku mówiono o nich źle, a teraz się milczy i inwigiluje ich rodziny. Nie chcę cię wyrzucać, ale sam rozumiesz.

– Wiem... Dzięki za wszystko. – Waldek poklepał kuzyna po plecach.

– Załatwię ci, abys spokojnie dotarł do Danii.

– Do Danii? Myślałem, że kutrem do Szwecji popłynę.

– Kutry i Szwecja są już spalone. Wojsko pogranicza wzmogło kontrole. Coraz więcej ludzi tak uciekało.

– To co?

– Bądź gotowy dzisiejszej nocy.

– Ale... To za mało czasu. – Waldek pomyślał o Marysi.

– Waldek! – upomniał go kuzyn. – Tu nie ma za mało, za dużo, musisz stąd pryskać.

Waldek skinął głową.

Tej nocy Waldek z ciocią i kuzynem topili łyż w polskiej wódce. Waldek wiedział, że nigdy już do Polski nie wróci. Czuł to wszystkimi zmysłami. O trzeciej nad ranem uściskał ciotkę serdecznie,

zarzucił tobolek na plecy. Ciotka spakowała mu do lnianego worka pajdę chleba, trochę czekolady, ugotowanych jajek i pęto kiełbasy. Kiedy mężczyzna stanął w progu, obejrzał się w jej stronę po raz ostatni. Wiedział, że prawdopodobnie jej już nie zobaczy. Była już w podeszłym wieku i jej czas dobiegał końca. Ciocia była tak podobna do mamy...

– Zaczynj nowe, dobre życie – powiedziała Jadwiga do siostrzeńca. – Zostaw za sobą przeszłość, bolesne wspomnienia i żyj.

– Kocham Marysię...

– Ale będziesz ojcem. – Waldek zwierzył się ciotce poprzedniego dnia.

– Ale Marysia...

– Masz dziecko z inną kobietą. Waldek... Takie jest życie. Czasem bardzo niesprawiedliwe.

– Muszę się z nią pożegnać, wytłumaczyć jej wszystko...

– Lepiej nic nie tłumacz. Tak będzie dla niej lepiej... Co, wyznasz jej prawdę o dziecku? Załamie się. A tak...

– Pomyśli, że ją opuściłem.

– Tak będzie lepiej, dla niej i dla ciebie.

Waldek skinął głową. Ufał ciotce.

Mężczyzna czuł, jak jego gardło zaciska się coraz mocniej. Wiedział, że musi teraz odejść, inaczej pochłonie go bezmiar smutku. Atmosfera stawała się coraz bardziej ciężka. Ciocia gniotła w rękach chusteczkę. W tej chwili wydała się Waldkowi taka krucha i stara.

– Żegnaj – powiedział Waldek i odwrócił się na pięcie.

Wraz z kuzynem jechali przez ciemny ranek furmanką. Waldek miał ciężkie serce. Kiedy mijali dom Marysi, spojrział w tamtą stronę, po czym szybko odwrócił głowę. I w tym momencie jego serce pękło na pół.

Dojechali na obrzeża Gdańska, stamtąd ukryty w samochodzie amerykańskiej ambasady z pocztą dyplomatyczną wyruszył do Sopotu. Tam został schowany pod pokładem zacumowanego w Sopocie duńskiego frachtowca. Myślał, że już jest bezpieczny, kiedy zdyszany chłopak zaczął ciągnąć go za rękę i wyprowadzać z pokładu statku.

– Co jest? – zapytał zaniepokojony Waldek.

– Wojsko zaraz tu będzie. Robią obławę. Dostali cynk, że przewozimy ludzi.

– To co ja... – nie dokończył. Ktoś z całej siły pchnął go na pakę ciężarówki. Zachwiał się. Podczas upadku zahaczył o jakąś śrubę, która przedarła materiał spodni i dotkliwie zraniła jego kolano. Syknął z bólu. Ciężarówka ruszyła pędem. Po kilku chwilach byli w Gdyni.

– Wsiadaj na tę łajbę i ruszajcie! – krzyknął ktoś.

Waldek nie pytał o nic więcej. Wsiadł na starą łajbę wraz z dwoma innymi mężczyznami. Statek płynął wzdłuż brzegu. Omijanie podwodnych zasieków i krążących patroli zajęło uciekinierom sporo czasu. Na morze wypłynęli dopiero około drugiej w nocy następnego dnia. Chwilami musieli wiosłować rękoma, żeby nie zwrócić na siebie uwagi strażników. W pewnej chwili, we mgle, prawie wpłynęli w polski okręt. Nikt ich jednak nie wypatrzył. Po kilkunastu godzinach żeglugi zaczęło lać i zerwał się wiatr. Od Duńczyków dowiedzieli się potem, że na morzu było osiem stopni w skali Beauforta. Kiełbasa i czekolada przydały się, żeby nie opaść z sił w trakcie podróży.

Do brzegów Bornholmu dopłynęli w niedzielę po południu, po kilkudziesięciu godzinach żeglugi. Byli tak zmęczeni, że ledwo udało im się zejść na ląd.

Marysia przybiegła do domu Jadwigi następnego dnia.

– Waldka nie ma – powiedziała starsza kobieta.

– A gdzie jest?

– Wyjechał.

– Dokąd?

– Wrócił do Szkocji.

– Ale jak to? Dlaczego? – Krew z twarzy Marysi odpłynęła.

– Marysiu, tak było najlepiej. Przecież wiedziałaś, że wcześniej czy później to nastąpi. – Jadwiga podeszła do młodszej kobiety, ale ta odskoczyła od niej jak oparzona.

– Ja go kocham... Kocham... – Po twarzy dziewczyny zaczęły płynąć łzy. Rzuciła się do wyjścia. Złapała rower i wsiadła na niego. Zaczęła szybko pedałowac. Rower podskakiwał na wertepach. Sapała i płakała. Czuła się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi. Piekący ból w mostku palił do żywego. Jak on mógł jej to zrobić? Gdyby tylko powiedział słowo, pojechałaby z nim, choćby na koniec świata. Nauczyłaby się angielskiego. Dlaczego? Załkała.

Jadwiga usiadła przy stole. Zaczęła skubać rąbek ceraty. Jak ten świat jest skonstruowany, tak rzadko dostajemy od życia to, na czym tak naprawdę nam zależy.

Rozdział 27

Rok 1949

Cztery dni po ucieczce Waldka w domu ciotki zaczęły się wizyty służb. Większość ludzi we wsi przestała poznawać Jadzię. Potrafili przejść na drugą stronę ulicy lub wycofywać się ze sklepowej kolejki, kiedy Jadwiga wchodziła do sklepu. Dziennikarze opisywali Waldka jako zdrajcę i wroga ojczyzny. W końcu Jadwiga dostała nakaz oddania domu.

– To jakiś absurd. To nawet nie jest dom rodzinny Waldka – mówiła do funkcjonariuszy. – Zabierzcie tamten dom. Stoi pusty.

– Tamten dom już został skonfiskowany.

– Czego jeszcze ode mnie chcecie?

– Domu... On należy do państwa.

– A ja?

– Powiem tak. – Funkcjonariusz wydmuchał dym w stronę kobiety. Ona zakasłała. – Życie za dom.

– Czyje życie?

– Pani – zacharczał, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Ale dlaczego? Nic nie rozumiem.

– Pod tym dachem przebywał szpieg.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Widziano tutaj Waldemara Leśniewieckiego. Mamy dowody. Wysyłał listy za granicę. Listy z zagranicy przychodziły do niego.

– Walduś nie jest szpiegiem.

– A ja pani udowodnię, że jest. Proszę tu podpisać albo... – Funkcjonariusz się zaśmiał. – Ma pani wnuczkę i syna. I synowa też całkiem, całkiem.

Jadwiga drżącą ręką podpisała papiery.

Kazek został aresztowany dwa tygodnie później. Akurat pracował w polu, kiedy zjawili się po niego funkcjonariusze UB. Wytarł ręce w spodnie, przeżegnał się, rozejrzał dookoła. Odetchnął świeżym powietrzem. Wiedział, że prędko tu nie wróci, jeśli w ogóle dane mu będzie wrócić. Mężczyzna trafił do

malutkiej celi. Na jego oko miała nie więcej niż trzy metry na cztery. Oprócz niego w celi było ośmiu współwięźniów. W pomieszczeniu było jedno okno z grubymi kratami osłonięte kawałkiem blachy sięgającą od parapetu do szczytu, tak że pozostawała tylko niewielka szpara, zapewniająca minimalny dopływ świeżego powietrza i światła, ale uniemożliwiająca zobaczenie czegokolwiek na zewnątrz. Nie było łóżek. Zastępowały je worki z niewielką ilością startej na sieczkę słomy, na dodatek ich liczba nie pokrywała się z ilością więźniów.

Kazek westchnął.

Najpierw pomyślał: „Pieprzę ten ustrój i wszystko z nim związane”. A potem: „Waldek, i ciebie pieprzę!”. Po chwili zawstydził się swoich myśli.

Wyposażenie celi uzupełniał jeszcze stojący w rogu przy drzwiach niczym nieosłonięty sedes. W pomieszczeniu śmierdziało potem i uryną. Dzień rozpoczynał się o piątej rano. Składano w kostkę sienniki, myto się w sedesie, ustawiano się boso w bieliźnie, na baczność pod ścianą i czekano na poranny apel. Po sprawdzeniu przez oddziałowego stanu osobowego pozwalano się ubrać. O szóstej było śniadanie, na które składał się kubek czarnej zbożowej kawy i pół bochenka czarnego, półsurowego chleba. Wyżywienie w ciągu dnia uzupełniał obiad w postaci litra śmierdzącej wodnistej zupy z jarzynowego suszu, jeszcze z poniemieckich magazynów wojskowych. W zupie często pływały rozgotowane robaki, które załęgły się w sproszkowanych warzywach. Całość kraszono olejem lub rozgotowanymi dorszami (razem z głowami i wnętrznościami). Na kolację podawano tę samą zupę i chleb (jeśli ktoś nie zjadł całej porannej porcji). W takich warunkach Kazek spędził czas do przesłuchania. Dopiero wtedy rozpoczęła się prawdziwa gehenna.

Pierwsze przesłuchanie Kazka odbyło się półtora miesiąca po osadzeniu go w celi.

– Czyli masz powiązania ze szpiegiem Waldemarem Leśniewieckim? – zapytał Kazka oficer śledczy.

– Nie jestem szpiegiem.

– Nie pytam, czy towarzysz jest, czy nie jest. Tylko czy ma powiązania.

– To mój kuzyn.

– Czyli są panowie blisko?

– To mój kuzyn.

– Ty skurwielu! – Oficer wstał, podszedł do Kazka i chwycił go z całej siły za włosy, po czym przywalił jego głową w blat biurka.

Kiedy oficer się opanował, wytarł ręce w mundur.

– Listy z Wielkiej Brytanii, mówi ci to coś?

– Nie można listów otrzymać?

Kazek otrzymał kolejny cios i jeszcze jeden.

– Do kogo były te listy?

– Do mnie.

– Czy Waldemar Leśniewiecki przebywał w Polsce przez ostatnie tygodnie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Kazek splunął.

– Łiesz, skurwielu. – Na Kazka zaczęły spływać kolejne ciosy.

Przesłuchanie trwało siedem godzin, podczas których Kazek był wyzywany, bity i kopany. Po jakichś trzech godzinach mężczyzna stracił przytomność. Oprawca ani na moment nie przestał go bić. Po kilku chwilach, przynajmniej tak się Kazkowi wydawało, odzyskał przytomność. Poczł lodowate igielki, które wbijały się w skórę jego twarzy. Nie mógł złapać oddechu. „Co się dzieje?” – pomyślał. Nagle poczuł szarpnięcie. Dopiero po chwili zorientował się, że śledczy wkładają mu głowę do wiadra z wodą i lodem. Musiał znów stracić przytomność, bo obudził się w nocy w celi. Jego twarz i całe ciało było obolałe, a on sam trząsał się niczym w febrze.

Następnego dnia rozpoczęto od nowa przesłuchanie. Powieszono Kazka na drążku za nogi. Wisiał tak przez kilka minut, a potem jeden ze śledczych zaczął mu wlewać najpierw do nosa, potem do ust wodę z octem. Kazek czuł palący ból w nosie i przełyku, nie mógł złapać oddechu. Otwierał usta, ale czuł się jak ryba bez skrzelii pod wodą.

– I co, plugawo łajzo! Przyznajesz się do winy? – zapytał śledczy po całym dniu przesłuchań. Kazek spojrzał na niego zdrowym okiem, drugie było podbite i zapuchnięte.

– Do czego mam się przyznać? – wycharczał.

– Do szpiegostwa.

Spuścił głowę.

– Jeszcze ci mało, skurwysynu? Wyprowadzić! – Twarz śledczego poczerwieniała ze złości.

– Złamię cię, łajzo. Każdego da się złamać. Nawet tych, co początkowo udają twardzieli.

Po chwili Kazek leżał na lodowatej podłodze celi. Ktoś go szturchnął, a potem czyjeś ręce przeniosły go na siennik. „Spać” – pomyślał. Jak bardzo chciałby przespać to wszystko.

Kolejny dzień przyniósł nowe tortury. Zdarto z Kazka ciuchy, które były już łachmanami, i zaprowadzono do pustej celi, w której panował przenikliwy ziąb. Nie było tu blachy w oknie, a jedynie sam otwór, przez który wpadał do środka lodowaty wiatr.

– Stawaj na bacność, jeśli się ruszysz, wpadnę tu do ciebie i obiję ci mordę! – wydarł się wprost do jego ucha strażnik.

Kazek stał w jednej pozycji przez godzinę, może dłużej. Jednak było mu zimno, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Oparł się o ścianę. W tej samej chwili do celi wpadł strażnik, który wymierzył mu kopniaka.

– Powiedziałem, kurwa, na bacność, to znaczy na bacność!

Kazek nie wiedział, ile minęło czasu, ale kiedy drzwi ponownie się otworzyły, drgnął. Do celi weszło dwóch strażników z wiadrami. Zawartość wiader cuchnęła. Wylali ją pod jego nogi, śmiejąc się przy tym. Kazek podniósł głowę jeszcze wyżej.

„Wytrwam” – pomyślał. „Wytrwam”...

Jeszcze tego samego dnia miał kolejne przesłuchanie, podczas którego śledczy obili mu twarz z taką siłą, że napuchła jak balon, stracił niemal wszystkie zęby. Do celi za nogi wlekło go dwóch funkcjonariuszy. Z ust leciały mu strugi krwi. Nawet z ucha sączyła się krew. Jego głowa podskakiwała na nierównościach podłogi. Niemal całe ciało było zielonosine.

„Wytrwam” – powtórzył w duchu.

Padł kolejnego dnia, twarzą w fekalia. Utaplany w gównie, sponiewierany, postanowił podpisać obciążające go papiery. Wolał zginąć niż znosić te męczarnie.

Po tygodniu, którego Kazek nie pamiętał, odbyła się rozprawa w celi. Śledczy usadzili go na stołku. Sędzia odczytał akt oskarżenia, będący zbiorem zeznań wymuszonych podczas brutalnych przesłuchań. Kazek zaprotestował. To był ledwo słyszalny protest.

– Podpisaaalem... – chrząknął – bo mnie zmusili.

Sędzia zarządził przerwę.

Funkcjonariusze UB wiedzieli już, co mają dalej zrobić. Skopali go po brzuchu tak mocno, że Kazek popuścił mocz.

– I co, kurwa! Zmuszamy cię do czegoś? – rechotali. Było ich czterech. Czterech rośliwych mężczyzn na jednego zmaltretowanego człowieka.

Przyznał się.

Miesiąc później do celi weszło dwóch strażników. Kazek spał. Obudzili go kopniakiem, podnieśli do pionu i wywlekli z celi. Wyrok wykonano nocą, strzelając w tył jego głowy. Z ciała zdarto ubranie i pochowano, nago, bez trumny w bezimiennym grobie, na torfowisku.

Rozdział 28

Anna dostała dwa tygodnie urlopu, lady Abigail wyjechała do sanatorium.

– Może pojedę z panią? – zapytała Anna starą lady przed jej wyjazdem.

– Po co?

– Nie wiem. Będę pani towarzyszyć w przerwach między zabiegami.

Lady Abigail odchrząknęła.

– Dziewczyno, jesteś młoda, zajmij się swoim życiem.

– Ale...

– Masz zamiar do końca życia niańczyć zdewociałe baby, takie jak ja?

Anna się roześmiała.

– Nie, ale...

– Masz dwa tygodnie wolnego, zrób coś z tym czasem.

– Kiedyś chciałam napisać książkę. – Anna spuściła głowę.

– To pisz. Podałam ci na tacy fajną historię. Dokończymy, jak wrócę.

– Czy mogłabym o tym napisać?

– Tak. Byłoby mi niezmiernie miło. Tylko musisz napisać, że to fikcja literacka.

– Ale to nieprawda.

– Prawda, nieprawda, bez znaczenia... A zakończenie na pewno cię zaskoczy. A teraz jadę na te wszystkie zabiegi.

Kiedy lady Abigail wyjechała, Anna nie wiedziała, co ze sobą począć. W końcu odważyła się zadzwonić do Michała. Na szczęście odebrał.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Tak?

– Spotkasz się ze mną?

Michał westchnął.

– Coś się stało?

– Spotkasz czy nie?

– Dobrze.

Spotkali się w sobotnie popołudnie przed domem lady Abigail.

– Mogę cię porwać? – zapytał, nie odrywając od niej wzroku.

– Porywaj. – Anna uśmiechnęła się blado.

Wsiedli do samochodu. Anna zapięła pas, a Michał odpalił silnik.

Jechali w milczeniu, na północ. Po dwóch godzinach jazdy dotarli nad morze. Michał zaparkował samochód na parkingu przy zatoczce. Morze było tego dnia spokojne. Fale lekko kołysały się. Strone klify obrosnięte były seledynowym mchem, a okoliczne łąki ukwiecone. W zatoce rozpościerała się plaża o niemal białym piasku.

– Chodźmy tam – powiedział Michał, wskazując na ścieżkę.

Weszli w gąszcz traw. Drzewa zrzucały różnokolorowe liście, jeden rdzawy liść zaplątał się w szal Anny.

– Lubię to miejsce – powiedział Michał, zapatrzone w spiętrzone fale Morza Północnego.

– Mam nadzieję, że nie masz ochoty zepchnąć mnie z klifu? – zażartowała Anka.

Uśmiechnął się zawadiacko.

– Jeśli już, to skoczmy razem. Co u ciebie?

Anna odwróciła się w jego stronę. Wiatr rozwiał jej włosy.

– Jestem w ciąży.

– W ciąży?

– Chyba tak... Okres mi się spóźnia drugi tydzień.

– Nie zrobiłaś testu?

– Boję się.

– No ale wcześniej czy później...

– Wolę później... Na razie staram się o tym nie myśleć.

– Hm. To chyba dobrze, że jesteś w ciąży.

– Nie wiem. Sama nie wiem.

– Jaki on jest?

– Kto?

– Ojciec dziecka.

Anna przez chwilę milczała. Michał zapalił papierosa. – To on. Marcin.

Anna opowiedziała Michałowi o spotkaniu z Marcinem.

– Powinnaś mu powiedzieć.

– Na razie o niczym mu nie powiem. – Położyła dłoń na swoim brzuchu. – Kobiety są niekiedy głupie.

– Faceci też. Każdy czasami zgłupiał z miłości.

– Przepraszam, nie powinnam cię w to wszystko wciągać.

– Dobrze, że zadzwoniłaś.

– Zraniłam cię.

Wzruszył ramionami.

– Bywa.

– Nigdy nie sądziłam, że będę samotną matką.

Anna spuściła głowę, Michał dostrzegł, jak spod jej rzęs wypływają łzy.

– Anka, poradzisz sobie.

– Nie wiem.

– A ja myślę, że to dziecko nada sens twojemu życiu.

– Mówisz tak, jakbyś sam chciał zostać ojcem.

– Bo chciałbym. Mam trzydzieści cztery lata i sądzę, że mógłbym już...

– Masz kogoś?

– Kogoś mam.

– To dobrze.

– Chyba tak.

– Dziwna ta nasza rozmowa. Nie wybaczyłeś mi?

– Wybaczyłem, ale nie potrafię o tobie zapomnieć. Kochałem cię... Czasami się zastanawiam,

czy aby na pewno przestałem.

– Przepraszam.

– To nie twoja wina, że nie odwzajemniłaś moich uczuć.

– Następnym razem, kiedy będę truć o swoich problemach, po prostu zwiąż mnie i wyrzuć gdzieś.

Roześmiał się.

– Obiecuję.

Wrócili pod posiadłość lady Abigail po dziewiętnastej.

– Może wejdiesz do mnie? Zjemy coś? – zaproponowała dziewczyna.

– A ta babeczka, u której pracujesz, nie będzie miała nic przeciwko?

– Skądże. Mieszkam w domku gościnnym i mogę zapraszać, kogo mi się żywnie podoba. Poza tym, ona jest w sanatorium.

Michał zaparkował pod bramą. Weszli na posesję.

– Nie powiem, robi wrażenie.

Ogród był duży, a stary dwór mroczny, ale niesamowity.

– Kiedy pierwszy raz tutaj weszłam, myślałam, że przeniosłam się do innego świata.

– I ona sama tutaj mieszka?

– Sama. Ma do pomocy mnie, gosposię i ogrodnika.

– Pożyłbym tak.

– Czy ja wiem? Nie jest szczęśliwa.

– I sprawdza się stare jak świat porzekadło, że pieniądze szczęścia nie dają.

Szli wąską ścieżką wśród krzewów i drzew. Obeszli dwór. Po prawej stronie stał dom.

– Czy to jest ten domek gościnny? – Michał przystanął i spojrzał na Anię.

– Tak.

– Wygląda jak dom jednorodzinny.

Anna się zaśmiała.

Weszli do środka. Za drzwiami znajdował się duży salon. Podłoga wykonana była z wielkich drewnianych bel. Na środku stał okrągły stół, również drewniany. Pod oknem wielkie, mosiężne donice, a w nich kwiaty. Po prawej stronie stał regał z książkami, a po lewej szara kanapa przykryta wełnianym kocem.

– Przejdziemy do kuchni? – zaproponowała Ania.

– W kuchni zawsze są najlepsze imprezy.

– W kuchni lubię spędzać z tobą czas.

Ania uśmiechnęła się do Michała. Otworzyła lodówkę.

– Co my tu mamy? Możemy zjeść wczorajszą warzywną lazanię albo mogę ugotować pierogi.

– A jakie masz?

– Te z polskiego sklepu.

– No ale z mięsem, ruskie, z kapuchą?

– Jedna tacka z mięsem, druga z kapuchą.

– Biorę mieszane.

– Dobry wybór. Pochłoniemy dwie tacki.

– Co to dla nas?

– No w sumie.

Roześmieli się. Anna nastawiła w garnku wodę. Lekko ją osoliła. Z szafki wyjęła dwa talerze. Położyła je na stole w kuchni, obok sztućce i serwetki.

– A do picia?

– Herbatę z mlekiem, poproszę.

– Jak ty to możesz pić?

– A jak ty możesz poić się od świtu do nocy kawą?

– Po prostu mi smakuje.

- Mi moja bawarka też. Bawarka jest dobra na laktację.
- O, Jezuuu, nie truj.
- Serio, wyczytałem w jakiejś mądrej gazecie.
- Może już nie czytaj mądrych gazet.

Michał podniósł do góry ręce, w geście obronnym. Usiadł na stołku i rozglądał się po kuchni, a Anna obserwowała go kątem oka. Zmienił się, odkąd go ostatnim razem widziała. Rysy twarzy mu się wyostrzyły, włosy miał modnie przystrzyżone. Wyglądał bardzo przystojnie.

- Przytulnie tu. I mieszkasz sama?
- Tak. A ty, nadal na kupie?
- Na kupie to może nie – zaśmiał się – ale z kilkoma osobami.
- Czemu tego nie zmienisz? – Anna nałożyła na talerze pierogi, połała roztopionym masłem.
- Sam nie wiem. – Michał sięgnął po widelec. – Chyba mi tak wygodnie.
- Hmm... – westchnęła Anna. – Skoro tak twierdzisz.
- Tak twierdzę.

Uśmiechnęli się do siebie i zaczęli jeść.

- Dopiero w Szkocji doceniłam, jakie dobre jest polskie jedzenie.
- Ja też. Te pierożki, albo śledzik, palce lizać.
- Albo ogóreczek małosolny.
- E tam, małosolny. Kiszzone najlepsze.

Rozmawiali do północy. Ania się wyluzowała. Kiedy Michał wyszedł, zrobiło się jakoś pusto w tym domu, w jej sercu. Miała nadzieję, że jeszcze do niej wróci. Jak nigdy potrzebowała przyjaciela, przyjaznej duszy.

Godzinę później zadzwoniła do niego.

- Spotkamy się jeszcze? – zapytała z nadzieją w głosie.
- Jeśli będziesz tego chciała.
- Tak. Bardzo chcę.

Tej nocy Anna nie mogła zasnąć. Myślała o Marcinie. O tym, co z nim przeżyła. Pierwszy raz od jakiegoś czasu wspomnienia nie powodowały bólu.

Przypomniała sobie ich pierwszy pocałunek. Ona miała piętnaście lat. Była niedziela, dzień jej urodzin. Świętowała je razem z koleżankami w kawiarni. Plotkowały o chłopakach. W pewnej chwili drzwi kawiarni się otworzyły i do środka wszedł Marcin. Wydawało jej się, że koleżanki wstrzymały oddech. On należał do tych osób, które błyszczą. Gdziekolwiek się pojawiał, roztaczał wokół siebie blask. Przyciągał ludzi, a szczególnie dziewczyny, jak magnes. Poprawił nonszalancko włosy, podszedł do stolika.

- Cześć – rzucił.
- Cześć – odpowiedziały chórem.
- Przyszedłem z prezentem.
- Taaaak. – Ania zaczęła się jąkać.
- Chciałem ci złożyć życzenia.
- Ach... Dobrze.

Dziewczyna wstała od stolika. Marcin wyjął zza pleców pakunek.

- To dla ciebie. Wszystkiego najlepszego, piękności ty moje.

Zaparło jej dech w piersiach. „Piękności ty moje” – obracała te słowa w myślach. I kiedy ona rozmyślała, on ją pocałował. Zamknęła oczy i oddała pocałunek. Wciąż nie odrywał ust od jej ust. Uchyliła wargi. Jego język wtargnął do jej buzi. Całowali się w najlepsze na oczach wszystkich. Marcin lubił takie akcje. Teraz już o tym wiedziała. Wcześniej była oczarowana takim zachowaniem.

Od tamtej chwili się spotykali. Najczęściej u niej w domu, bo oboje rodzice pracowali do późna. Mama Ani zawsze szykowała dla nich obiad, Anna go odgrzewała. Jedli ze smakiem, a potem całowali się, aż rozboleły ich usta. W końcu przespali się ze sobą. Oboje tego chcieli. Marcin był czuły, troskliwy, ale też potrafił się zatracić, kiedy dążył do spełnienia. Anna przy nim zawsze miała ochotę na seks. Po

tym ich pierwszym wspólnym razie Marcin wręczył jej bukiet czerwonych róż. Wzruszyła się. Znali się jak łyse konie od małego, ale jakoś rok wcześniej oddalili się od siebie, kiedy Marcin zaczął spotykać się z Pamelą. Jak ona jej nie cierpiała. Oczywiście Pam nic jej nie zrobiła, ale była jej rywalką. Spotykała się z chłopakiem, którego ona kochała. Na szczęście ich związek nie przetrwał. Po maturze Marcin postanowił studiować w Krakowie, ona wciąż była jeszcze w liceum.

– Będziemy do siebie przyjeżdżać w weekendy – zapewniał ją Marcin.

– Ale jak ja wytrzymam bez ciebie całe pięć dni?

– Oboje będziemy mieli dużo nauki.

Wtedy spędzili najpiękniejsze wakacje we dwoje. Wyjechali do Marcina babci na wieś. Tam pomagali w obojętności, zbierali truskawki, potem agrest i wiśnie u jednego rolnika. Trochę zarobili, ale wszystko wydawali na bieżące potrzeby. Kochali się codziennie, co noc. Całowali, łowili ryby, czytali książki. A potem przyszło rozstanie. W październiku. Pierwszy rok studiów minął szybko, a oni co weekend do siebie przyjeżdżali. Ania dorabiała sobie jako opiekunka do dzieci. Zazwyczaj wieczorami. Musiała mieć kasę na pociąg. Marcin dostawał pieniądze od rodziców. Na drugim roku stwierdził jednak, że nie mogą widywać się co tydzień, bo tracą fortunę na przejazdy.

– Jak to? – Anna poczuła ukłucie w okolicy mostka.

– Poza tym... Omija mnie wszystko.

– Słucham?

– Też chciałbym pójść na jakiś studencki melanż. A tak?

– Mogę przyjechać i pójdziemy razem.

– Tak... W sumie masz rację...

Od tamtej pory coś między nimi zaczęło się psuć. Marcin nie przyjeżdżał już tak często. Czasami mówił, że przyjedzie, ona czekała. Potem okazało się, że zasnął na pociąg, bo długo się uczył, albo nagle zmorzyła go grypa.

I potem on się zakochał. W innej. Po dwóch miesiącach uników przesłał jej mejla:

Najdroższa,

przepraszam, że nie miałem odwagi powiedzieć Ci tego osobiście, ale... Jest mi niewyobrażalnie przykro. Jesteś cudowną kobietą i nigdy nie zamierzałem Cię skrzywdzić.

Poznałem kogoś. Ona jest taka... Inna niż Ty. Ty jesteś moją młodzieńczą miłością. Moje życie trochę się skomplikowało. Kiedyś Ci o tym opowiem...

Anna odłożyła na bok list. Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Nie wierzyła w to, co czyta.

Ułóż sobie życie.

Żyj, Aniu. Tyle życia jest w tobie. A o mnie zapomnij. Dupek ze mnie.

Anna miała list i cisnęła nim o ścianę. Co on jej tu pieprzy? Jakie „żyj”? Co on sobie, kurwa, wyobraża? Jakie „żyj”? Właśnie w tej chwili umarła. W tej chwili on wbił jej nóż w plecy.

– Kutas! – krzyknęła na głos. – Złamas jeden!

Człowiek, którego tak mocno kochała wbił w jej plecy nóż.

Przez następne dni płakała. Wyglądała jak zombie. Zamierzała go zabić, po chwili jechać do niego i błagać o wybaczenie. Raz go szczerze nienawidziła, innym razem kochała do utraty tchu. Po co znów go wspomina? Bo może ten człowiek będzie ojcem jej dziecka?

Zrobi test. Jutro. A może pojutrze.

Anna otworzyła oczy. Słońce też wstawało. Niebo zabarwiło się na różowo. Wstała i odsłoniła rolety. Oparła ręce o parapet i podziwiała wschód słońca. Przeszła do kuchni, zjadła owsiankę i wypła herbatę. Kiedy wróciła do pokoju, pomieszczenie skąpane było w żółtym świetle. Uśmiechnęła się i wtedy poczuła kopnięcie. Położyła dłoń na brzuchu. Pierwszy raz od dawna czuła w sercu taką radość. Uśmiechnęła się do siebie, świata, brzęczącej muchy.

Wiedziała, że teraz jest dobry czas, żeby zacząć pisać. Była nasączona emocjami. A najlepiej jest pisać, kiedy człowiek tak głęboko odczuwa. Tak jej kiedyś powiedziała pani profesor na uczelni. Anna otworzyła okna. Usiadła na fotelu. Okryła się kocem. Do środka wtargnęło rześkie powietrze. Otworzyła laptop. Pociągnęła łyk herbaty i zaczęła pisać. Czuła, że musi opisać każdy z rodzajów miłości: i tę niewłaściwą, i tę obłąkaną, i tę, która przetrwa wszystko. To będzie książka o miłości, obsesji i zdradzie. O niewłaściwych wyborach i smutku. Ale też radości, radości z obecności drugiego człowieka. To będzie książka o lady Abigail i Waldku, ale także o niej, Annie.

Rozdział 29

Anna pisała swoją książkę od świtu do nocy przez dwa tygodnie. Przelewała na papier historię lady Abigail. Chciała też zawrzeć w tej opowieści mnóstwo emocji...

– Mam już więcej niż połowę – powiedziała do swojej pracodawczyni, kiedy ta wróciła z sanatorium.

– Gratulacje. – Lady Abigail wyglądała na zrelaksowaną.

– Dziękuję. Teraz czekam na ciąg dalszy opowieści.

Stara lady zmrużyła oczy.

– Tak, tak. Siadaj. Musisz przecież skończyć swoją książkę.

Rok 1949

Waldek wrócił do Szkocji, dzień przed rozwiązaniem. Kiedy wysiadł ze statku, poczuł ogromne rozczarowanie i smutek. Jego nowy świat spowity był gęstą mgłą. Siąpił deszcz. Szkocja przybrała szarawy kolor. Jego ubranie niemal momentalnie nasiąknęło wilgocią. Było dość ciemno, ćmy trzepotały swoimi cienkimi skrzydełkami. „W Polsce mamy stada komarów” – pomyślał Waldek. „Tutaj komarów prawie nie ma, są tylko przekłete muszki i ćmy”. Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Uśmiechnął się do siebie. Zostanie ojcem. Wciąż nie mógł w to uwierzyć, a jednak.

Abigail nie kryła radości, kiedy zobaczyła Waldka. Mężczyzna przytulił ją, ale nie poczuł nic. Wszystko, co kiedyś łączyło go z tą kobietą, bezpowrotnie minęło.

– Ona o niczym nie wie. – Lord Andrew wziął na bok Waldka.

– To znaczy?

– O tobie i o tym, że miałeś jakąś babę w Polsce. To ja przeczytałem list.

– To bezczelne z pana strony.

– To ty zmajstrowałeś jej dzieciaka! – Lord McGregor wbił palec w klatkę piersiową Waldka. –

Gdyby nie to, nie ściągałbym cię tutaj.

Gdyby nie sytuacja w Polsce, Waldek nie wróciłby do Szkocji, nawet dla dziecka. I taka była smutna prawda.

Dzień później Abigail urodziła w domu pięknego, dużego i silnego synka. Kiedy Waldek go zobaczył, poczuł szczęście. Pierwszy raz, odkąd zostawił Marysię, stwierdził, że dobrze zrobił, wracając

do Szkocji. Wpatrywał się z nieskrywanym wzruszeniem w małego człowieczka, który był jego częścią. Ostrożnie całował pomarszczoną twarzyczkę swojego synka, któremu nadali imię Adam.

Przez pierwsze tygodnie po powrocie z Polski Waldek był radosny. Na pewno zakochał się w synu. Spędzał z nim sporo czasu, co dodawało mu skrzydeł. Janek załatwił mu pracę. Znow pracował w magazynie. Był człowiekiem, który nie boi się żadnej pracy, ale bolało go to, że po latach kształcenia w Polsce pracuje w magazynie jako pakowacz. Poza tym tęsknił za tamtą dziewczyną...

Waldek oparł ręce o parapet. Gdzie ona teraz jest? Co robi? Czy myśli o nim? Czy tęskni tak bardzo, jak on za nią? Czas przyćmił jej obraz, zamazał kontury jej twarzy, ale Waldek wciąż czuł wyraźnie smak jej pocałunków. Po trzech miesiącach nie wytrzymał i napisał do Marysi list. Wyznał jej swoją miłość, wyjaśnił powód opuszczenia Polski. Przepraszając za wszystko, zapewniając o swojej miłości i wyznając, że ma syna w Szkocji. Napisał jej także, że kocha tylko ją, że Abigail był zauroczony, ale to wcale nie była miłość. Kiedyś się pomylił, a teraz za to słono płacił. Podał jej adres Janka, gdyby chciała do niego napisać. Marysia nie odpisała.

Waldek napisał też kilka listów do ciotki i Kazka, odpowiedzi nie było.

– Taki wstyd. Magazynier i moja córka – lamentował lord McGregor, trzymając w rękach wnuka.

– To żołnierz. Oficer. To Wielka Brytania go nie doceniła i odebrała wszystko, co mu się należy.

Walczył o naszą ojczyznę – powiedziała dobitnie Abigail.

– Zostawił cię.

– Musiał wrócić do Polski... Na te kilka miesięcy.

– Nieważne. – Stary lord machnął ręką.

– Jak nieważne? Ważne. To jest ważne.

– Musicie wziąć ślub, nie chcę, by mój wnuk był bękartem. – Twarz lorda McGregora poczerwieniała.

– Nie musimy się spieszyć. Odczekamy, jak dziecko trochę podrośnie.

– Co ty mówisz? Sama chciałaś wyjść za niego za mąż.

– Waldek chce, abyśmy poczekali.

Lord był już tak wściekły, że zaczął dygotać. Oddał dziecko córce i wyszedł z pokoju. Wziął w ręce płaszcz i opuścił dom. Wsiadł w samochód i podjechał pod magazyn, gdzie pracował Waldek.

Kiedy Waldek z Jankiem wyszli z pracy, lord wypadł niczym strzała z samochodu i dopadł Waldka.

– Coś się stało? – zapytał oszołomiony młody mężczyzna, kiedy poczuł silne szarpnięcie.

Sir Andrew, nie namyślając się długo, zacisnął pięść i wycelował w twarz Waldka.

Waldek dotknął palcami rozciętej wargi. Zobaczył krew.

– Za co?

– Masz się z nią ożenić – wysapał zdyszany lord.

– Niech się pan uspokoi. – Janek próbował interweniować.

– Zamknij się, bo i ty oberwiesz. – Starszy mężczyzna nie miał zamiaru się cackać.

Westchnął.

– Mówiłem od początku, daj jej spokój. Skoro teraz zrobiłeś jej dzieciaka, musisz się z nią ożenić!

– Lord McGregor odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę samochodu.

Waldek przypomniał sobie słowa mamy, która zawsze mu powtarzała, że z gwałtownych uczuć nic dobrego nie wychodzi. Sam nie wiedział, dlaczego pomyślał o tym teraz, ale te słowa dźwięczały mu w głowie. Dotknął rozciętej wargi i splunął na chodnik.

– Wszystko dobrze? – zapytał kolegę Waldek.

– Tak. Należało mi się.

– Mówiłem ci, że z tego nic dobrego nie będzie.

– Mówiłeś.

– I co teraz?

– Ożenię się z nią.

- Ale tego nie chcesz.
- Mam syna, Janek. Mam syna i muszę mu stworzyć dom.
- Ty kochasz tamtą Polkę. – Waldek już zdążył się zwierzyć Jankowi ze swojego uczucia do

Marysi.

Waldek wzruszył ramionami.

- Będę musiał o niej zapomnieć.

Dzień ślubu był deszczowy. Młoda para i goście stali przed Urzędem Stanu Cywilnego. „Co to będzie za ślub?” – pomyślał z goryczą Waldek. On pragnąłby ślubu w kościele, ale rodzina Abigail była niewierząca i jednogłośnie orzekli: żadnych ślubów w obrządku katolickim. To, co działo się na zewnątrz, działo się też w sercu Waldka. Mrocznie, deszczowo. Nikt go nie zmuszał do tego ślubu. Był przecież zakochany w Abigail... Kiedyś, zanim poznał Marysię. A teraz to Abigail urodziła mu dziecko. Waldek żałował, że na ślubie nie będzie jego rodziny. Zawsze wyobrażał sobie swój ślub w rodzinnej wiosce, w małym bielonym kościółku. No cóż, życie miało inne plany. Otrząsnął się ze wspomnień i spojrzął w prawo, wprost w oczy teścia. Jego spojrzenie było lodowate. Starszy mężczyzna nachylił się w jego stronę.

- Masz szczęście, że wróciłeś – wyszeptał do jego ucha.

Waldek wyprostował się jak struna. Co on tutaj robi? Nagle wśród rodziny panny młodej dostrzegł Janka, który szczerzył się do niego. Po chwili jego kompan podszedł i zaczął klepać go po plecach i gratulować.

- Kto go tu zaprosił? – rzucił lord Andrew.

– Ja – odpowiedział Waldek.

– Dobrze, dobrze. – Lord McGregor rzucił Jankowi takie spojrzenie, że młody mężczyzna skulił się w sobie i na powrót wmieszał się w tłum.

Waldek dopiero na ślubie poznał rodzinę Abigail. Wcześniej miał przyjemność poznać tylko lorda McGregora.

– Jestem babką Abigail – powiedziała lady Margaret, nie siląc się ani na uśmiech, ani na podanie ręki Waldkowi.

Waldek jednak postanowił, że nic i nikt nie wyprowadzi go z równowagi.

– Waldek jestem. – Skłonił się wpół, po czym chwycił w ręce dłonie lady Margaret i złożył na nim pocałunek. Starsza kobieta była tak zaskoczona, że nie mogła z siebie wydobyć głosu.

Abigail uśmiechnęła się pod nosem.

- Gdzie pan pracuje? – odezwała się po chwili.

– Jestem magazynierem w fabryce obuwia.

– Ach tak. – Nie kryła niesmaku.

– W Polsce nabyłem stosowne wykształcenie, byłem też oficerem na wojnie, ale Wielka Brytania tak mi się pięknie odwdzięczyła.

Lady Margaret zacisnęła usta w kreskę.

- Dużo Brytyjczyków marzy o takiej pracy.

– Nie sądzę. Dali mi pracę poniżej moich kwalifikacji.

„Może was tu nie chcemy” – pomyślała cierpko stara kobieta, ale nie wypowiedziała tego na głos.

– Czy ma pan jakiś majątek ziemski w tej swojej Polsce?

Rodzice Waldka byli wykształceni i ocytani, ale w ich domu się nie przelewało. Żyli skromnie, mieli dom na wsi. Jego wychowanie oparte było na prawach Bożych i patriotyzmie.

– Tak, mam. Dwie krowy i konia. To znaczy miałem przed wojną. – Kąciki jego ust drżały ze śmiechu.

Lady Margaret nie zamierzała kontynuować rozmowy. Dopiero teraz zauważyła, że ten młody człowiek sobie z niej kpi. Nie pasował tutaj, do tego miejsca, do jej wnuczki. Choć musiała przyznać, że był bardzo inteligentny.

To była ich noc poślubna. Waldek nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Abigail czekała na niego

w łóżku, a on miotał się w łazience. Wiedział, że w końcu i tak będzie musiał stamtąd wyjść. Po kilku minutach opuścił łazienkę. Abigail się do niego zalotnie uśmiechnęła. Jej koszula opinała okazały jeszcze brzuch. Choć od porodu minęło już pięć miesięcy, Abigail wciąż nie zgubiła zbędnych kilogramów.

– Chodź tutaj do mnie. – Młoda żona poklepała miejsce na łóżku obok siebie.

Waldek poczuł niesmak. Wstyd mu było za siebie, ale nie miał ochoty kochać się z Abigail.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak, dlaczego miałabym się źle czuć.

– No wiesz, poród...

– Od porodu minęło dwadzieścia tygodni, a my, no wiesz. – Abigail poczuła zakłopotanie. –

Dzisiaj jest nasza noc poślubna.

– Tak, tak. – Waldek dotknął jej ramienia. – Przepraszam cię, ale dzisiaj... Tyle emocji, ślub, wypilem też trochę. – Mężczyzna spuścił głowę.

– Tak... Rozumiem.

Abigail odwróciła się plecami do męża. On zamknął oczy, rozmyślając o Marysi. Co on najlepszego zrobił? Ale czy miał wyjście? Jest ojcem, a jego syn go potrzebuje.

Rozdział 30

Anna wstała rano z potwornym bólem brzucha. Pobiegła do łazienki. Usiadła na sedesie i poczuła, że zaczyna krwawić. W jednej chwili zrobiło jej się smutno. Początkowo bała się ciąży, a teraz, kiedy przywykła do tej myśli, cieszyła się, że będzie mamą. Nie była pewna, czy poroniła, czy też po prostu okres jej się spóźnił. Nie chciała wiedzieć. Testu nie zrobiła do tej pory. Wizytę u ginekologa miała wyznaczoną w przyszłym tygodniu. Miał sprawdzić poziom HCG w jej krwi.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Michała.

– To ja – powiedziała.

– Wiem.

– Dostałam okresu... – zaczęła mu opowiadać o swoich odczuciach. – Jest mi smutno, bo w sumie to ja chyba chciałam być w ciąży.

– Jeszcze wszystko przed tobą.

– Tak, chyba tak. Może to i lepiej. Nie wiem sama.

– Też nie wiem.

– Miałeś się odezwać.

– Miałem, ale jakoś mi ciężko było na duszy. Twoja ciąża... No sam nie wiem. Jakoś nie mogę tego ogarnąć. Chciałem i nie chciałem.

– Rozumiem. Nie naciskam.

– Ale skoro już zadzwoniłaś ... – Anna była przekonana, że w tej właśnie chwili Michał się uśmiecha. – Może jakaś kawa?

– Brazylijska?

Wybuchnęli śmiechem.

– Ten rozdział jest już zamknięty. Mogę cię zaprosić do costy.

Tydzień później spotkali się na Royal Mile w coście. Popijali kawę, zjadali sconesy i śmiali się do łez. Było tak jak dawniej. Prawie tak samo. Bo nagle Anka uświadomiła sobie, jak wiele Michał dla niej znaczy.

– Nie uwierzysz, piszę książkę.

– Wow, super! – Michał uśmiechnął się do niej, a ona wiedziała, że mężczyzna naprawdę cieszy się jej szczęściem.

– Jeszcze nie wiem, czy ktoś ją wyda.

– Wyda, a jak nie, to *self publishing*.

– No nie wiem.
– Czemu nie? Sama wydasz, sprzedasz i zarobisz.
– Najpierw muszę ją skończyć pisać.
– O czym piszesz?
– O losach tej starej lady, którą się opiekuję. Nawet nie wiesz, jakie miała bujne życie. Poplątane, dość bolesne, ale to ciekawa opowieść.
Przez kolejną godzinę Anna opowiadała Michałowi historię lady Abigail.
– To będzie bestseller.
– Ja myślę.
Roześmieli się.
– Lubię, kiedy się uśmiechasz. – Michał dotknął policzka Ani.
– Lubię, kiedy przy mnie jesteś.
– Brzmi jak kwestia z komedii romantycznej.
– Tak czuję.
– To dobrze.
Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

Stara lady zapaliła cygaro. Roześmiała się. Jej śmiech przypominał rzeźnienie. Była już stara, dlatego zamiast śniadania mogła sobie pozwolić na lampkę koniaku i cygaro. Nie musi jeść, może korzystać z ziemskich uciech. Niewiele miała czasu, czuła, że niedługo umrze. Ponoć nie można przewidzieć swojej śmierci, ale ona czuła, że koniec jest bliski.

– Słuchasz jakiegoś skrzyпка? – zapytała Annę lady Abigail, kiedy młoda kobieta weszła do pokoju.

– Przeszkadzam? Przepraszam.
– Nie, skądże. Czy on gra Szopena?
– Tak. Nagrał nokturny Szopena.
– Chcę to usłyszeć.

Anna skinęła głową.
– Dobrze.

Kiedy Anna puściła lady Abigail płytę Davida Garretta, starsza kobieta zamknęła oczy. Już po pierwszych dźwiękach po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

Anna nie wiedziała, jak ma się zachować. Jednak postanowiła nie zakłócać tej chwili. Każdy ma swoje bolesne wspomnienia.

– Ach, ten wasz Szopen – powiedziała staruszka, kiedy umilkły dźwięki. – Wy, Polacy, naród wrażliwców.

– Mamy dość bolesną historię.
– Wiem. – Abigail ucięła temat. – Idź już do siebie. Dzisiaj ciebie nie potrzebuję. Zostaw mi tylko Szopena.

Rok 1951

Janek zastał w pubie pijanego Waldka, który próbował zepchnąć muzyka z krzesła i dostać się do fortepianu.

– Nie wyjdę, dopóki nie zagram – awanturował się Waldek.
– Niech mu pan pozwoli zagrać, proszę – Janek zwrócił się do muzyka. Ten machnął ręką, zszedł ze stołka, ustępując miejsca Waldkowi. Waldek nawet pijany grał znakomicie. Jak zwykle Szopena.
– Czy Geroge Sand kochała bardziej Szopena? Czy Fryderyk ją? – powiedział Waldek, ni to do siebie, ni do Janka.
– Słucham? – Janek nie rozumiał bełkotu przyjaciela.

- Kocham ją.
- Kogo?
- Marysię.
- Masz żonę i syna.
- I kocham inną.

Waldek nic już więcej nie powiedział. Zamknął oczy i grał dalej. Zrozpaczony, pijany smutkiem.

Kiedy skończył, osunął się ze stołka na podłogę. Janek wziął go pod ramię i podniósł do pionu. Sam nie wiedział, jak udało mu się przetransportować Waldka do jego garsoniery. Co prawda Waldek i Abigail kupili z pomocą teścia szeregówkę na Hanover Street, ale Waldek i tak nie wynajął ani nie sprzedał swojego lokum. Przychodził tutaj, kiedy był pijany albo kiedy nie miał ochoty wracać do domu. Janek rozebrał Waldka i położył na łóżku, okrywając kocem.

– Rano poczujesz się lepiej – powiedział do przyjaciela. Spod zamkniętych powiek Waldka pociekły łzy.

Przez kolejny tydzień Waldek chodził po klubach i pubach. Pił. Raz też poszedł na dziwki.

- Czym się zajmujesz? – zapytał dziewczyny, kiedy ta się rozbierała.
- No, jestem prostytutką. – Tamta przewróciła oczami.
- Na cały etat?

Roześmiała się.

- Nie zadawaj głupich pytań.
- Dlaczego to robisz?

– Przyszłam, żebyś mnie przeleciał. Mogę też zrobić ci loda, za to mi płacisz.

– Jesteś inna na co dzień, w pracy przybierasz pewną pozę, bo tak łatwiej, co?

Dziewczyna zastygła w bezruchu.

– Tak, tak łatwiej żyć. Masz rację. Mam chorą mamę, którą muszę się opiekować. Chcę też iść na studia. Mogłam robić coś innego, ale nie zarabiałabym tyle, ile bym chciała... Poza tym.. Chyba to lubię. Nie obrzydza mnie to tak, jak sądzisz. Nie chcę o tym gadać. Więc co, numerek? Czy to drugie?

- Słuchałaś kiedyś Szopena?
- Że co?
- Nie nic... Nic...

„Ile twarzy ma każdy z nas?” – pomyślał Waldek.

Zamówił brunetkę o błękitnych oczach. Nie była tak piękna jak Marysia ani tak świeża. Nie była Marysią. Kiedy ssła mu penisa, Waldek się rozplakał.

„Nie jestem takim prawym człowiekiem, za jakiego siebie uważałem. Gardziłem takimi mężczyznami, a sam jestem jednym z nich”.

Waldek wyszedł z burdelu po kilkunastu minutach, nie był w stanie tego zrobić. Nawet tego. Był miękki, wiotki. Nieużyteczny...

Tęsknił. Słuchał i grał Szopena, to dawało mu ukojenie.

- Zwariuję od tych nokturnów – narzekała Abigail, kiedy Waldek pojawiał się w domu.
- Adam je lubi.
- Ale ja mniej.
- Nie trzeba było mi kupować pianina – odburknął.

Abigail wzruszyła ramionami, a Waldek grał codziennie.

Tęsknił. Płakał. Cieszył się. Dni mijały... Sprzedali garsonierę, Waldek na dobre zamieszkał z żoną w szeregówce. Małżeństwo nie sprawiało mu radości, za to syna kochał ponad życie.

Dwa lata po powrocie Waldka Marysia zjawiała się w Szkocji. Przez ten czas uczyła się angielskiego. Od świtu do nocy pobierała lekcje od znajomej mamy, która była w Anglii przez kilka lat. Odkładała na podróż każdy grosz. Wynajęła pokój u starszej pani, w zamian za pomoc przy opiece. Już tydzień później poszła pod wskazany adres, który kiedyś przysłał jej w liście Waldek. Zastała tam Janka, który z niechęcią wyznał jej, gdzie mieszka kolega.

- On ma rodzinę – powiedział do dziewczyny Janek.
- Wiem, chciałam go tylko odwiedzić.
- Mówił mi o tobie.
- Oooo. – Marysia poczuła ukłucie w sercu.
- Nic dobrego z tego nie będzie. Jeśli on cię zobaczy...

Marysia przełknęła głośno ślinę. Nic jej to nie obchodziło. Była zdeterminowana, by porozmawiać z Waldkiem. Tylko jego kochała. On był jej pierwszą i jedyną miłością. Nie po to przyjeżdżała do Szkocji, żeby zostać odprawiona z kwitkiem. Przez te dwa lata ani na chwilę nie przestała o nim myśleć.

– Chcę z nim tylko porozmawiać. Mam wieści na temat jego cioci i kuzyna. Muszę mu o tym powiedzieć.

Janek pokręcił głową. Znał te kobiece sztuczki.

– Dobrze. – Na kartce papieru napisał adres Waldka. – Ale uważaj, nie rób głupstw.

Dziewczyna przycisnęła kartkę do piersi. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jak ona kochała Waldka. Gotowa była do wszelakich poświęceń, byle tylko być z nim przez chwilę.

Odkąd wiedziała, gdzie mieszka jej ukochany, często tam zachodziła. Kilka razy widziała go samego. Któregoś dnia zobaczyła wychodzącą z mieszkania kobietę, która trzymała za rękę ślicznego chłopca, do złudzenia przypominającego Waldka. Marysia od razu domyśliła się, że to musi być Abigail, kobieta, która urodziła Waldkowi syna. Była szczupła, wysoka, dystygowana. A dziecko... Gdyby Waldek nie wyjechał, ona nosiłaby pod sercem ich dziecko. Ogarnęła ją rozpacz. Była zła. Po co tu przyjeżdżała? Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. I wtedy na niego wpadła. Wprost w jego ramiona. Waldek nie mógł wydobyć z siebie głosu. Marysia nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny. Był jeszcze bardziej przystojny niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Zmężniał. Jego twarz nabrała męskich rysów. Z początku zastanawiała się, czy aby go z kimś nie pomyliła. Ale to był on. Jej Waldek.

Dwa lata rozłąki gdzieś zniknęły. Między tymi dwojgiem na nowo w ułamku sekundy zrodziło się to samo przyciąganie, co wtedy w Polsce. Nie mogli oderwać od siebie wzroku.

– Co ty tu robisz? – wykrztusił Waldek.

– Jestem. Dla ciebie jestem.

Marysi wydawało się, że Waldek zaraz ją pocałuje. Kiedy na siebie patrzyli, powietrze dosłownie zaczęło iskrzyć.

Po chwili nie wiadomo skąd u boku Waldka pojawiła się Abigail. Z bliska była jeszcze piękniejsza. O porcelanowej twarzy i bardzo jasnych włosach. Trzymała za rękę chłopczyka.

Waldek wyglądał na zdenerwowanego.

– To jest Marysia. – Dokonał prezentacji. – A to moja żona Abigail.

Kobiety się przywitały. Marysia poczuła ogromny ból w okolicach mostka. A więc ożenił się z nią. Przełknęła rozczarowanie.

– Skąd znasz Marysię? – Abigail zwróciła się do męża. Kobieta wyczuła coś dziwnego między tym dwojgiem.

– W czasie wojny pomagała mojej cioci.

– Och, doprawdy... – Abigail obrzuciła Marysię niechętnym spojrzeniem. Wiedziała jednak, że aby przypodobać się mężowi, powinna zaprosić kobietę na kolację.

– Może zje pani z nami kolację? – zaproponowała.

Marysia wiedziała, że to był zły pomysł. Jednak, z drugiej strony, była ciekawa życia Waldka. Coś w niej się obudziło. Jakaś siła ją pchała.

– Dobrze – zgodziła się.

Wieczorem Marysia zjawiała się w domu Waldka. Urządzony był skromnie, lecz ze smakiem, a drobne bibeloty świadczyły o tym, że Abigail pochodzi z dobrze sytuowanej rodziny. Zasiadli do stołu. Abigail była ożywiona, a Marysia speszona. Słuchała gospodyni, a ukradkiem zerknęła na Waldka. Jej miłość do niego wybuchła ze zdwojoną siłą. Nie czuła smaku potraw, nie dostrzegała spojrzeń, jakie

rzucała w jej stronę Abigail. Ona na nowo kochała. Wiedziała, że nie powinna czuć tego, co czuła do tego mężczyzny. Waldek był żonaty i miał syna. Porzucił ją i nawet się z nią nie pożegnał, a ona głupia robiła wszystko, by znów go zobaczyć.

– Co pani tutaj robi? – Z zamyślenia wyrwał ją głos Abigail.

– Wyjechałam z Polski kilka tygodni temu.

– Oooo, to już kilka tygodni? – Waldek wbił w nią spojrzenie.

– Tak. Znalazłam pracę jako opiekunka u jednej starszej pani na Nicolson Street.

– Dlaczego opuściła pani ojczyznę? Była tam chyba pani prześladowana?

– Nie.

– To dlaczego? – dopytywała Abigail.

– Chciałam wyrwać się do lepszego życia. W Polsce nie dzieje się dobrze.

– Tutaj też nie jest kraina miodem i winem płynąca.

– Może i nie. – Kobiety mierzyły się wzrokiem.

– Dlaczego Szkocja, a nie Anglia czy Walia?

– Od cioci Waldka dowiedziałam się, że tutaj mieszka kilku znajomych Polaków. Janek... – zaczęła niepewnie dziewczyna. Wiedziała, że stąpa po grząskim gruncie. Nie była pewna, czy Abigail zna Janka. Być może ich rodziny się przyjaźniły. Nie wiedziała nawet, czy Janek ma żonę.

– Dolać wina? – zapytał Waldek, przerywając przepytывania Abigail. Poczł wstręt do żony.

– Ja dziękuję. – Marysia zakryła dłonią kieliszek.

– A ja poproszę. – Abigail uśmiechnęła się do męża. – Czy Janek ma żonę? – Abigail zwróciła się do męża.

– Nie – ten odparł chłodno.

– Będzie pani zatem pod dobrą opieką.

Zjedli deser, Abigail wypła kolejne kieliszki wina i wyszła do łazienki.

– Już pójdę – powiedziała Marysia do Waldka.

– Nie. – Waldek dotknął jej ramienia. – Nie idź...

– Coś się w tobie zmieniło – powiedział po chwili.

– Nauczyłam się angielskiego.

Uśmiechnął się do niej.

– Mówisz piękną angielszczyznę.

– Wiesz, że zrobiłam to dla ciebie?

– Ach, tak...

– Nieważne. Masz rodzinę. Byłam głupia, że tu przyjechałam.

– Nie mów tak, Marysiu.

– Nie dam się drugi raz tak łatwo zranić.

– To po co przyjechałaś? – Nachylił się w jej stronę. Ciepłe powietrze owiało szyję dziewczyny.

– Bo nie tak łatwo o tobie zapomnieć. Ale... Nie jesteś wolny.

– Tak. I od kilku lat tak naprawdę nie byłem. Nie byłem, rozumiesz? Chwytałem się złudzeń i iluzji, by poczuć szczęście. Tak było, dopóki nie poznałem ciebie. Ty jesteś prawdziwa.

Marysia otworzyła usta, aby coś powiedzieć, jednak w tej samej chwili usłyszała odgłos kroków. Odwróciła się. Zauważyła, że Abigail idzie w ich stronę.

– 84 Nicolson Street – rzuciła przez ramię i wstała od stołu. Pożegnała się z gospodynią i wyszła na korytarz.

– Odprowadzę cię – powiedział Waldek.

– Dziękuję, przejdę się. – Marysia spojrzała mu w oczy.

Waldek zdjął z wieszaka płaszcz i podał go Marysi. Kiedy dziewczyna chwyciła okrycie, musnęła jej dłoń. Abigail widziała ten dotyk. „Co ich łączy?” – zastanawiała się.

Wieczorem, kiedy Abigail leżała obok Waldka w łóżku, zapytała:

– Kim ona dla ciebie jest?

– Słucham?

- Kim jest?
- „Wszystkim!” – chciał krzyknąć.
- Mówiłem ci, to moja daleka krewna. W Polsce opiekowała się moją ciocią.
- Hmm.
- Jesteś zazdrosna?
- Nie, skądże – skłamała.
- Wróciłem do ciebie. Do was... Gdybym kogoś miał w Polsce... – Waldek brzydził się swoim kłamstwem, a jednak w nie brnął.
- Tak, masz rację. – Abigail pocałowała męża w policzek.

Rozdział 31

Rok 1951

Waldkowi jakiś głos w duszy podpowiadał, że powinien zostawić Marysię w spokoju, jednak pragnienie, by ją ponownie zobaczyć, było mocniejsze. Tęsknił za nią przez całe dwa lata. Chciał z nią porozmawiać i wyjaśnić jej wszystko jeszcze raz. Zamknął oczy, obrazy przeszłości wymieszane z czułością i namiętnością, jakie przeżywał z Marysią osaczały go ze wszystkich stron.

Stał przed domem na Nicolson Street trzy tygodnie później. Była to dwupiętrowa szeregówka, w stylu wiktoriańskim, odmalowana na biało. Zapukał. Otworzyła Marysia.

– Teraz nie mogę. Wróc wieczorem. – Zatrzasnęła drzwi.

Mógł nie wracać i zapomnieć, jednak po dwudziestej jego nogi same zaprowadziły go na Nicolson Street.

Kiedy stanęli naprzeciwko siebie w małym pokoiku na poddaszu, Waldek miał ochotę rzucić się na Marysię, całować ją i szeptać, że jej już nie opuści.

– Kocham swojego syna. Tak bardzo go kocham – powiedział Waldek, jakby próbował się wybielić.

– Wierzę.

Marysia widziała ich kiedyś w parku. Zauważyła, że Waldek jest zakochany w synu. Nosił go na barana, gilgotał, pokazywał ptaki. Czuli się tak, jakby dostała pięścią w splot słoneczny. Mogła wygrać z Abigail, ale nigdy nie wygra z miłością, jaką Waldek obdarzył syna. Zresztą on był taki wrażliwy, lojalny. Czyżby?

– Opowiadaj, co u ciebie. – Waldek chciał się dowiedzieć wszystkiego o Marysi. O tej dziewczynie, która zmieniała się w piękną kobietę. Wtedy, w Polsce, była taka niewinna.

Teraz, tutaj stała przed nim kobieta, nie dziewczyna.

– Najpierw mnie całuj, dotykaj, kochaj... Kochaj mnie. – Marysia objęła go rękami.

Waldek wziął w objęcia dziewczynę i położył na łóżku.

– Kochasz mnie, a ja jestem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

Marysia uśmiechnęła się do niego.

Waldek rozwiązał wstążkę, która spletała jej włosy, miękkie fale włosów opadły na ramiona. Serce Marysi wali jak szalone, kiedy spogląda ukochanemu prosto w oczy. „On ma żonę” – głos rozsądku

tlucze się gdzieś z tyłu jej głowy. Ale ona, Marysia, go kocha. Może takie jest życie? Może takie rzeczy przytrafiają się wielu ludziom? Waldek przybliżył twarz w stronę jej twarzy, ich usta złączyły się w pocałunku, najpierw powolnym, ale już po chwili gwałtownym niczym wiosenna burza. Nieprzerwanie się całowali, a potem Waldek zdarł z niej ubranie i wszedł w nią, szepcząc jej do ucha, że tylko to, co między nimi, jest prawdziwe.

Jeszcze o północy leżeli razem w łóżku. Waldek zastanawiał się, jaką bajkę opowie Abigail. Ale to później. Odepchnął od siebie te myśli.

– Przez ostatnie lata czekałem na tę chwilę – powiedział, gładząc Marysię po ramieniu. – By móc znów cię dotknąć.

Przesunął palcami po jej szyi.

Zadrżała.

– Nigdy nie przestałam cię kochać. Wyjechałeś, zabierając za sobą moje serce.

– Wybacz mi.

Marysia potrząsnęła głową.

– Nie mam ci, czego wybaczać. Musiałeś.

– Powiedz, co u Kazka, u cioci. Nie mam od nich żadnych wieści od dwóch lat. Wysłałem z tuzin listów.

Marysia przygryzła dolną wargę.

– Kazek nie żyje.

– Nie żyje? Jak to? – Waldek poderwał się z łóżka.

– UB go aresztowało i skazało za szpiegostwo.

– Słucham?

– Krył cię do końca.

– A jego żona, dziecko? Boże! – Waldek złapał się za głowę.

– Wyjechali. Nie wiem gdzie.

– A ciocia? Co z ciocią?

– Odebrali jej dom.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Moja rodzina jej pomogła. Mieszka u moich dalekich krewnych na Śląsku.

Widziałam ją rok temu.

– Czy mogę jej jakoś pomóc?

– Lepiej zostaw ją w spokoju.

– Może potrzebuje pieniędzy?

– Waldek! – Marysia krzyknęła. – Ona nic od ciebie nie weźmie. Obwinia cię za śmierć syna.

– Boże! Boże!!!! – Waldek się rozplakał.

Marysia wyciągnęła do niego ramiona.

– Już dobrze... Już dobrze... – Zaczęła go tulić.

Ruth była ciężką podopieczną. Leżała i nie chciała podnieść się z łóżka.

– Ale lekarz powiedział, że może pani chodzić – powiedziała Marysia. – Musi pani tylko wstać z łóżka i spróbować. Pomogę pani.

– Gównu mnie obchodzi, co on mówi. Nie chcę chodzić i już. Chcę leżeć.

– Nie można tak uzalać się nad sobą. Może pójdziemy na spacer.

– Nie pójdziemy.

Ruth odwróciła głowę do ściany. Marysia wyszła.

Ruth nie była ani sparaliżowana, ani nie miała problemu z chodzeniem. Po prostu cierpiała na dotkliwą samotność. Pewnego dnia położyła się w łóżku i tak już zostało. Opiekunki i pielęgniarki się zmieniały, a ona leżała. Ze wszystkich stron otaczała ją samotność i brak zrozumienia. Nie było przed nią przyszłości. Bo o czym może marzyć stary człowiek?

Nie miała rodziny, wnuków. Nikogo, z kim mogłaby spędzać czas.

Marysia nie rezygnowała jednak z próby wyciągnięcia Ruth z łóżka i codziennie namawiała kobietę do wyjścia na spacer.

– A dajże ty mi spokój. Masz mnie podcierać, dawać jedzenie, nic więcej. Za to ci płacę.

– Nie! – zdenerwowała się Marysia. – Idziemy. – Marysia ściągnęła z Ruth kołdrę.

– Co chcesz udowodnić?

– Chcę, żeby pani się ruszyła. Siądzie pani na wózek, a ja panią będę pchała.

– Nie mam ochoty.

– Ależ oczywiście, że pani ma, tylko jeszcze pani o tym nie wie.

– Już wszystko za mną.

– Jak pani może tak mówić? Wszystko jeszcze przed panią! Ma pani sześćdziesiąt dziewięć lat.

Zapewne pożyje jeszcze pani z dwadzieścia.

– Nie wybiegałabym tak w przyszłość.

– No dobrze, piętnaście. I przez kolejne piętnaście lat chce pani leżeć w łóżku?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo jest mi źle. Bo kiedyś popełniłam mnóstwo błędów...

– Każdy z nas popełnił. Rozumie pani? Każdy.

– Wstydzę się.

– Czego?

– Moje nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

– Pojedzie pani na wózku.

– Nigdy nie używałam tego cholerstwa. – Spojrzała niechętnie na wózek, który stał w kącie pokoju.

– Poczuj się pani jak na ruchomym tronie.

– Nie dajesz łatwo za wygraną?

– Nigdy.

Od tamtej pory kobiety dwa razy w tygodniu wychodziły na spacer. Na twarzy zgorzkniałej Ruth zaczął pojawiać się uśmiech.

Marysia czytała też kobiecie książki, sama szkoląc przy tym swój angielski.

– Nie lubię książek – powiedziała do niej Ruth.

– Czytanie rozwija nasz mózg.

Kobieta burknęła coś pod nosem, a Marysia niczym niezrażona zaczęła czytać. Czytała Ruth biografie, kryminały, a także książki historyczne. Któregoś dnia przestała w połowie.

– Nie, teraz nie możesz przestać. Akcja się rozwija. Czytaj dalej.

Marysia się roześmiała.

– A myślałam, że nie lubi pani książek?

Ruth też się uśmiechnęła. Skończyły po północy.

– Marysiu? – powiedziała starsza kobieta, kiedy Marysia układała ją do snu.

– Tak?

– Nikt nigdy nie zrobił dla mnie tyle, co ty... Nikt nie poświęcił mi tyle uwagi.

Marysia położyła swoją dłoń na dłoni starej kobiety.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała Ruth.

– Jestem po prostu człowiekiem.

Rozdział 32

– Kochałam mężczyznę, który co rusz mnie zostawiał. Raz wyjechał do Polski, a potem zostawiał mnie samą w domu. Okłamywał mnie, a ja wierzyłam w jego wszystkie kłamstwa. Można to nazwać naiwnością albo miłością. Ja wolę to nazywać miłością.

Czułam, że w końcu mnie zostawi, bo ja nie odeszłabym od niego nigdy, nawet gdybym wiedziała to, o czym dowiedziałam się z czasem.

Pogubiliśmy się. Dobrze o tym wiedziałam, ale nie dopuszczałam do siebie tej myśli. Mogłam mu przecież wszystko wykrzyczeć. Zamiast tego odgrywałam dobrą żonę.

Stara lady Abigail zwróciła się do Anny.

– Z tą miłością to jest różnie, boleśnie, niekiedy dziwnie. Mówią, że miłość przestaje być przyjemnością, kiedy nie jest już tajemnicą. Wiesz, coś w tym musi być. Kiedy wszystkie karty zostają odkryte, to ciągnie nas w nieznanne. Chcemy odkrywać nowe lądy. Oczywiście niektórzy nie mają na to ochoty, ale większość tak, choć boimy się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Ba, najbardziej przed sobą. Bo rodzina, dzieci, wspólny dom, bezpieczna przystań, a tam... Tam takie piękne góry do zdobycia.

Lady Abigail zaczęła się śmiać.

Rok 1954

Waldek potajemnie spotykał się z Marysią. To były ukradkowe spotkania, wyrwane chwile. Bardzo intensywne, pełne czułości, namiętności, obietnic bez pokrycia. Spotykali się najczęściej w środy i piątki, wtedy oboje kończyli pracę o tej samej porze. Waldek mógł zostać u Marysi nie dłużej niż półtorej godziny. Później biegł do przedszkola, po syna. Czasami jednak okłamywał żonę, że zostaje dłużej w pracy, wtedy to zaszywali się u Marysi w pokoju. Niekiedy też spacerowali razem po parku. Niezbyt często, bo Waldek bał się, że ktoś ich zauważy.

– Nie pójde jutro do pracy – powiedział Waldek, obsypując Marysię pocałunkami. – Skoro ty masz wolne, ja też coś wymyślę.

– A co powiesz żonie?

– Nic jej nie powiem.

– Czy uważasz, że robimy coś złego? – Marysia spojrzała Waldkowi w oczy.

– Wiesz, ja poszedłem z życiem na kompromis. Za dużo mu oddałem, dlaczego miałbym teraz

nie zagarnąć trochę szczęścia dla siebie?

– Bo to krzywdzące...

– Kiedyś wydawało mi się, że kocham Abigail, przed wyjazdem do Polski powiedziałem jej, że nic nie mogę jej obiecać.

– Masz z nią dziecko.

– Tak. – Skinął głową. – Tylko dowiedziałem się już o tym wszystkim po tym... Po tym, jak ciebie poznałem.

– Jutro, jutro będzie nasz dzień.

Był wrzesień. Ciepły, piękny wrzesień. Morze łagodnie szumiało, mewy skrzeczały nad ich głowami. Leżeli schowani w jaskini. W tej samej, do której kiedyś Waldek przyprowadził Abigail. Nadzy, zmęczeni, szczęśliwi. Ich ciała były lepkie od potu i spełnienia.

– Kochaj mnie znów i nigdy nie przestawaj – powiedziała Marysia, a Waldek na nowo zaczął ją całować.

I on zapomniał o Abigail, synu, i tym, że jest mężem i ojcem. Znów był w Polsce, na ukwieconej łące, gdzie kochał się z Marysią. A ona zapomniała, że Waldek ma żonę i syna. Liczyła się tylko ta chwila i żadna inna.

Wieczorem Abigail weszła do małżeńskiej sypialni. Waldek stał przy oknie zapatrzony w niebo.

– Idziesz spać? – zapytała łagodnie. Ostatnio jej męża wszystko drażniło.

– Nie.

– To co będziesz robił?

– Patrzył w niebo.

– Adam już śpi.

– Wiem, zaglądałem do jego pokoju kilka chwil temu.

Abigail podeszła do męża i objęła go. Poczowała, jak jego mięśnie się napinają.

– Może pocałujesz mnie na dobranoc? – zaproponowała.

Delikatnie musnął ustami jej policzek.

– Dobranoc, Abi.

– Dobranoc, kochany...

Był trzydziesty października, Abigail ruszyła z wizytą do siostry. Była taka szczęśliwa, gdyż okres jej się spóźniał. W tamtym miesiącu kochali się raz i to ona wymusiła na mężu stosunek. Waldek był podпиты, niechętny. Zaczęła go całować. Usiadła na nim okrakiem. Najpierw ją odtrącał, a potem zamknął oczy i poddawał się pieścizotom. Nie mogła uwierzyć, że się udało. Pewnie znów jest w ciąży. Niczego tak nie pragnęła jak mieć drugie dziecko. Tego dnia była bardzo szczęśliwa i wydawało jej się, że nic nie jest w stanie zmącić jej szczęścia. Chciała podzielić się radosną wiadomością z siostrą. Kiedy zapukała do drzwi domu Liz, nikt nie otwierał. Dobiegły ją kobiece głosy w ogrodzie. Ruszyła w tamtą stronę. Kiedy usłyszała swoje imię, stanęła jak wryta. Przyłgnęła do ściany budynku, żeby zostać niezauważona.

– Wiedziałam, że z tego Waldka to niezłe ziółko – powiedziała Amy, przyjaciółka Liz.

– Nie masz dowodów.

– Niewystarczającym dowodem jest to, że spaceruje z tą dziewczyną po parku, wpatrzony w nią jak w obraz?

Serce Abigail mocniej zabiło. Jaka dziewczyna? Waldek wraca do domu zaraz po pracy, kiedy miałby czas na spacer?

– Ile razy ich widziałaś?

– Dwa. Nie... Trzy.

– Abi mówiła, że to jego daleka krewna.

– Liz, obie wiemy, że na daleką krewną nie patrzy się z pożądaniem. Obie też wiemy, jacy są mężczyźni. Po prostu może powinnaś porozmawiać z Abigail.

– Ona już i tak za dużo wycierpiała.

- Nie powiesz jej?
- Nie mamy dowodów.

Abigail czuła, jak oblewa ją pot. Wiedziała, że musi stamtąd odejść.

Nie może wierzyć plotkom. Zaczęła się wycofywać w stronę bramki. Kiedy była już na chodniku, szybkim krokiem zaczęła iść w stronę swojego domu. Policzki ją paliły, a nogi miała jak z waty. Kiedy weszła do mieszkania, poczuła wilgoć na bieliźnie. Weszła do łazienki. Zakłęła. Mdłości wymieszały się z rozczarowaniem. Przyszedł okres. Było jej przykro. Bardzo przykro.

Tego dnia Abigail czekała długo na Waldka. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ostatnio wciąż brał w pracy nadgodziny i wracał do domu późnym wieczorem. Co ciekawe, pieniądze, które wpływały do ich domowego budżetu, nie były adekwatne do czasu, jaki spędzał w pracy. Poczuła ukłucie podejrzewania, które wykiełkowało w jej sercu.

Kiedy wreszcie Waldek wrócił do domu, zapytała wprost.

- Z kim się spotykasz?
- Ja? – Zaśmiał się nerwowo.
- Chodzą plotki po mieście, że włóczysz się po parku z jakąś dziewczyną.
- Aaaa. – Waldek złapał się za głowę. – Ostatnio widziałem się z Marysią.
- A czemu zamiast wracać do domu spacerujesz po parku z Marysią? – Abigail zaczęła podnosić głos.
- Kazek nie żyje, moja ciocia przez ubeków straciła cały dobytek! – Waldek poczerwieniał na twarzy.

- Kim jest Kazek?
- No właśnie, ty nawet nie wiesz, kim jest Kazek.
- Bo nic mi nie mówisz. Za to wszystko opowiadasz Marysi!
- Jesteś zazdrosna?
- Jestem.
- Ona czuje się tu samotna. Ja też potrzebuję porozmawiać z kimś z Polski. Z kimś, kto mnie zrozumie.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś?
- O czym?
- O spotkaniach z Marysią.
- Bo bałem się twojej reakcji.
- Mogliśmy ją zaprosić tutaj. Napilibyście się kawy i rozmawiali.
- Dobrze, zaproszę ją – powiedział ze spokojem w głosie.
- „Gdyby to była jego kochanka, nie zapraszałby jej do domu” – pomyślała Abigail. „Dlaczego siebie okłamuję? Nie, nie, Waldek, on jest zbyt lojalny. A może są takie pokusy, którym człowiek nie jest w stanie się oprzeć?”

- Kiedy poznałeś Marysię? – Abigail przeszła za Waldkiem do sypialni.
- W Polsce.
- Pięć lat temu czy wcześniej?
- Pięć lat temu.
- Ach, tak...
- Abigail. – Waldek odwrócił się w jej stronę. – O co ci do cholery chodzi?
- Sama nie wiem.

Waldek wszedł do łazienki, zatrząskując za sobą drzwi.

Abigail smarowała rogaliki masłem, następnie nakładała grubą warstwę dżemu. Zarówno syn, jak i Waldek lubili rogaliki z dużą ilością dżemu.

„Czy ja go jeszcze kocham? A może nienawiść też jest pewną odmianą miłości. Tą drugą stroną miłości. Rewersem?” – zastanawiała się Abigail.

Waldek i Adam weszli do kuchni.

– Siadaj tutaj. – Abigail nakazała usiąść synowi po przeciwnej stronie ojca.
– Ale ja chcę usiąść obok tatusia. – Adam uśmiechnął się słodko.
– Dobrze. – Abigail przysunęła talerz z jedzeniem obok Waldka. Mężczyzna przysunął synkowi krzesło.

– Tatusiu, to dokończ opowiadać. – Adaś był podekscytowany.
– Teraz jemy. – Abigail spojrzała na Waldka, ten machnął ręką, jakby się odganiał od muchy.
– W Polsce latem jest naprawdę gorąco. Temperatura w słońcu dochodzi niekiedy do czterdziestu stopni.

– Naprawdę?
– Tak.
– Ty znów z tą Polską... – Abigail westchnęła.

W kuchni momentalnie pojawiło się napięcie, jakie panowało między małżonkami od kilku miesięcy.

– To mój kraj. A Adam jest w połowie Polakiem.
– Właśnie. – Umorusana dżemem buźka dziecka rozszerzyła się w uśmiechu.
– Nogi i brzusek są szkockie, a ręce i głowa polskie – roześmiał się Waldek i pocałował syna w głowę. Abigail wzruszyła ramionami.

Po śniadaniu Waldek i Abigail odprowadzili Adasia do przedszkola. Tego dnia Waldek miał wolne, najchętniej poszedłby do Marysi, ale Abigail nie odstępowała go na krok.

– Chciałabym z tobą wszystko wyjaśnić. Porozmawiać – zaczęła Abigail, kiedy wrócili do domu.
– O czym? Co tu wyjaśniać? Jesteś zawsze taka do bólu... Do końca... Wszystko musi być po twojej myśli. Widzisz wszędzie piętrzące się problemy, które chcesz wyjaśniać.

– Jesteśmy rodziną, a ty zachowujesz się, jakbyś nie miał rodziny.
– Dla Adama...

– Dla Adama, dla Adama... – Abigail wymachiwała rękami. – Wiem, dla niego wszystko, a dla mnie? Kim jesteś dla mnie? Oddaliśmy się od siebie. Miłość wymaga pielęgnowania, a ty?

Waldek milczał.

– Tylko milczysz albo się rzucasz jak rozjuszony byk w klatce. Praca, dom... Nic nas nie łączy.

– Jesteś zazdrosna o dziecko?

– Tak – syknęła Abigail.

– To chore! Jesteś chora!

– Chore jest to, że ze mną nie sypiasz.

– Mam sypiać z osobą, która ma wiecznie skwaszoną minę?

– Nawet jeśli się uśmiecham, ty i tak mnie nie chcesz.

– Jestem zmęczony. Pracą. Myśleniem, jak tu opłacić rachunki.

– Nie zapominaj, że mój ojciec nam pomaga.

– Bo ty nie pracujesz!

– Zajmuję się domem!

– Adam jest w przedszkolu, mogłabyś znaleźć sobie jakąś pracę. Nie jesteś księżniczką!

– Słucham?

– Właśnie. Pani na włościach...

Tego dnia Waldek całe popołudnie grał nokturny Szopena. Abigail płakała. A on był obojętny na jej łzy.

Waldek wstał z łóżka po dziewiątej. Podszedł do okna, rozsunął zasłony. Ze złością syknął.

– Mgła. – Nie lubił tych brytyjskich mgieł, które przynosiły ze sobą wilgoć. Otulały świat szarą poświatą. Tej nocy prawie w ogóle nie spał. Czy Abigail się czegoś domyśla? Znów syknął. W jego skroniach pulsował nieznośny ból. Do pokoju wszedł Adaś.

– Nie śpisz, tatusiu? – zapytał Waldka.

– Nie. – Waldek podszedł do chłopca i podniósł go do góry.

– Chodź na dół, mam dla ciebie niespodziankę.

Zeszli do kuchni. Na stole Waldek zobaczył talerz, na którym leżały przypalone tosty, wysmarowane bardzo grubą warstwą dżemu. Dżem był wszędzie, a stół lepił się od konfitury. Mimo tego Waldek uśmiechnął się do syna.

– Zrobiłeś dla mnie śniadanie?

– Dla ciebie.

– Dziękuję.

Waldek pocałował malca w policzek.

– Lepszego syna nie mogłem sobie wymarzyć.

– Kocham cię, tatusiu.

– Też cię kocham.

– A gdzie mamusia?

– Mamusia wyszła na spacer. Powiedziała, że musi się przejść.

Była niedziela. Waldek miał drugi dzień wolne, dlatego postanowił spędzić czas z rodziną, mimo iż nie miałby nic przeciwko temu, gdyby mógł chociaż kilka godzin być z Marysią. Odpędził od siebie te myśli. Abigail wróciła koło południa. Położyła się do łóżka, gdyż miała migrenę, przynajmniej tak powiedziała mężowi. Waldek zabrał syna i pojechali na plażę. Zdjęli buty i przechadzali się po piasku, pozwalając, by spienione morze lizało ich stopy.

– Tatusiu? – zapytał malec.

– Tak?

– Kocham ciebie i mamusię.

– Cieszę się.

– Co to znaczy rozwodzić się?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Albert w przedszkolu coś mówił.

– Czasami dorośli ludzie postanawiają się rozstać.

– A dziecko?

– Dzieci mieszkają albo z tatą, albo z mamą. Czasami z mamą, a tata ich odwiedza.

Adam pokręcił nerwowo głową.

– Ja bym tak nie chciał.

– Nikt tego nie chce.

– Chcę być zawsze z tobą i z mamusią.

Waldek westchnął, złapał syna za rękę.

– Nie rozmawiajmy już o tym.

Szli w milczeniu. Chłopiec podskakiwał, a Waldek wciąż od nowa trawił słowa syna. Kiedy przystanęli, mężczyzna nachylił się nad chłopcem.

– Nieważne, co nas w życiu spotka, ja zawsze będę twoim tatą. Zawsze. I zawsze będziesz mógł na mnie liczyć – powiedział.

– Obiecujesz?

– Tak. Obiecuję.

Adam uśmiechnął się do ojca i kopnął patyk.

– Tatusiu?

– Tak?

– A zabierzesz mnie kiedyś do Polski?

– Kiedyś tak. Kiedyś na pewno.

Kiedy wrócili do domu, w salonie zastali teścia. Waldek prawie w ogóle go nie widywał, gdyż panowie unikali siebie jak ognia.

– Dzień dobry – przywitał się Waldek.

– Dziadku! – zawołał po polsku Adaś.

– *Grandad* – poprawił go lord Andrew. – Podeszedł do wnuka i mocno go przytulił. – Idź na górę do swojego pokoju, przywiozłem ci prezent.

– Wolę zostać z wami – sprzeciwił się chłopiec.

Waldek nachylił się nad synkiem.

– Rozpakuj prezent, a potem się razem pobawimy.

Dziecko odwróciło się i pobiegło na górę.

– Abigail śpi – powiedział teść.

– Źle się czuje.

– Może dlatego, że jesteś egoistą.

– Słucham?

– Martwisz się tylko o swojego kutasa.

Waldek otworzył szeroko oczy.

Lord Andrew sięgnął po szklaneczkę wypełnioną whisky i pociągnął spory łyk.

– Jesteś młody, rozumiem... Ale masz rodzinę.

– Ale...

– Kiedy się ma rodzinę, nie ma żadnego „ale” – syknął lord McGregor. Nie ma żadnego „ale” – powtórzył. – Dorośnij, bo jak nie...

– To co?

– Marnie skończysz. Już ja ci to obiecuję. – Stary mężczyzna wycelował w niego palec.

– Grozi mi pan? – Waldek nigdy nie zwracał się do ojca Abigail inaczej niż per „pan”.

– Tak. I się tego nie wstydzę. Tu chodzi o przyszłość mojej córki i wnuka! I nie cofnę się przed niczym.

Lord z hukiem postawił opróżnioną szklanekę na blacie stołu.

– Nie cofnę się przed niczym... Ludzie gadają, o tobie i tej Polce. Świat jest mały.

Waldek przełknął głośno ślinę.

– Jeśli nie skończysz tej znajomości, Abigail się o wszystkim dowie. Może ci nie zależy na żonie, ale na synu zapewne tak. Stracisz prawo do opieki nad nim. Ba, przed sądem udowodnię, że jesteś złym ojcem. Chyba chcesz widywać się z Adasiem? – Na twarzy lorda pojawiły się czerwone plamy. Żyły na skroniach zaczęły mu pulsować.

– Jestem dobrym ojcem. Mam świadków – powiedział dobitnie Waldek.

– Ja też mam! Ja też.

Waldek wiedział, że lord McGregor ma układy wszędzie, w policji, sądzie i prokuratorze. Wiedział też, że jego teść zdolny jest do wszystkiego.

Rozdział 33

Rok 1954

Waldek przez jakiś czas przestał widywać się z Marysią.

– Nie chcę stracić syna – tłumaczył jej. – Mój teść to wpływowy człowiek.

– Rozumiem – powiedziała z rezygnacją Marysia. – Przecież od początku wiedziałam, że jestem na drugim miejscu.

– To nie tak... To tylko chwilowe, dopóki sytuacja się nie unormuje.

– Powiedziałam, że rozumiem. – Dziewczyna przełykała łzy. – Chyba do tego przywykłam.

– Maryś. – Waldek ukląkł przed kobietą. – Jak tylko sytuacja się unormuje...

– To, co? Rozwiedziesz się?

– Jeśli to będzie możliwe, to tak. Ale...

– Wiem, nie chcesz stracić syna.

– Tak. On jest moją miłością. Kiedy sama będziesz mieć dziecko, to zrozumiesz.

Marysia przełknęła gorzką ślinę, która podeszła jej do gardła.

– Wróć do ciebie, obiecuję...

Było niedzielne południe, Adam został z dziadkami, a Abigail pożyczyła samochód od ojca i razem z Waldkiem pojechali przed siebie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał żonę Waldek.

– Na klify.

– Na klify... – westchnął.

– Kiedyś lubiłeś spacerować po klifach.

– Dobrze.

– A więc dobrze.

Abigail do końca drogi już się nie odezwała. Obiecała sobie, że nie będzie kłóciła się z mężem. Po kilkudziesięciu minutach jazdy zaparkowała samochód przy plaży. Wąską ścieżką ruszyli w stronę klifów, opadających stromo w stronę morza. Tego dnia morze było spokojne. Gładkie fale dotykały horyzontu. Przystanęli. Oboje wpatrzeni w dal. Abigail stała obok mężczyzny, którego miłość już dawno się wypaliła. „Czy można wskrzesić dogasającą miłość? Co może być iskrą zapalną?” – pomyślała. Wiedziała, że nie może go do niczego przymuszać.

– Pamiętasz, jak kiedyś byliśmy szczęśliwi? – zapytała.

– Tak, Abi... Pamiętam.

– To co się z nami stało?

– Nie wiem. – Sięgnął po papierosa.

– Za dużo palisz.

– Nie palę. Czasami popalam. Ostatnio może więcej.

Oboje patrzyli przed siebie, tam gdzie linia wody stykała się z horyzontem.

– I co dalej?

– Abi, o czym ty mówisz? – Nie odwrócił w jej stronę wzroku.

– Chcesz rozwodu?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Chciał, ale bał się o syna. Dla Adasia zrobi wszystko.

– Tęsknię za naszą bliskością – powiedziała po cichu Abigail.

Waldek też tęsknił, ale wiedział, że nie może już tej kobiecie nic ofiarować. Było mu wstyd za siebie. Zranił ją. Ranił ją każdego dnia.

Abigail poczuła, że właśnie w tej chwili, kiedy stoi obok swojego męża, samotność jest cięższa niż powinna być. Nie do zniesienia.

Waldek przygarnął Abigail do siebie.

– Kochaj się ze mną – powiedziała.

– Tutaj? – zapytał zaskoczony.

– Kiedyś ci to nie przeszkadzało.

– Kiedyś...

– Dlaczego nie chcesz? Nie pociągam cię?

Potrząsnął głową.

– Niektórych ran nie da się zszyc – powiedział smutno.

– O jakich ranach mówisz?

– Nie chcę cię skrzywdzić. Kochałbym się z tobą tu i teraz, ale co dalej, Abi? Co dalej? Sama przed chwilą zadałaś to pytanie.

– Jesteśmy małżeństwem, do cholery! A ty traktujesz mnie... Właściwie czemu ze mną jesteś?

Milczał. „Nie wiem!” – chciał wykrzyknąć. „Bo boję się odejść? Boję się stracić syna? Wiem, że on kocha nas oboje”.

Waldek był zakochany w synu bez pamięci, a Adaś wpatrzony był w niego jak w obrazek. Czasami Abigail wydawało się, że między synem a ojcem jest lepsza więź niż między nią a małym. Ona całą miłość oddała Waldkowi, a Waldek umiał kochać wiele osób. Jego miłość była podzielna, ale na pewno nie rozdawał jej po równo. I kiedy syn zadawał mu tysiące pytań, ten zawsze na nie odpowiadał. Był cierpliwy, tłumaczył, wyjaśniał. Abigail często się irytowała, Waldek nigdy. Kiedy Adaś był niemowlakiem, Waldek, mimo iż szedł do pracy, wstawał do niego w nocy. Tulił go, zmieniał mu pieluszki, nosił na rękach i masował brzusek, kiedy chłopiec miał kolkę.

Nadeszło Boże Narodzenie. Abigail razem z Waldkiem od lat celebrowała polską Wigilię, chociaż ona, jako rodowita Szkotka, nie obchodziła jej wcześniej. Dla niego nauczyła się lepić pierogi. Trzy lata temu pobierała lekcje u starszej Polki. W smaku bardzo przypominały Waldkowi te mamine.

Te święta jednak były inne niż poprzednie. Abigail nie zrobiła pierogów. Wigilia minęła szybko, a pierwszy dzień świąt spędzili u teściów. Waldek poluzował krawat, kiedy tylko wszedł do salonu. Czuł się, jakby miał zaraz się udusić. Na środku salonu stała choinka udekorowana złotymi bombkami i kryształowymi aniołami. „Jest tak piękna i tak napuszona jak całe towarzystwo, jakie zebrało się w pokoju” – pomyślał Waldek. Rzadko widywał się z rodziną Abigail, a jeśli już do tego doszło, czuł się u nich w domu jak nieproszony gość. Rzadko ktoś z nim rozmawiał, może z wyjątkiem teściowej.

Pod choinką leżały zapakowane w złoty papier prezenty, na pewno wszystkie z górnej półki. W pokoju było gwarno, synowie siostry Abigail byli rozpuszczeni jak dziadowskie bicze. Biegali wokół gości i piszczełi. Adaś bawił się drewnianym samochodzikiem. Co i raz spoglądał na ojca. Waldek

uśmiechnął się do synka. Kiedy malec przejechał samochodziem w głąb pokoju, Waldka ogarnął bezbrzeżny smutek. Stał z kieliszkiem wina oparty o parapet i patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Najchętniej uciekłby stąd do Marysi. Zabrałby ze sobą Adasia, ale wiedział, że synek kocha swoją mamę. Waldkowi zachciało się płakać. W tym samym czasie Abigail patrzyła na męża. Jej serce pękało z bólu.

– Chodź ze mną do pokoju wypoczynkowego. – Abigail się obejrzała. Za jej plecami stała mama.

– Po co?

– Chcę z tobą porozmawiać.

Abigail i lady Beatrix weszły do pokoju. Lady Beatrix usiadła na kanapie, Abigail na krześle.

– Widzę, że jesteś smutna. Schudłaś – powiedziała lady Beatrix.

– Czasami każdy jest smutny.

– Tak... Chyba tak. Wiesz, wydaje mi się, że niektórzy udają miłość.

– O co ci chodzi? – Abigail uniosła brwi.

– O Waldka.

Abigail zamknęła oczy i przełknęła ślinę, która zebrała się w jej ustach. Nie można udawać miłości. Wszystko inne tak, ale nie miłość. Miłość jest zaklęta w dotyku, w spojrzeniu oczu, w czułych gestach. W słowach. Tego się nie da oszukać. A ona to kiedyś widziała u Waldka. Kiedyś...

Kobiety spojrzały sobie w oczy. Lady Beatrix zawsze wydawała się Abigail oschłą, niezdolną do głębszych uczuć, uległą i oddaną tylko ojcu. Teraz, kiedy Abi rozplakała się, lady Beatrix położyła dłoń na jej plecach.

– Nie płacz...

– Powiesz, że nie warto, bo ty jesteś twarda – wychlipała. – Jak skała – dodała.

– Nie... Nie jestem. Kocham cię.

Abigail spojrzała w stronę mamy. W oczach starszej kobiety migotały łzy.

– Kiedy byliście z Liz małe, byłam inna...

Abigail zamknęła oczy. Faktycznie mama była bardziej radosna, często sprzeciwiała się ojcu. Trudno było sobie to przypomnieć, a jednak lady Beatrix kiedyś była inna.

– Zmieniło mnie życie – westchnęła. – Nie chcę, byś i ty stała się taką kobietą, jaką jestem ja. Nie popełniaj moich błędów.

– O co ci chodzi? – zapytała Abigail.

– Miałam zabrać tę tajemnicę do grobu, ale winna ci jestem wyjaśnienie. Winna ci jestem wszystko. – Lady Beatrix się skuliła. Odchrząknęła, wygładziła ręką spódnice i zaczęła: – Czasami nie jest takie, jak nam się wydaje, a życie przynosi zaskakujące zwroty akcji. Oczywiście wtedy, kiedy najmniej się ich spodziewamy. To było jeszcze przed wojną. Byłam już mężatką, z dwójką małych córek. Na jednym z przyjęć poznałam pewnego Francuza. Zakochałam się w nim. Twój ojciec... Cóż... On nie okazywał mi nigdy uczuć. Ba, wydaje mi się, że nawet mnie nie kochał.

– Ty... Ty się zakochałaś?

Beatrix uśmiechnęła się pod nosem.

– Zdziwiona?

Abigail zmrużyła powieki. Nigdy nie patrzyła na mamę jak na kobietę. Teraz spojrzała na nią oczami nieznanegoj osoby. Mimo iż twarz mamy pokryta była siecią zmarszczek, skóra na twarzy była cieńsza niż kiedyś, to jednak oczy... Tak, mama miała piękne oczy i usta. Pełne, o ładnym malinowym odcieniu.

– Tak. Wiesz, to nie jest normalne, że własna matka mówi ci o takich rzeczach.

– Powinnaś wiedzieć – powiedziała z naciskiem Beatrix. – Zauroczyłam się jak szalona. Zakochanie się, kiedy jest się mamą i żoną, jest szalone. On też był mną zafascynowany. Wiesz, kobiety kochają być adorowane. Ja oprócz tego kochałam rozmowy z Pierre'em. Fascynowała mnie jego inteligencja. Był biologiem, badaczem. O swojej pracy mógł mówić godzinami, a ja słuchałam go z zapartym tchem. Zaczęły się potajemne schadzki. Angażowałam się coraz bardziej. Aż dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Zamiast oznajmić o tym Pierre'owi, poszłam z tym do twojego ojca. Zakochane

kobiety robią różne dziwne rzeczy. Byłam na takim etapie w życiu, że chciałam rzucić wszystko. Zabrać was ze sobą i odejść od ojca. Wasz ojciec wpadł w szal. Krzyczał, że nie pozwoli mi zniszczyć rodziny. Tego wieczoru wymknęłam się do Pierre'a. Oznajmiłam mu, że jestem w ciąży. Wydawał się wniebowzięty. Zaplanowałam ucieczkę. To było dwa dni później. Mąż spał w oparach whisky, a ja spakowałam dwie walizki, wzięłam Liz na ręce, ciebie wzięła na ręce niania. Tak, zaangażowałam do pomocy nianię. Wyszliśmy w mrok nocy. Pierre miał na nas czekać trzy przecznice dalej. Usiadłyśmy z nianią na pobliskiej ławce i czekałyśmy. Wy spałyście owinięte w kocyki na naszych rękach. Nie przyszedł. Czekałyśmy do nadejścia świtu. Pierre się nie pojawił. Wróciłyśmy do domu, a ja już nigdy nie spotkałam Pierre'a.

Abigail słuchała mamy z szeroko otwartymi oczami.

– A dziecko? Dokonałaś aborcji?

– Nie. Choć twój tata na nią nalegał.

– To co z dzieckiem?

– Zawarłam układ z twoim ojcem. Urodzę dziecko, ale je oddamy. Sąsiadom powiedzieliśmy, że dziecko zmarło podczas porodu. Oczywiście nikt nie wiedział, że to nie było dziecko lorda.

– Gdzie go oddałaś?

– Do domu dziecka.

– Iiii?

– Od tamtej pory cierpię.

– Widziałaś go kiedyś?

Beatrix pokręciła nerwowo głową.

– Pół roku temu byłam w sierocińcu, aby się dowiedzieć, co się stało z moim chłopcem.

– Dlaczego akurat teraz?

– Twoja historia sprawiła, że wróciły wspomnienia. Ty miałaś odwagę zawalczyć o swoje szczęście, ja nie... Sprzeciwiłaś się ojcu, walczyłaś o swoją miłość. Ja oddałam syna. – Lady Beatrix się rozplakała. Teraz to Abigail ją przytuliła.

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Powiedzieli mi, że wraz z innymi dziećmi zabrano go do Australii, tam jakaś rodzina go zaadoptowała i pewnie ma świetlane życie. To słoneczny, piękny kraj. Niczego mu nie zabraknie – mówiła bez przekonania Beatrix. – Żałuję tego, co zrobiłam. Ja go muszę odnaleźć. Teraz wy jesteście dorosłe, macie swoje życie, a ja, ja nie spocznę, dopóki nie znajdę syna.

Rozdział 34

– I co? – zapytała Anna. – Czy pani mama odnalazła syna?

– Nie. – Lady Abigail zakasłała. – Po tamtej rozmowie nawiązałyśmy nic porozumienia. Bardzo często rozmawiałyśmy o mężczyznach i dzieciach. A potem z mamą zaczęło dziać się coś dziwnego. Zaczęła tracić zmysły. Chodziła nocą po ulicach w koszuli nocnej i szukała syna. Zamknęli ją w ośrodku psychiatrycznym. Tam zmarła.

– W ośrodku psychiatrycznym?

– Tak – westchnęła lady Abigail. – Opowiem ci o tym ośrodku, ale teraz wróćmy do mojego brata. Dopiero po śmierci mamy zrozumiałam, jak bardzo mi jej brak i jak bardzo ją kochałam. Nie było to uczucie pełne ciepłych słów i gestów, a jednak szczere. Żałowałam, że wcześniej nie podjęłam wysiłku, by zrozumieć mamę. Może gdyby wyjawiała mi wcześniej swój sekret, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Zanim mama trafiła do ośrodka, zdradziła mi, że chciała kiedyś otruć ojca. Za to, co jej zrobił, ale nie miała odwagi.

„Wilcza jagoda. Jeśli ktoś kiedyś złamie ci serce, to podaj mu wilczą jagodę. Możesz ją dodać do konfitury” – powiedziała.

„Mamo, ale o czym ty mówisz? Nikogo nie chcę otruć”.

Mama popatrzyła na mnie błędnym wzrokiem.

„Nigdy nie wiesz, do czego jesteś zdolna, zanim ktoś cię nie skrzywdzi. Zanim nie skrzywdzi...”.

– Nie wiedziałam... Do czasu. Wilcza jagoda, belladonna, ma działanie silnie trujące, ale niektórzy wykorzystują ją jako narkotyk ze względu na właściwości halucynogenne. Spożycie owoców lub liści wilczej jagody powoduje poważne zatrucie pokarmowe, a nierzadko śmierć. Zarówno owoce, jak i liście wilczej jagody prawie w całości składają się z atropiny. Zjedzenie nawet kilku owoców przez dziecko może mieć tragiczne skutki. Dawka śmiertelna dla osoby dorosłej to około 15–20 jagód.

Anna poczuła, jak po jej plecach przechodzą dreszcze.

– Do wilczej jagody jeszcze wrócę później... Ale o czym to ja? – Lady Abigail potarła ręką skronie.

– Opowiadała pani o swoim bracie.

– Ach, tak. Odnalazłam brata. Obiecałam to mamie, kiedy ta miała przebliski świadomości..

– Naprawdę?

– Tak.

– Niech mi pani o tym opowie...

– Nie mogłabym umrzeć i go nie zobaczyć. Szukałam go wszędzie. Nie było to łatwe, bo po

przeprowadzce do Australii dzieciom zmieniono dane osobowe. Byłam w Australii dwa razy, ale moje wyjazdy były na darmo. Dopiero rok 1989 okazał się przełomem. Jakaś dziennikarka rozdmuchała aferę o adopcjach dzieci w Australii po wojnie. Zgłosiłam się do niej i ja. Okazało się, że brytyjskie władze wraz z rządem australijskim i organizacjami kościelnymi uczestniczyły w operacji, której celem było przede wszystkim pozbycie się kosztownego problemu społecznego. Program wywózki obejmował bowiem niemal wyłącznie dzieci z domów dziecka i biednych rodzin, korzystające z takich czy innych form pomocy z zewnątrz. Przy okazji rozwiązano kwestię niedoboru siły roboczej w Australii. Nie sposób pojąć, dlaczego w ogóle pozwolono na ten proceder, który trwał od lat trzydziestych do drugiej połowy lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Te dzieci, w tym mój brat, nie miały wcale świetlanej przyszłości w Australii. – Głos lady Abigail się łamał. – Dobrze, że mama tego nie dożyła. Była wiosna 2006 roku, kiedy otrzymałam list od brata. Mój adres uzyskał od wspomnianej dziennikarki. Wciąż go mam. Jest w komodzie, w górnej szufladzie. Możesz mi go podać?

Anna podeszła do komody i odsunęła szufladę. Odnalazła kopertę i podała lady Abigail.

Kobieta włożyła na nos okulary i zaczęła czytać:

Droga Abigail,

dostałem Twój adres od pewnej dziennikarki. Nie mogę uwierzyć, że mam siostrę i że po tylu latach moglibyśmy się poznać.

Miałem siedem lat, kiedy wsadzono mnie na statek z innymi dziećmi. Statek, który miał mnie zawieźć do magicznego miejsca. To tam, w Australii, miałem rozwinąć skrzydła. Jednak mój Przylądek Nadziei stał się dla mnie przeklętym miejscem. To w tym kraju, który uważam już teraz za ojczyznę, doznałem najwięcej upokorzeń. Przepraszam, że o tym piszę... Niczego tak bardzo nie pragnę, jak przylecieć do Anglii, gdzie się urodziłem. Chciałbym w końcu poznać moje korzenie i moją siostrę.

Z pozdrowieniami

Mike Bolton

Rok 2006

Spotkali się kilka miesięcy później. Było to spotkanie pełne emocji, tych złych i dobrych. Mike nigdy nie wybaczył mamie tego, co zrobiła.

– Staralem się, ale nie mogę... – powiedział, kiedy pili wino. Siostra patrzyła na niego i starała się go zrozumieć. Wyrzutek. Odtrącony przez rodziców i państwo. Był bardzo podobny do mamy. Niemal skóra z niej zdjeta. Podczas gdy one z Liz wdały się w ojca, on był męską wersją mamy.

– Wiesz, mną tam poniewierali – powiedział Mike. – Nie miałem do kogo się zwrócić o pomoc. Wmawiano mi, że jestem synem kurwy, że jestem nikim, skoro własna matka mnie opuściła. Kiedy słyszysz to po raz tysięczny, zaczynasz w to wierzyć. Pracowałem ciężko na farmie, w spiekocie słońca, głodny, brudny. Ale to nie to mi najbardziej doskwierało, a brak matczynej miłości. Wiesz, mnie nikt nie dotykał. Życie bez dotyku i przytulenia jest straszne. Pracowałem z innymi małymi chłopcami. Kończyliśmy pracę późnym wieczorem. Zawożono nas do sierocińców. Zastanawiam się, gdzie było gorzej: w sierocińcu czy przy morderczej pracy na polu? – Przerwał, napił się wody. Już po chwili kontynuował: – Chyba w sierocińcu. Sierocińce dla dziewczynek prowadziły siostry zakonne. Niektóre miały diabelskie dusze. Nie wszystkie, ale były takie, które wymyślały różne kary, by uprzykrzyć

dzieciom pobyt w ośrodku. Ja trafiłem do świeckiego ośrodka, prowadzonego przez niewyżytego miłośnika boksu i kobietę, która nienawidziła ludzi. James, bo tak miał na imię opiekun, okładał nas pięściami niemal za wszystko, co tylko mu nie pasowało. A nie spodobać mogło mu się to, że za głośno westchnąłem. Na farmie mogliśmy podkraść trochę jedzenia świniom czy krowom. Karmiono je lepiej niż nas w sierocińcu. Jednak to nasza opiekunka była większym potworem. – Przełknął głośno ślinę. W jego oczach zalśniły łzy. – Krążyły plotki, że kiedyś była zwykłą dziewczyną, która miała swoje plany i marzenia. Od małego uczęszczała na lekcje baletu. Chciała tańczyć na deskach teatrów. Jej rodzice byli nauczycielami, a malutki braciszek dopiero co się urodził. Któregoś dnia po powrocie ze szkoły zastała w domu zmasakrowane ciała bliskich. Zwłoki były poćwiartowane. Dziewczynka przez kilka lat nie mogła dojść do siebie. Wiesz, nawet w dobrych ludziach rodzi się nienawiść, a wszystko, co nam się przydarza, ma wpływ na nasze dalsze decyzje i wybory. Złapano morderców. Byli nimi dwaj Anglicy, chłopcy z sierocińca. Emily, tak miała na imię dziewczynka. Ładne imię, prawda?

– Ładne. Brzmiały niewinnie.

– Emily wyrosła na potwora. Skończyła pedagogikę i zaczęła pracę w sierocińcu. Chciała pomścić swoich rodziców i braciszka. Kobieta miała serce z kamienia, a rękę twardszą od niejednego mężczyzny. Wymyślała najróżniejsze kary. Czasami modliliśmy się, żeby dostać się w ręce boksera zamiast w ręce Emily. Kazała nam stać godzinami na piekącym słońcu. Przed oczami widzieliśmy majaki. Skóra nas piekła od promieni słonecznych i jedyne, o czym marzyliśmy, to to, by się czegoś napić. A ona patrzyła na nas niewzruszona, zanosząc się pustym śmiechem.

Co nienawiść może zrobić z człowiekiem? Jaki człowiek robi takie rzeczy drugiemu człowiekowi? Zło jest banalne i zaczyna się niepostrzeżenie. I każdy z nas w określonej sytuacji jest zdolny do okropnych rzeczy, do krzywdzenia innych.

– Tak... Chyba tak – westchnęła lady Abigail.

– Łatwo dochodzisz do wniosku, że ty nie zrobiłabyś tego, co uczyniła ona, że oczywiście byłabyś wyjątkiem od reguły. To przekonanie jest statystycznie nierozsądne, czyni cię jeszcze bardziej podatną na wpływ czynników sytuacyjnych właśnie dlatego, że nie doceniasz ich siły, a przeceniasz siły własne. Jesteś przekonana, że byłabyś dobrym opiekunem. Ale człowiek zachowuje się inaczej, kiedy ma władzę i pozycję, inaczej kiedy pieniądze, a jeszcze inaczej, kiedy rządzi nim zemsta. Ludzie potrafią być potworami. Bycie złym nie jest zarezerwowane tylko dla podłych ludzi i każdy z nas, jeśli tylko okoliczności będą odpowiednio złe, może być złem opętany, może krzywdzić innych. Każdy może być też dobry, w sprzyjających okolicznościach.

– Chcesz drinka? – przerwała bratu lady Abigail.

– Poproszę.

Lady nalała po szklaneczce whisky.

– A ty? – zapytał siostrę Mike. – Jaka ty jesteś?

– Niepotrzebnie o mnie mówimy.

– Chcę cię poznać...

– Jest we mnie więcej nienawiści niż sądziłam.

– Wiesz, we mnie już chyba też. Nie mogę się jej pozbyć. Bardziej nienawidziłem własną matkę od moich oprawców, bo to ona skazała mnie na ten los. A ty? Kogo tak bardzo nienawidzisz?

– Kochałam i nienawidziłam tak samo mocno tę samą osobę. Mojego męża... Przez lata wplątywałam się w pajęczynę kłamstw, zawiodłam czyjeś zaufanie, złamałam obietnice i zraniłam tego, kogo powinnam kochać.

– Hm – westchnął Mike, ale tego nie skomentował. – Po skończeniu piętnastu lat opuściłem ośrodek jako jękający się analfabeta – kontynuował, co i raz pociągając alkohol. – Przez cały czas, jaki spędziłem w sierocińcu, nie chodziłem do szkoły. Trafiłem na budowę jako pomocnik. Budowaliśmy klasztor. Pieniądze, które dostawałem, musiałem zwracać do instytucji, która wysłała mnie do tego „raju”. Miałem jednak wikt i dach nad głową. Pracowałem w pocie czoła. Stopy i dłonie miałem pokryte wrzodami, które zrobiły się od trzymania łopaty, słońca, potu i wżerającego się w skórę cementu.

Moje dorosłe życie to alkohol, ciągłe zmiany pracy i miejsca zamieszkania. Kilka razy

próbowałem popełnić samobójstwo, moje pierwsze małżeństwo się rozpadło. Dwie dorosłe córki straciły ze mną kontakt. Nie mogłem dać im szczęścia, bo nigdy nie znalazłem go w sobie. Uratowała mnie moja druga żona, podobnie doświadczona przez los jak ja. Tylko ona potrafiła mnie zrozumieć. To ona, mimo iż też z bliznami na duszy, pokazała mi jak żyć. Pokazała mi, że można kochać i być kochanym. Wspomnienia – westchnął. – One wciąż wracają. Miewam koszmary... Ale żyję, jestem, chcę być...

* * *

– I jak wasze stosunki teraz wyglądają? – zapytała Anna.

– Widujemy się dość rzadko, bardzo rzadko. On chyba nie lubi już wracać wspomnieniami do tego wszystkiego, a mój widok rozdrapuje rany, poza tym dzielą nas tysiące kilometrów. Dlatego kiedy wysłałam cię po prezent dla brata, nie wiedziałam, co lubi, czego potrzebuje. Ja go nie znam, ale noszę go w sercu. To mój brat. Krew z krwi. Rodzina – powiedziała dobitnie.

– Przykro mi...

Lady Abigail zamyśliła się, a potem powiedziała niemal bezgłośnie:

– Każdy z nas nosi w sobie potwora. I dobrze by było, gdyby trzymał go na uwięzi. Bo jeśli potwór wyjdzie z klatki, może narobić wiele szkód.

Świeca stojąca na stoliku zgasła. Anna zadrżała.

– Potwory zabijają... Każdy z nas może zabić, modlić się tylko należy o to, żeby nie znaleźć się w sytuacji, która by nas do tego zmuszała. Każdy z nas jest zdolny do najniższych ludzkich instynktów.

Rozdział 35

– A co z panią? Co się działo z panią przez wszystkie te lata? Co z Waldkiem i Marysią?
Lady Abigail westchnęła.

– Opowiem więcej o Waldku jutro lub za kilka dni. Wspomnienia niekiedy bołą. Bardzo bołą...

– A ten ośrodek?

– Jutro. Jutro ci o nim opowiem... Dzisiaj bałabyś się zasnąć.

Anna się wzdrygnęła.

– Jest już późno, nalejesz mi koniaku?

Anna uśmiechnęła się do swojej pracodawczyni.

– Nie powinna pani tyle pić.

– Bzdura. Alkohol i ciasto czekoladowe sprawiają, że jest mi dobrze.

Anna pomogła lady Abigail się umyć. Przebrała ją w piżamę i ułożyła na łóżku.

– Idź już spać, moje dziecko. Idź spać.

– Niczego pani nie potrzebuje?

– Nie. Dziękuję.

Anna poszła do siebie. Położyła się na łóżku, ale dręczył ją jakiś niepokój. Przewracała się z boku na bok, aż w końcu wstała, łyknęła tabletkę na sen. Po kilku chwilach twardo już spała. Lady Abigail również nie mogła zasnąć. Wspomnienia wróciły. Czowała, że niepotrzebnie po nie sięgała w głąb duszy. To już za nią... A jednak, tyle złych rzeczy się wydarzyło. Wstała z łóżka. Musiała nalać sobie kieliszek koniaku, żeby tak nie bolało ją to stare serce. Podeszła do barku, sięgnęła po butelkę i nagle straciła czucie w nogach. Runęła jak długa. Nogę i biodro przeszył ostry ból. Nie była w stanie się ruszyć i podejść ani do telefonu, ani do krótkofalówki, za pomocą której niekiedy kontaktowała się z Anną. Nie była w stanie nawet się nigdzie doczołgać. Bolało piekielnie. Straciła przytomność.

Anna znalazła swoją pracodawczynię rano. Wystraszyła się. Wezwała pogotowie. Kiedy sanitariusze wnosili lady Abigail do karetki, kobieta na chwilę odzyskała przytomność.

– Ja już tu nie wrócę, nie wrócę – powiedziała.

Lady Abigail faktycznie nie wróciła do domu. Została w szpitalu przez kolejne tygodnie. Anna odwiedzała ją codziennie.

– Wszystko to jest twoje, dom też. Spisałam testament – powiedziała lady Abigail, kiedy Anna poprawiała jej poduszki.

– Jeszcze pani nie umiera.

– Oszczędności i lokaty są dla mojego brata. Reszta jest twoja.

– Nie. Nie chcę tego przyjąć. Zresztą pani na pewno jeszcze niejednego przeżyje.

– Zapisałam ci dom. Możesz go sprzedać. A teraz skołuj herbatę i posłuchaj, co chcę ci

powiedzieć. Przecież musisz dokończyć pisać książkę. – Lady Abigail puściła oko i uśmiechnęła się do Anny.

Po kilku chwilach Anna wróciła z dwoma kubkami herbaty.

– Chciałabym, żebyś tam pojechała... – Lady Abigail pociągnęła łyk herbaty, po czym się skrzywiła. – Za mało słodka.

– Posłodziłam dwie łyżeczki.

– Za mało.

Anna pokręciła głową.

– Gdzie mam pojechać?

– Do Bangour Hospital.

– Do szpitala?

– To ten ośrodek, gdzie przebywała moja mama. Jest już zamknięty, ale można go zwiedzać.

– Po co mam tam jechać?

– Chciałabym, abyś zapaliła tam świeczkę. Przed pawilonem numer 42. Zrób to dla mnie. Ostatni raz chciałabym oddać jej cześć. Za niedługo i tak się spotkamy.

– Gdzie to jest?

– West Lothian, w połowie drogi między Bathgate a Broxburn. Kiedy stamtąd wrócisz, opowiem ci coś...

– Jest pani jak zwykle tajemnicza.

– Nie... Absolutnie nie. Ale żeby zrozumieć pewne wydarzenia, musisz tam pojechać i poczuć klimat tego miejsca.

Anna pojechała do szpitalnej wioski następnego dnia. Było dość słonecznie, ale kiedy weszła na teren dawnego szpitala psychiatrycznego, otuliła ją gęsta mgła. Wzdrygnęła się. Panowała tam niezwykła cisza, co i raz przerywana krakaniem wron. Anna spacerowała alejkami wśród drzew i krzewów. Co jakiś czas wyrastał z zarośli wielki budynek, z wybitymi szybami. Niektóre okna zabite były dyktą. Podeszła do budynku, w którego oknie nie było szyby. Wspięła się na palcach. W środku było tak, jakby ludzie opuszczali to miejsce i wierzyli, że jeszcze tu wrócą. Na łóżkach leżała przegniła już pościel, na stolikach porozrzucone sztuce, pełno papierów, a na samym środku podłogi zwinięte w kłębek rzemienie. Czyżby nimi przywiązywano pacjentów do łóżek? Chyba za dużo horrorów się naoglądała. Miejsce to sprawiło, że u Anny wyostrzyły się niemal wszystkie zmysły, a każdy najmniejszy szmer powodował, że zaczynała się trząść. Odwróciła się. Pod nogami ujrzała martwego ptaka. Czemu wcześniej go nie widziała? Wyminęła padlinę i szybkim krokiem ruszyła dalej. Usłyszała jakieś trzaśnięcie, a potem niezrozumiałe jęki i szepty, cienie przemykające wzdłuż chodnika i stukot damskich obcasów, choć nikogo nie było w pobliżu. Ogarnął ją strach. Po kilku chwilach dotarła do pawilonu numer 42. Zdecydowała, że zapali znicz i czym prędzej ruszy do wyjścia. To miejsce ją przerażało. Stała przed wielkim budynkiem i z plecaka wyciągnęła znicz. Chciała go zapalić, ale zerwał się dość silny wiatr. Za każdym razem, kiedy odpaliła zapałkę, ta gasła.

– To duchy. – Usłyszała za sobą męski głos. Kobieta tak bardzo się przestraszyła, że krzyknęła na całe gardło.

– Proszę się uspokoić, jestem strażnikiem. – Za plecami Anny stał krępy, łysawy mężczyzna, oparty o białego vana. Jak to się stało, że nie słyszała nadjeżdżającego samochodu?

– Obchodzimy z moim zmiennikiem teren. Przychodzi tutaj sporo śmiałków, którzy mimo ostrzeżeń chcą wejść do budynku szpitala.

– Ja nie chcę. – Twarz Anny była blada jak pergamin. – Przyszedłem tu zapalić znicz.

– Tu go pani nie zapali. Ogień w tym miejscu zawsze gaśnie. Duchy. – Mężczyzna roześmiał się szyderyczym śmiechem.

– Niech pan nie opowiada głupot.

– Pani, to nie są głupoty. Niech pani wsiada. – Strażnik wskazał na samochód. – W domku, w którym mieści się wartownia, jest mój tato. On opowie pani, co się tutaj dzieje.

Anna nie była pewna, co ma zrobić.

– Wybiera pani moje towarzystwo czy duchów?
– Chciałabym zapalić znicz. – Anna ścisnęła w jednej dłoni świeczkę, a w drugiej zapalniczkę.
– Proszę za mną. Tylko tutaj płomienie świec nie gasną. – Mężczyzna wskazał na wnękę w drzwiach. Anna zapaliła znicz, po czym odwróciła się i wsiadła do wana. Objechała z Dominikiem, bo tak miał na imię strażnik, cały teren, po czym wrócili do budynku, gdzie znajdowała się wartownia.

W środku unosił się dym papierosowy. Na starej kanapie siedział staruszek o skórze pomarszczonej jak rodzynka i palił papierosa.

– Tato, mamy gościa – powiedział Dominic.

– Gościa – powtórzył starzec. – Gościa...

Anna się przedstawiła.

– Siadaj, dziewczyno, siadaj.

– Tato, ona nie wierzy w duchy.

– A boś głupia. To miejsce ma swoje duchy, demony, swoją historię. Tutaj działy się dziwne rzeczy. – Starzec zaciągnął się papierosem.

– Jakie?

– Synu, podaj album. – Starzec zwrócił się do Dominica.

Dominic podał ojcu stary album ze zdjęciami. Mężczyzna przewrócił kilka stron.

– Na przykład ten kościół. – Wskazał na czarno-białe zdjęcie kościoła. – Ponoć wielowyznaniowy, ale działy się tutaj takie rzeczy... – Mężczyzna cmoknął.

– Jakie?

– Wykonywano na pacjentach ośrodka egzorcyzmy.

– Skąd pan o tym wie?

– Bo byłem tutaj strażnikiem. To nie byli lekarze, a szarlatani. – Wyszczerył się w bezzębnym uśmiechu. – Teraz duchy zmarłych tu wracają, nie mogą zaznać spokoju. Przez szpital przewinęły się tysiące ludzi, których dusze nie mogą znaleźć spokoju tam, po drugiej stronie.

Anna głośno przełknęła ślinę.

– Ma pani ochotę się napić? – Starzec spojrzał na Annę takim wzrokiem, że kobieta zadrżała.

– Nie, dziękuję. – Mimo że czuła suchość w gardle, odmówiła.

– Widziałem na własne oczy postać dziewczynki, i nie tylko ja. Biega tutaj czasami i skacze na skakance. Zagaduje do przechodniów, a kiedy ci pytają ją, gdzie są jej rodzice, znika we mgle.

– Tato ma rację. Zawsze, kiedy mała się pojawia, ciągnie za sobą mgłę.

– W jednym z budynków, tutaj w alei Róż.

– W alei Róż?

– Tak, tej na lewo, za kościołem były przetrzymywane dzieci, niby opóźnione w rozwoju.

– Niby?

– One były zdrowe! – Starzec trzęsącym palcem pokazał na jedno ze zdjęć, na którym było widać wysoki budynek, przed którym stały dzieci. Smutne dzieci. – Nie mogły się bawić, psocić, czasami nawet zabraniano im rozmawiać. To był biznes. Tak jak teraz ludzie robią straszne biznesy, o których my nie chcemy wiedzieć. Ale wracając do dzieci. Na młodych, zdrowych ciałach można mnóstwo eksperymentować.

– To obrzydliwe. – Anka pokręciła głową.

– Taki jest popieprzony świat. Był i będzie. Jedna z pielęgniarek, która chciała zapobiec tym strasznym praktykom, popełniła samobójstwo. Wskoczyła z okna.

– Dziwne.

– Bardzo. Teraz obok tego okna na korytarzu słyszeć kroki, piski i krzyki. O pierwszej w nocy zawsze pali się tam światło. Mimo iż prądu w tamtym budynku nie ma już od kilkadziesiąt lat.

– Sam widziałem – dodał Dominic. – W oknach niektórych budynków tli się niekiedy światło. Jakby świeca migotała. Kiedy sprawdzałem wewnątrz budynku, nikogo i niczego tam nie było. A kiedy odjeżdżałem, światło znów się pojawiało.

– Widziałem tam straszne rzeczy. – Starzec zmrużył oczy. Ręce zaczęły mu drżeć. – Wiesz

zapewne, że w świetle prawa osoba z zaburzeniami psychicznymi nie popełnia przestępstwa, gdyż działa nieświadomie. W związku z tym, gdy osoba chora zaatakowała sanitariusza, szpital najczęściej nie zawiadamiał policji, ale radził sobie z tym przypadkiem sam. A zdarzało się to przecież dość często. – Odkasznął. – Policja nie interweniowała w szpitalu. Personel szpitali psychiatrycznych był bezkarny. Mimo że bardzo często dochodziło do nadużyć. Personel znęcał się nad pacjentami.

– A leczenie? Szpital powinien leczyć chorych ludzi.

– A czym jest psychiatria, dziecko? Dziś? Wtedy? Kilkadziesiąt lat temu? Czy zastanawiał się nad tym, jak to działa?

– Psychiatra, psycholog to lekarze od duszy...

– To szarlatani. – I znów śmiech starca. Przejmujący, mroczny, skrzekliwy. – Psychiatrzy często uważają, że są jedynymi osobami zdolnymi do prowadzenia i leczenia chorób psychicznych. Uważają się za bogów, którzy chorym przywracają zmysły. Dowody z okresu drugiej wojny światowej stawiają to przekonanie pod znakiem zapytania. Kiedy jeden ze szpitali dla umysłowo chorych w Anglii znalazł się na drodze nadchodzącej armii niemieckiej, wszyscy pacjenci zostali odesłani do domu do krewnych, poza 153 osobami, o których sądzono, że są zbyt chore, aby opuścić szpital. Niemcy nadeszli wcześniej, niż się spodziewano, tak więc pacjenci musieli radzić sobie sami. Po wojnie powołano komisję w celu ustalenia losu tych opuszczonych pacjentów. Z tych, których odnaleziono, 57 procent porzuconych, nieleczonych i beznadziejnych przypadków dostosowało się do życia w społeczeństwie. Podobne badanie przeprowadzono na 118 schizofrenikach zwolnionych 20 do 25 lat temu z innego szpitala dla obłąkanych. Badanie wykazało, że u 68 procent zniknęły wszystkie objawy schizofrenii. Badania są szokujące, ale psychiatria to biznes. Bardzo dochodowy kiedyś i teraz. Świetne interesy robią producenci środków poprawiających samopoczucie, rozmaite psychotropy, częściej bardziej szkodliwe niż pomocne. Koncerny farmaceutyczne tworzą pigułki na każdą chorobę psychiczną, a tych chorób wymyśla się coraz więcej, często zupełnie niesłusznie. Modna jest teraz depresja, prawda?

– Nie sądzę, że depresja jest „modna”.

– A ja sądzę, że tak. Chroniczny smutek jest tępiony za pomocą leków. Które nie leczą, a stępiają zmysły. Przemysł farmakologiczny kwitnie, psychiatrzy mają pracę i świetne zarobki. Psychiatrzy przepisują pacjentowi leki, nie informując go o skutkach ubocznych, a nawet jeśli któryś napomknie, to działanie leku, który ma uśmierzyć na przykład depresyjne stany, przewyższa skutki uboczne. Senność, zamazane widzenie, suchość w ustach, wrażliwość na światło, podniecenie, zaburzenia seksualne, uszkodzenia oczu, niekontrolowane drżenie kończyn spowodowane nieodwracalnym uszkodzeniem systemu nerwowego. To są uboczne skutki.

Starzec przerwał, dopiero teraz Anna zobaczyła, że ma otwarte oczy, a białka jego oczu były wywrócone. Nie widziała źrenic, a same białka. Zadrżała. Ogarnął ją niepokój. Nagle poczuła, jak Dominic dotyka jej ramienia.

– Tato często przewraca oczami – uspokajał ją Dominic.

Po kilku chwilach oczy mężczyzny już były na miejscu.

Anny jednak nie opuścił strach.

– Do rzeczy. – Staruszek jakby oprzytomniał. – Jak tu było kiedyś? Strasznie. Straszne rzeczy się tu działy. To miejsce jest przesiąknięte krwią niewinnych ludzi. Połowa z nich wcale nie była chora. To my ich zniszczyliśmy.

– Wy?

– Każdy z nas, kto tu pracował. Niektórzy się na to nie godzili, ale nic nie robili. Przychodzili do pracy dzień w dzień obojętni na cierpienie tych ludzi. Do zła można przywyknąć. Niektórzy z nas tu mieszkali z rodzinami. Były oddzielne budynki dla pacjentów i oddzielne wille dla personelu.

– A pan?

– Nie mówimy o mnie – zachnął się starzec. – Najpierw lekarze podawali pacjentom leki otepiające umysł. Jeśli któryś się stawiał, stosowano elektrowstrząsy.

– Dobrze, że teraz tego nie stosują...

– Och dziecinko, mało wiesz... Zbyt mało... Ponownie wracają do łask, ku uciesze lekarzy

sadystów. Dowiedziono, że odpowiednio przeprowadzony elektrowstrząs jest jedną z najbezpieczniejszych i najskuteczniejszych metod leczenia. Przepuszczenie przez mózg pacjenta prądu elektrycznego jest dziś stosowane w leczeniu depresji i schizofrenii. Obecnie zabieg ten wykonuje się jednak pod znieczuleniem i po podaniu środka na zwiotczenie mięśni, dzięki czemu chory nie rzuca się w drgawkach. Początkowo leczenie elektrowstrząsami było stosowane bez znieczulenia i powodowane przez nie konwulsje były tak gwałtowne, że często następowały złamania kości. Ale elektrowstrząsy to nic... Stosowano też inne metody „leczenia”. To miejsce było miejscem bólu, tortur i eksperymentów. Pracowali tu szaleńcy. Doktor Gledhill był jednym z nich. Swoich podopiecznych traktował jak króliki doświadczalne. Ludzie mówili o nim, że to diabeł, który nie potrzebuje snu. Był w pracy od świtu do nocy. Przecierał przekrwione oczy i krążył po szpitalnych salach. Wierzył, że choroby psychiczne powoduje infekcja. Wyrywał pacjentom zęby, usuwał „chore” organy, by ich „uleczyć”. Tylko kilku jego pacjentów przeżyło.

Chorych gwałcono, obrażano, torturowano psychicznie i fizycznie i zmuszano do „leczenia” narkotykami. Fundowano im też kąpiele w lodowatej wodzie. Ale najstraszniejsza była lobotomia. – Starzec splunął do spluwaczki gęstą flegmą. Anna poczuła, jak robi jej się niedobrze. – Wiesz, co to jest?

– Obiło mi się o uszy. – Anna zaczęła szybciej oddychać. Czowała się słabo.

– Po tym zabiegu jesteś otepiała do końca życia. Nie jesteś sobą. Jest to zabieg chirurgiczny polegający na przecięciu włókien nerwowych, którymi połączone są płaty czołowe mózgu.

Anna poczuła, że zaraz zwymiotuje. Odchyliła do tyłu głowę.

Dominic podał jej szklankę wody.

Dziewczyna wypła duszkiem.

– Nikt nie próbował stamtąd uciec? – zapytała po chwili. – Mówił pan, że byli też tam zdrowi ludzie.

– Ucieczka była czystym szaleństwem, zbyt pilnie kontrolowano pacjentów. Sanitariusze, strażnicy, pielęgniarki, lekarze – wszyscy pilnowali pacjentów i siebie nawzajem. Ale zdarzali się tacy śmiałkowie. Jeden z nich próbował przedostać się przez mur. Złapali go. Zamknęli go w pierwszym bloku. Długo bili, potem podali elektrowstrząsy, a następnie przez kilkanaście dni dawali mu zastrzyki z siarki. Dopiero po dwóch miesiącach przypadkowo się na niego natknąłem. Wyglądał jak starzec, mimo iż był młodym chłopkiem. Jego skóra była pożółkła, a oczy zapadnięte i błyszczące. Zastrzyki z siarki... Wywoływały niezwykle silne bóle, dreszcze i wzrost temperatury powyżej czterdziestu stopni. Używano także aminozyny, pod wpływem której człowiek wpadał w ośpienie, senność, a w efekcie tracił pamięć i dostawał marskości wątroby. Pomocny w „leczeniu” opornych okazywał się też haloperidol, lek, który w małych dawkach służył do leczenia alkoholizmu, a w dużych wywoływał halucynacje, sztywność mięśni, trudności w mowie, ogólne oszołomienie, apatię i chorobę Parkinsona.

– I personel nie reagował? Nie mogę w to uwierzyć. Chyba musieli tam też pracować normalni ludzie. Ludzie, którzy mają w sobie chociaż odrobinę empatii.

– Byli... Jedna z siostr doniosła na szpital na policję. Mieli zapewnić jej anonimowość. Któregoś poranka, kiedy przyszła do pracy, złapało ją dwóch sanitariuszy. Od stóp do głowy obwiązano ją skręconym prześcieradłem i rzucono na łóżko. Wylano na nią kilka wiader lodowatej wody. Materiał, schnąc, kurczył się i powodował przeraźliwy ból i pieczenie ciała. Straciła przytomność. Ocucili ją wiadrem lodowatej wody. Rozluźnili pęta. A kiedy kobieta zaczęła dochodzić do siebie, zawinęli ją z powrotem. Wieczorem, po godzinnym jej wyciu, rozwiązali ją i zgwałcili. A potem słuch o niej zaginął.

– Boże jedyny. – Anna jęknęła.

– Nie było się komu skarżyć. Każda skarga lądowała w historii twojej choroby, rozpatrywano ją jako dowód twojego szaleństwa. Obojętność, cynizm i okrucieństwo lekarzy, pielęgniarek, sanitariuszy oraz strażników powodowały, że nawet policja bała się tutaj przychodzić. Panowała samowolka, a ludzie tu pracujący byli gorsi od zbrodniarzy wojennych.

– Skąd pan to wszystko wie? – Anna była przerażona. – Jak na strażnika to chyba za dużo...

Starzec zaczął się śmiać. Jego śmiech był skrzeczący, wręcz przerażający. Wyglądał, jakby sam

stracił rozum.

– To ja już pójdę. – Anna wstała. Bała się. Strach rozlał się po całym jej ciele.

– Jeśli chcesz.

W tej samej chwili światło zgasło.

– Wysadziło korki, to częste – powiedział Dominic.

Anna bez namysłu chwyciła za klamkę i wybiegła z wartowni.

– Stój! Stój! Odwiozę cię! – krzyczał Dominic, a ona biegła co sił w nogach.

Kiedy się zatrzymała, była już na ulicy. Odetchnęła z ulgą. Światła latarni oświetlały drogę i nadjeżdżające samochody. I wtedy zobaczyła białego vana. Serce zatłukło jej się w piersiach. Zwolnił. Światło latarni padło na szoferkę. Głos uwiązał Annie w gardle. W środku nie było kierowcy. Nie, to niemożliwe. Van przejechał, a ona stała jak zahipnotyzowana.

Następnego dnia rano Anna usiadła przy łóżku lady Abigail.

– Co się stało? – Lady Abigail zobaczyła przerażenie w oczach młodej kobiety.

– Byłam tam.

– Widziałaś starego? – zapytała, marszcząc brwi.

– Chodzi pani o ojca strażnika?

– Tak.

– Widziałam.

– Opowiedział ci o wszystkim.

Anna głośno przełknęła ślinę.

– Opowiedział.

– Wioska szpitalna została wybudowana w 1902 bądź w 1904 roku, dokładnie nie pamiętam. Był to największy ośrodek psychiatryczny w okolicy, ba, potem w całej Szkocji i w Europie. Ja nie wiem, czy dobrze, że mama tam trafiła. Ojciec wywiózł ją pewnej listopadowej nocy. Powiadomił nas o tym następnego dnia rano. Na wszystko było już za późno. Tatuś miał znajomości, wpływy. Zrobiono z mamy obłąkaną. Wiedziałam, że coś dzieje się z nią niedobrego, ale to nie była schizofrenia, tego byłam pewna. Na szczęście mogliśmy z Liz odwiedzać mamę. Raz nawet chcieliśmy ją wyprowadzić ze szpitala, ale nas powstrzymano. Mama była otumaniona lekami, ale ponoć to dlatego, że często była agresywna. Może to i prawda? Raz podczas wizyty widziałam, jak mama rzuca się na pielęgniarkę. Próbowwała ją dusić, krzycząc, że ta zabrała jej syna. Zlecieli się sanitariusze i zaczęli mamie wyginać ręce, jeden ją uderzył. Kiedy krzyknęłam z przerażenia, opamiętał się. Ale co się działo, kiedy nas tam nie było? Nie wiem.

Ojciec zapewniał nas, że nic takiego się nie dzieje, że to najlepszy szpital w okolicy, że mama jest chora na głowę i nic jej już nie pomoże, że załatwił jej to miejsce i powinniśmy się cieszyć, że zechciano ją tam przyjąć. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. I kiedy w końcu z Liz doszliśmy do wniosku, że musimy mamę stamtąd koniecznie zabrać, ona umarła.

Po śmierci mamy, kiedy ojciec się upił, wykrzychał nam, że to za karę matka znalazła się w szpitalu. On nigdy nie wybaczył jej zdrady.

– Ale tato, ona traciła zmysły. – Liz nie mogła złapać tchu.

– Wiesz, jak łatwo złamać jest człowieka? Wiesz? Pod wpływem różnych substancji człowiek wyprawia różne rzeczy, różne. – Rzucił pustą szklanką o ścianę. Szkło rozbryzgało się na wszystkie strony. – Miała nie mówić ci o synu! – Wystrzelił we mnie palcem.

Liz zrobiła wielkie oczy.

– Jakim synu? – Liz nie wiedziała, o co chodzi.

– Potem ci opowiem.

– Twoja matka, droga Liz, puściła się i urodziła bękarta. – Ojciec zaśmiał się szyderczo.

– Co jej zrobiłeś, tato? – Rzuciłam się na niego z pięściami.

– Sama sobie to zrobiła. Sama.

Domyślałam się, że ojciec mógł dosypywać mamie różnych środków, narkotyków, które

doprowadziły ją do obłądu. Wściekł się, kiedy podsłuchał naszą rozmowę, w której mama wyznała mi swój sekret. Bo to od tego czasu z mamą działy się różne dziwne rzeczy. Ojciec miał rację, łatwo z normalnego człowieka zrobić czubka.

Ojciec zmarł rok później, zapisując nam pokaźny majątek. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest bogaty. Miał kilka mieszkań, tę posiadłość. Początkowo żadna z nas nie chciała tutaj mieszkać. Myślałyśmy o sprzedaży. W końcu wynajmowałyśmy dwór. Na stare lata ja tu zamieszkałam.

Lady Abigail przerwała opowieść. Pociągnęła kilka łyków wody.

– Byłam tam.

– W szpitalu?

– Tak, już po jego zamknięciu...

– I?

– Kiedy tylko tam weszłam, poczułam, że trafiłam do nieznannej mi dotąd krainy. Poczułam przerażające zimno, które wniknęło pod płaszcz i sweter. Zaczęłam się cała trząść.

Anna poczuła, jak sama drży. Wczorajsze popołudnie w szpitalnej wiosce było dla niej koszmarem.

Lady Abigail zakaszłała.

– Wokół mnie zaczęły krążyć zwiewne, niematerialne istoty o płynnych konturach.

– Widziała pani duchy? – Anna poczuła strach. Ostatnie wydarzenia, które rozegrały się w jej życiu, przerażały ją.

– Tak. Wyraźnie je widziałam. Przyspieszyłam kroku, a one leciały za mną.

– Czują się pani osaczona?

– Nie wtedy. Tym pierwszym razem nie.

– To był jeszcze drugi raz?

– Tak. – Kobieta skinęła głową.

– Ale wtedy ją widziałam...

– Kogo?

– Młodą kobietę, bez twarzy. Podeszłam w jej stronę, a ona zaczęła się głośno śmiać.

– Czy to wszystko, o czym pani mówi, jest prawdą?

Lady Abigail spiorunowała Annę wzrokiem.

– Byłaś tam. Wiesz, co to za miejsce.

– Tak, wiem. Ale w pewne rzeczy trudno mi uwierzyć.

– Nagle pojawiła się mama. Podbiegłam do niej, a ona znikła. Rozpłynęła się, a z nią zjawy. Chodziłam po szpitalnej wiosce kilka godzin, ale duchy się nie pojawiły. Zwierzyłam się Liz.

„O czym ty mówisz? Oszalałaś?” – siostra była przerażona moim wyznaniem.

„Chodź tam, ze mną”.

„Oszalałaś! Mózg płata ci figle”.

Nie uwierzyła. A ja zaczęłam tam chodzić systematycznie. Nic się nie działo. Żadnych duchów, zjaw. Ale zawsze ogarniał mnie w tym miejscu strach i czułam przerażające zimno, które przenikało do samych kości. Miesiąc po mojej pierwszej wizycie pojawiły się mroczne zjawy. Zaczęły tworzyć wokół mnie ciasny krąg. Chciałam się wydostać, ale nie mogłam. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

„Skrzywdziłaś mnie” – odezwała się młoda kobieta, ta sama, którą widziałam po raz pierwszy. Piękna postać, bez twarzy. I wtedy sobie przypomniałam ten głos...

Anna poczuła, jak pot ciurkiem spływa po jej plecach.

– Kto to był? – zapytała.

– Idź już. Jestem bardzo zmęczona. Bardzo...

Rozdział 36

Anna nie mogła uwierzyć, że przed bramą posesji stoi z walizką jej mama. Zmrużyła oczy, ale wzrok jej nie mylił.

– Mamo, co ty tu robisz? – Anka podeszła do mamy i uściśnęła ją.

– Jestem. Daj spokój, nie umiałam taksówkarzowi powiedzieć, gdzie mieszkasz. Mój angielski jest fatalny. Dobrze, że miałam zapisane na kartce. Sam sobie przeczytał.

– No i dobrze.

– A tam, dobrze, taki wstyd.

– Chodź do domu. Zimno. Długo tu stoisz?

– Od jakiejś godziny.

– Trzeba było zadzwonić. – Anna chwyciła maminą walizkę i otworzyła bramę.

– Jak niespodzianka, to niespodzianka.

Weszły do domu. Anna zaparzyła herbatę.

– To mów, dlaczego przyjechałaś? Coś się stało? Przecież wiesz, że planowałam przylecieć do Polski w odwiedziny, a ty tutaj?

– Miałaś taki smutny głos, jak ostatnio do mnie dzwoniłaś... – Mama przycupnęła na stołku. – Myślisz, że nie wiem, że coś nie tak?

– Skąd niby miałaś wiedzieć?

– Zawalił ci się świat?

Anka się rozplakała. Mama wstała ze stołka, przytuliła córkę, z krzaskiej torby wyjęła sękacza zawiniętego w brązowy papier.

– Co to?

– Sękacz, taki jak lubisz.

Anka wytarła rękawem ciekący z nosa glut.

– Będę miała grubą dupę. Jeszcze tego mi brakowało.

– Co tam dupa. Pies ją... no wiesz co.

– Jebał.

– Jebał – powtórzyła mama, dumna z siebie.

Kiedy herbata była już zaparzona, a mama pokroiła sękacza, przeszły do salonu. Otuliły się wełnianym kocem.

– Mamo, co jest? – zapytała Anna, patrząc na zatroskaną twarz swojej rodzicielki.

– Nie, to ja się pytam, co tobie jest?

- Był tu.
- Marcin?
- Tak.

– Cholerny dupek! – Mama się uniosła. – Po co ci głowę zawracał? Przecież on i żonaty, i dzieciaty.

- No tak. Nie chcę go już więcej widzieć.

Mama położyła dłoń na jej dłoni.

- Chcesz znać prawdę czy mam cię okłamać? – zapytała mamę Anka.
- Przespałaś się z nim?

Anka skinęła głową.

- No cóż. – Mama się zaczerwieniła. – Czasami trudno się oprzeć.

– Czasami człowiekowi odwala.

- Jak się czujesz?

– Do dupy.

- To nagotuję ci bigosu, co?

I czasami więcej nie potrzeba człowiekowi. Żadnych kazań umoralniających, tylko ta świadomość, że jest ktoś, kto cię rozumie. Stara się cię zrozumieć. Kto poklepie po plecach, wysłucha, wesprze, nagotuje tego cholernego bigosu, za którym tak naprawdę nie przepadasz. Jego obecność jest plasterkiem na wszystkie twoje zranienia.

- Mamo, a co u ciebie?

– A dobrze. Wiesz, że u mnie dobrze.

Mama zawsze taka była. Skupiona na dzieciach, potem wnukach... Zawsze dzielna, zawsze była tą, co brała wszystko na swoje barki. Szła do przodu, rozpychając się łokciami, ale nie dla siebie, tylko dla dzieci. I czasami Ankę to wkurzało, że wszyscy przed mamą, a ona gdzieś z tyłu, jak szara myszka. Bo dzieci, bo miłość jej życia, bo dom, bo jeszcze trzeba nagotować. Ile razy mama się źle czuła, a wstawiała i robiła dla nich śniadanie. Ile razy nie miała czasu dla siebie, a dla niej i Pawła zawsze ten czas znajdowała. I nigdy się nie skarżyła, a oni tak rzadko pytali, czy u niej wszystko w porządku, bo zakładali, że tak. A ona na pewno nie raz uśmiechała się przez łzy. I łkała po cichutku, w poduszkę. I Anka okłamała ją nie raz, a ona wiedziała, że kłamie, ale nic nie powiedziała. I razem z bratem ją zawiedli, a ona przeżywała gorzką kulę smutku. I była zawsze, dla swoich dzieci. Na straży, pod telefonem.

- Łykasz tran? – Z zamyślenia wyrwał ją głos mamy.

– Słucham?

- Czy tran łykasz?

– Nie.

– Niedobrze. Przywiozłam ci zapas tranu i witaminę D ci przywiozłam, bo słońca tu u was jak na lekarstwo.

- Mamo?

– Hm?

- Dziękuję. Kochana moja. – Anka się rozplakała.

– Znowu ci się przypomniał?

- Nie, pomyślałam o tobie. Masz wielkie serce. Wielkie serce.

– Po prostu jestem mamą. Twoją mamą.

Anna opowiedziała mamie o Marcinie i o tym, że myślała, że jest w ciąży.

- Ja go nigdy nie lubiłam – powiedziała mama, strzepując okruszki ze swojej szykownej bluzki.

– Kiedyś mówiłaś, że go lubisz.

- A co ci miałam powiedzieć, kiedy ty byłaś taka zakochana.

– No w sumie...

– Każda matka chce dla swojego dziecka jak najlepiej i chce, żeby to dziecko ktoś kochał i żeby ono kochało. I ja się cieszyłam, że kochasz, że czujesz to, co czułaś.

- Zostawił mnie dla innej.
- Widocznie się na tobie nie poznał. To kobieciarz był i tyle.
- Dobrze, że jesteś.
- Wiem.

Mama wiedziała, kiedy się pojawić, a kiedy usunąć się w cień. I tym razem też przyleciała do Szkocji, bo wyczuła, że córka jej potrzebuje. I wtedy po rozstaniu z Marcinem, kiedy Anka wzięła dwutygodniowy urlop z pracy. Kiedy leżała na łóżku w przepoconej piżamie, z pozlepianymi włosami. Z łzami zaschniętymi na policzkach, to mama przy niej była.

– Co tu robisz? – zapytała mamę Anka sobotniego wieczoru, kiedy mama weszła do jej kawalerki. Miała klucze „na wszelki wypadek”.

- Jestem.
- Miałś być z tatą w teatrze.
- Poszła ciocia Terenia zamiast mnie.
- Dlaczego?
- Dlatego. – Mama ręką zatoczyła krąg. – Widzę, że u ciebie jest źle. Wyglądasz jak tyś się nieszczęść.

- Bo tak się czuję.
- Umyję cię.
- Słucham?
- No skoro nie jesteś w stanie sama się umyć, to ja to zrobię.
- Mamooo... – Anka jęknęła. – Nie jestem dzieckiem.
- Ale skoro nie masz siły.
- Mam. Owszem, że mam.
- Nagotuję ci. Schudłaś.
- Ostatnio jem lody.
- Lody?
- Mamo, po co to wszystko?
- Spójrz na siebie. Doprowadziłaś się do takiego stanu przez jakiegoś faceta.
- Wiem. Dno osiągnęłam, kiedy pijana zaczęłam do siebie gadać. Po czym wyszłam w piżamie do sklepu na rogu po kolejną flaszkę.

- I po co?
 - Serce mi pęka.
- Mama podeszła i ją przytuliła.
- Co mi powiesz? Co poradzisz?
 - Nic.
 - Słucham? – Anka oczekiwała jakichś złotych rad, środków na złagodzenie bólu.
 - Po prostu musisz się z tym sama uporać. Ja czy ojciec możemy cię wspierać, ale sama musisz to przeżyć.

- Chyba chcę być sama.
- Nie rób tego. Nie odsuwaj się od nas. W samotności przychodzą do głowy głupie rzeczy.
- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może ja wcale nie potrzebuję pomocy?
- A tobie, że nie chcę cię stracić?

Anka podniosła wzrok na mamę. Po jej policzkach spływały łzy.

Następnego dnia po wizycie w szpitalu u lady Abigail Anka wzięła mamę na wycieczkę po Edynburgu. Po kilku godzinach łożenia weszły do kawiarni.

- Zapraszam cię na dobrą kawę – powiedziała Anka.
- A nie mogłybyśmy w domu wypić? Szkoda pieniędzy.
- Ale tutaj masz klimat i masz kawę z pianką.
- No, tak, no tak. – Mama kręciła się nerwowo.

- Ja stawiam.
- A ile taka kawa będzie kosztowała?
- Mamo, siadaj.

Usiadły przy stoliku w głębi sali.

– Mamo, czy mogłabyś powiesić torebkę na oparciu krzesła, a nie trzymać jej na kolanach jak baba z bazaru.

- Doprawdy? – Mama się roześmiała.

Anna zamówiła cappuccino z sokiem karmelowym i czekoladą.

Mama siorbnęła.

- No i jak? – zapytała Anka.

– W domu też dobra.

– Oj, ty z tym domem.

– A ile to kosztuje?

– Trzy funty.

– Piętnaście złotych. O Jezuuu – jęknęła mama.

– Nie przeliczaj, bo zwariujesz. Ja zapłacę. A zjesz coś?

– A w domu ci nagotuję. Macie tu kapustę kiszoną?

– W Tesco i polskim sklepie jest. Ale ja nie chcę, byś mi gotowała, chcę, żebyś odpoczęła.

– To pójdziemy do polskiego sklepu. – Nie dawała za wygraną mama.

– Mamo, co jest?

Rozdział 37

W środowy ranek Anna odwiozła mamę na lotnisko, po czym pojechała do szpitala. Była dziesiąta, tuż po śniadaniu, którego lady Abigail nawet nie tknęła.

– Może panią nakarmię? – zapytała dziewczyna.

– Nie jestem głodna.

– Musi pani coś jeść.

– Nie muszę. – Lady Abigail uśmiechnęła się niemrawo. – Wyczytałam gdzieś, że kiedy człowiek umiera, zwalnia jego metabolizm.

– Niech już pani przestanie z tym umieraniem.

– Siadaj, chyba chcesz wiedzieć, co się dalej wydarzyło.

– Pewnie, że chcę, w końcu po to tu przyszłam.

Kobiety się roześmiały.

Rok 1955

Waldek wiedział, że tak dalej nie może żyć. Kochał Marysię, a Abigail była jego żoną. Jednak wiedział, że na którąś z kobiet musi się w końcu zdecydować, bo inaczej zwariuje. Któregoś dnia poszedł do parku. Tego samego, do którego chodzili z Marysią. Nie widział jej od kilku tygodni. I w końcu ją zobaczył. Siedziała na ławce, z twarzą wyciągniętą do słońca. Był początek marca, dość ciepło, słonecznie. Schował się za drzewem. Początkowo chciał do niej podejść. Wszystko wyjaśnić. Tylko w sumie co miał jej wyjaśniać? Nadal był małżonkiem Abigail i nadal nie zdecydował się jej opuścić. Nie chciał po raz kolejny ranić Marysi.

Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Cały świat wokół niego zniknął, znów był w Polsce. Biegał z Marysią po łące usianej makami. Było ciepłe sierpniowe popołudnie. Odnalazł w sobie tego radosnego mężczyznę, którym wówczas był.

Marysia wyglądała przepięknie w bursztynowym blasku słońca. Jej twarz była rumiana, włosy lekko splątane przez wiatr, długie. Opadały na ramiona. Usta pełne, w kolorze dojrzałych malin. Oddałby wszystko, by je znowu pocałować. Tyle razy je całował. Mógłby wyjść z ukrycia, ale po co? Danie komuś nadziei, a potem zdeptanie jej jest najdotkliwszym ciosem.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Z dala od wspomnień, od tych wszystkich uczuć, jakie budziła w nim Marysia.

Tego wieczoru Waldek spotkał się ze swoim dawnym kompanem Jankiem. Janek był już żonaty z Brytyjką, Kate. Mieli dwójkę dzieci, bliźniaki.

Poszli do pubu. Waldek pił dużo. Chciał się upić, ale jakoś mu nie wychodziło. Zachował jasność umysłu. Zaczął się zwierzać Jankowi. Tamten zapalił papierosa i wydmuchał dym.

– Hmmm – westchnął Janek. – Masz prawo mieć kochankę. Wielu mężczyzn je ma. Tylko twój problem polega na tym, że ty zakochałeś się w swojej kochance i najchętniej byś się z nią ożenił.

– To prawda.

– Ja też nie kocham swojej żony.

– Ale ja nie powiedziałem, że nie kocham Abigail. Podziwiam, szanuję, byłem w niej szaleńczo zakochany, ale Marysia... Z Marysią czuję się jak w domu.

– Musisz o niej zapomnieć. Masz obowiązki jako mąż i ojciec.

– Myślisz, że to takie proste? – Waldek bębnił palcami w stół.

– Oj, Waldek, Waldek. Zawsze byłeś takim romantykiem. Za dużo w tobie jest miłości. Mógłbyś nimi obdarować kilka kobiet. Szkoda, że ty myślisz sercem, zamiast fiutem. – Janek się zaśmiał.

– Żałuję, że ci o tym wszystkim powiedziałem. – Waldek poczuł odrazę do kumpla.

– Przynajmniej ci trochę lżej na duszy.

– Już sam nie wiem, czy lżej, czy ciężiej.

Waldek nie spotykał się z Marysią przeszło pół roku. To było sześć miesięcy męczarni. Po sześciu miesiącach nie wytrzymał i ruszył w stronę mieszkania na Nicolson Street. Szedł z zamiarem oznajmienia dziewczynie, że zdecydował się porzucić rodzinę. Był gotowy poświęcić wszystko, co miał, dla niej. Nogi mu się trzęsły, a serce biło jak szalone, jednak podjął męską decyzję i nie było odwrotu.

Spotkał Marysię przy drzwiach sklepu, na rogu Nicolson Street i Albert Street. Kobieta spojrzała na niego z pewną dozą czułości i żalu.

Waldek uśmiechnął się do niej.

– Co ty tutaj robisz? – Była wyraźnie zdenerwowana.

– Przyszedłem do ciebie. – Wyciągnął w jej kierunku rękę. W tej samej chwili sklepowe drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki chudy mężczyzna.

– Marry, idziemy – powiedział do Marysi.

– Cześć. – Marysia skinęła głową.

– Kim jest ten facet? – zapytał po polsku Waldek.

– Moim narzeczonym. Za dwa miesiące ślub.

Marysia wyciągnęła w stronę Waldka rękę. Na jej serdecznym palcu widniał pierścionek.

Waldek stał oniemiały, kiedy para odchodziła w stronę centrum. Ogarnęła go wściekłość. Jak ona mogła mu to zrobić? Im zrobić? Tak szybko się uwinęła? Potem zdał sobie sprawę z tego, że Marysia nigdy do niego nie należała. Może przez te kilka chwil w Polsce. A potem ich drogi się rozeszły. Jednak teraz chciałby ją zatrzymać przy sobie na zawsze. Z sercem ociążalym smutkiem ruszył do swojego domu, gdzie czekali na niego żona i syn.

Dzień później portier w magazynie przekazał Waldkowi list. Kiedy mężczyzna zobaczył równe, staranne pismo na kopercie, zadrżał. Rozerwał kopertę. W środku była kartka, na której Marysia po polsku napisała informację: „Spotkajmy się jutro w Cafe Amour, o szóstej”.

Tylko tyle wystarczyło, by jego życie znów się rozświetliło. Tej nocy Waldek nie mógł spać. Nie mógł doczekać się następnego dnia, kiedy zobaczy Marysię. Przewracał się z boku na bok, a godziny wlekły się w nieskończoność. W końcu zasnął, ale obudził się już o świcie. Na dworze było mgliście i mokro. Nie zjadł śniadania. Jego żołądek był ściśnięty z nerwów. Wyszedł do pracy z ciężkim sercem. Marzył, by te osiem godzin minęły mu jak najszybciej.

Za kwadrans szósta Waldek siedział już przy stoliku w kawiarni. Jego serce galopowało niczym młody żrebak. Był tak zdenerwowany, że wziął w ręce serwetkę i zaczął ją rwać. Opanował się dopiero wtedy, kiedy kelner rzucił w jego stronę karcące spojrzenie.

W pewnym momencie drzwi się otworzyły i do kawiarni weszła Marysia. Od razu go zauważyła.

Uśmiechnęła się na jego widok i podeszła do stolika.

– Jesteś? – zapytała, jakby to nie było oczywiste.

– Jestem.

Zdjęła płaszcz i powiesiła na oparciu krzesła. Usiadła naprzeciwko Waldka.

– Wiesz, że zawsze zajmowałeś w moim sercu pierwsze miejsce? – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Waldek poczuł, że się czerwieni.

– Ale nie mogłam czekać w nieskończoność. Tyle zrobiłam dla ciebie, dla nas... Ale ty...

– To skomplikowane. – Waldek ujął jej trzęsące się dłonie w swoje. Kciukiem gładził wnętrze jej dłoni. To była ich chwila intymności.

– Tak, życie bywa skomplikowane.

– Podać coś? – Przy ich stoliku pojawiła się kelnerka.

– Dwie kawy poprosimy – powiedziała Marysia, decydując za Waldka.

– Dlaczego wychodzisz za męża?

– Bo miałam dość czekania. Odszedłeś tak nagle. Drugi raz. Płakałam kilka tygodni, a ty nie dawałeś znaku życia. Byłam kilka razy pod twoim domem. Widziałam was razem...

– Zrozumiem...

– Nie, Waldek, ja nic nie muszę rozumieć. Nie chciałam dłużej czekać nie wiadomo na co i cierpieć.

– To nie powód, by się zaręczać.

– Chcę mieć dzieci, a potem wnuki... Za dwa miesiące biorę ślub.

– Wtedy przy sklepie...

– Tak? – Marysia przekrzywiła głowę, nie spuszczać z Waldka wzroku.

– Szedłem do ciebie... Chciałem ci powiedzieć, że odchodzę od Abigail.

– Naprawdę? – W oczach Marysi pojawił się smutek.

– Tak.

– Zbyt długo zwlekałeś.

– Jesteś szczęśliwa? – To pytanie wyrwało się Waldkowi mimo woli.

– Jestem, na swój sposób.

– Kłamiesz.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie chciałybyś się dzisiaj ze mną spotykać, gdybyś była. Jeśli kogoś kochasz, to jesteś lojalna.

– Ty nie byłeś. Wiesz, jak ja się wtedy czułam? Znów mnie zostawiłeś... Ale w sumie... Co się dziwić... Wyczarowaliśmy swoją prawdę. Tak, to była nasza prawda, która dla innych była kłamstwem. A potem odszedłeś. Drugi raz, Waldek. Wiesz, jak bardzo cierpiałam? Stałam w strugach deszczu i zadawałam sobie pytanie: Jak można zranić serce, które tak mocno kocha?

– Wiem, ale zrozum, mój syn.

– Staralam się ciebie zrozumieć. Nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo kochasz syna.

– Chodźmy się przejść. Wyjdźmy stąd.

Złapali autobus, który zawiózł ich do Balerno. Wyszli na ostatnim przystanku i ścieżką ruszyli w stronę Pentland Hills. Wokół panowała cisza. Na szlaku nie było nikogo. Doszli do jeziora. Marysia spojrzała na wzgórze.

– My umrzemy, a te góry nadal będą – powiedziała.

– Dlaczego o tym mówisz? – zapytał zaskoczony Waldek.

– Bo to prawda.

Wiał lodowaty wiatr, który przeszywał ich ciała do szpiku kości.

– Co z nami będzie? – zapytał Waldek.

– Nic.

Waldek spojrzał na Marysię. Wziął jej lodowatą twarz w swoje ręce i namiętnie pocałował. Nie

oponowała.

– Kochałeś mnie wtedy w Polsce? Czy byłam dla ciebie tylko chwilą zapomnienia?

– Byłaś dla mnie wszystkim. Wszystkim, rozumiesz? Miłością, pragnieniem, zapomnieniem.

Tęczę na niebie... Kochałem cię od pierwszego wejrzenia i nie przestałem kochać ani przez chwilę. Chyba nigdy nie przestanę.

– Waldek, co my najlepszego zrobiliśmy?

– Nie wiem. Sam nie wiem... Muszę cię widywać. Inaczej zwariuję.

– Ja też. Kochany. Ja też... – Marysia łąpczywie zaczęła całować Waldka.

Kiedy ochłonęli, Waldek zapytał:

– Dalej pracujesz u Ruth?

– Tak. – Skinęła głową. – Będę tam mieszkała do ślubu.

– Zerwij zaręczyny...

– Nie możesz mnie o to prosić, dopóki sam nie zakończysz związku.

– Odejdę od Abigail. Jestem na to gotowy. Podjąłem już decyzję.

Rozdział 38

Rok 1955

– Co ty wyprawiasz? Nie jestem świnia, żebyś wpychała mi łyżkę do gardła! – krzyknęła Ruth na Marysię.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Ja też nie. – Stara kobieta wytarła twarz serwetką. – Po prostu myślałam, że się zakrztuszę.

– Przepraszam – powtórzyła Marysia.

– No, dobrze już, dobrze – zreflektowała się Ruth. – O co chodzi? Problemy z narzeczonym?

– Nie... Ale sama już nie wiem, czy go kocham.

– E, tam! – zachnęła się Ruth. – Miłość... – Staruszka dźwignęła się na łokciu. – Szukałam jej latami i nie odnalazłam. A teraz jestem sama na łasce i niełasce innych ludzi. Miłość, ta namiętna, prowadzi w ślepe zaułki.

– Skąd pani o tym wie?

– Byłam zakochana.

– Naprawdę?

– Wiem, trudno uwierzyć...

– Nie o to mi chodziło. – Marysia poczuła, jak się rumieni.

– O to, o to. Nie ma nic gorszego od miłości do żonatego mężczyzny. Obiecują wiele, a w zamian zostawiają cię ze złamanym sercem.

– Nie zawsze.

– W osiemdziesięciu procentach tak. Bo żona, bo dom, bo dzieci...

– Chce pani iść na spacer? – Marysia zmieniła temat. Nie chciała słuchać o tym, że żonaci mężczyźni łamią serca swym kochankom. Jej Waldek jest inny. Uciekną stąd. Zaczną razem wspólne życie. Wszystko od nowa.

– Chętnie.

– Przygotuję wózek. – Marysia ucieszyła się, że Ruth się zgodziła. Nie miała ochoty na pogawędkę.

Była niedziela, Abigail weszła do pokoju z tacą, na której stały filiżanki i dzbanek z herbatą.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do męża.

Ten burknął coś pod nosem.

– Znowu nie masz humoru? – Abigail miała dosyć chwiejnych nastrojów męża.

– Nie.

– To już chyba norma u ciebie.

Waldek wstał gwałtownie i wycelował w kobietę palec.

– Czym mam się cieszyć? Jestem z dala od Polski, w kraju, który mnie nie chce. Wykonuję pracę poniżej moich kwalifikacji.

– Twój kraj też cię nie chce. – Abigail przygryzła dolną wargę. Widziała wzburzenie w oczach Waldka.

– Jak śmiesz? Jak śmiesz? – Waldek zaczął chodzić po pokoju od drzwi do okna.

– Przestań być taki! – wybuchnęła Abigail. – Przestań się użalać nad sobą i mówić tylko, jak jest ci źle. Masz rodzinę, jesteś zdrowy, młody. Musisz wziąć się w garść. Rozumiesz?

– Nic nie muszę!

– Bo tego nie chcesz!

– A ty? Czego ode mnie chcesz?

Abigail usiadła i się rozplakała.

– Nie wiesz? – Spojrzała na męża załzawionymi oczami.

– Nie – powiedział Waldek, choć oczywiście zdawał sobie sprawę z pragnień żony.

– Kiedy cię poznałam, wiedziałam, że jesteś wrażliwy, uczuciowy, że chowasz w sercu ból. To przez wojnę, przez to, co nasz rząd zrobił wam, polskim żołnierzom – tłumaczyłam sobie. Staralam się ciebie zrozumieć. Mimo iż cierpiełeś, byłeś innym człowiekiem, takim, który pragnął miłości. Pragnął mnie. A teraz wszystko się zmieniło. Czasami myślę, że bardzo pomyliłam się w stosunku do ciebie. Pragnęłam cię. Dla ciebie poświęciłam moje rodzinne życie.

– Przykro mi.

– I tylko tyle chcesz mi powiedzieć?

– Jestem zdruzgotany. Potrzebuję wsparcia.

– Wspieram cię każdego dnia, nie bacząc na twoje humorki, zrozpaczoną minę. Kocham cię. Ale czasami miłość nie wystarcza.

Waldek wstał, dotknął policzka Abigail.

– Pamiętaj! – Odrzuciła jego rękę. – Jeśli kiedyś wpadnie ci do głowy pomysł, aby ode mnie odejść, stracisz też syna.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Stracisz syna! – powiedziała dobitnie.

– Jesteś taka sama jak twój ojciec. Umiesz tylko szantażować.

Abigail prychnęła.

– Krew z krwi. – Zaśmiała się pustym śmiechem.

– A co, jeśli już cię nie kocham?

Abigail podeszła do Waldka i przez zaciśnięte zęby wysyczała.

– Ale ja cię kocham. Za nas oboje. Kocham cię.

– Jesteś obłąkana! Jak twoja matka, która wylądowała u czubków.

– Może to też rodzinne. – Ręce Abigail zaczęły się trząść. – Sądy przyznają prawa do opieki matkom. Udowodnię, że to ty nas zdradzałeś. Poza tym jesteś Polakiem. Polackiem...

Waldek zamachnął się. Jego dłoń uderzyła w policzek Abigail. Kobieta poczuła piekący ból.

– Przepraszam, Abi. Przepraszam... – Waldek patrzył na czerwony ślad, który wykwitł na policzku żony.

Tamtego wieczoru Abigail wyszła z domu, zostawiając Waldka z dzieckiem. Czuła się tak bardzo samotna. Nic nie ciąży tak bardzo jak samotność. Weszła do baru, zamówiła drinka. Wypiła go duszkiem. Alkohol ogrzał jej spragnione miłości serce, rozluźnił napięte mięśnie. Rozejrzała się dookoła, jakiś mężczyzna grał na pianinie, kobieta o smutnych oczach śpiewała melancholijną piosenkę. Barman wyglądał na osobę, która ma wszystkiego dość. W powietrzu wisiał gęsty zapach dymu i kwaśnego piwa, wymieszany z potem przebywających tutaj ciał. Abigail wydawało się, że wszyscy bywalcy pubu są

smutni i zranieni.

– Cześć. – Abigail odwróciła się i zobaczyła przystojnego mężczyznę, o szerokich barkach, kwadratowej szczęce i pięknym uśmiechu. Miał dość ciemną skórę, kruczoczarne włosy i piwne oczy.

– Cześć. – Abigail się uśmiechnęła.

– Zamówić ci kolejnego drinka? – zaproponował mężczyzna.

– Jeśli chcesz. – Wzruszyła ramionami.

Mężczyzna zamówił drinka.

– Jestem Mateo. Pochodzę z Hiszpanii.

– Miło mi.

– A ty? Nie masz imienia?

– Czasami wolę być bezimienna.

Uśmiechnął się.

– Masz rację. Czasami tak jest lepiej. Nie widziałem cię tu wcześniej.

– Nie chodzę do pubów.

– Szkoda. Ale cieszę się, że dzisiaj tu jesteś.

– Jestem.

– Niech zgadnę, przez mężczyznę?

Abigail uśmiechnęła się słabo.

– Leczysz chore dusze?

– Znam się na ludziach.

– I na złamanym kobiecym sercu? – Kobieta wypięła duszkiem kolejną szklaneczkę. Alkohol zaczął szumieć jej w głowie.

– Podobasz mi się. – Mateo uśmiechnął się promiennie. – Ale wiem, że nie jesteś z tych kobiet, które można mieć na jedną noc.

– Dzisiaj chcę być taką kobietą...

– Nie... Będiesz potem jeszcze bardziej cierpiała. Wracaj do domu. Wszystko się ułoży. – Mateo dotknął policzka Abigail, zapłacił za drinka i wyszedł.

Abigail wybiegła za Hiszpanem.

– Chcę się z tobą kochać – powiedziała Abigail.

Mateo uśmiechnął się do niej.

– Nie wyleczysz złamanego serca, idąc do łóżka z obcym facetem.

– Dlaczego jesteś taki przyzwoity? – Zachwiała się na nogach, a on ją przytrzymał.

– Nie jestem.

– To zrobmy to.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak – skinęła głową.

Chciała, bardzo chciała, by jakiś mężczyzna ją pożądał, kochał, dotykał. Może wydawać się to chore, niemoralne, nieetyczne, ale są takie pragnienia, nad którymi trudno zapanować.

Abigail uprawiała seks z Mateo w jednej z ciemnych bram.

Łatwo wdała się w romans. Do Mateo oprócz pożądania nie czuła nic. Nawet nie wiedziała, czy go lubiła. Kochali się na klifach, w samochodzie, a nawet w jej małżeńskiej sypialni. Tak jakby chciała zrobić na złość Waldkowi. To wszystko przez brak dotyku, pocałunków, zainteresowania.

Mateo był jedynie złudzeniem. Co ciekawe, Abigail chciała mieć go tylko dla siebie.

– Mam narzeczoną w Hiszpanii – powiedział podczas kolejnej schadzki.

– Słucham?

– To, co słyszałaś.

– Ty zdrajco. – Cisnęła w niego zwiniętą w kłębek bluzką.

– Sama mówiłaś, że nie chcesz żadnych deklaracji.

W jednej chwili Abigail zaczęła żałować, że w ogóle go poznała.

– Nie kochasz mnie, ale nie chcesz mnie stracić i chcesz mieć tylko dla siebie. Gdzie tu logika?

Jesteś jak huba, która oplata drzewa i wypija z nich sok. Mężczyźni stronią od takich kobiet.

– Wypieprzaj! W tej chwili wypieprzaj z mojego życia!

– O co ci chodzi? – Mateo zmienił ton.

– O wszystko. – Abigail poczuła, że chce jej się płakać. Nie chciała jednak rozbeczeć się przy kochanku. Westchnęła głęboko. – Chciałam to na nowo poczuć. Ale to była tylko ułuda.

– Co chciałaś poczuć, Bella?

– Jak to jest, kiedy mężczyzna cię pragnie. Nic chcę o tym mówić...

Po krótkim romansie pozostało rozgoryczenie, obrzydzenie i jakiś taki żal.

Rozdział 39

Lady Abigail wypisała się ze szpitala na własne życzenie. Czuła, że koniec jest bliski i nie zamierzała spędzić ostatnich dni swojego życia z dala od domu. Anna opłacała pielęgniarkę, która codziennie przyjeżdżała do dworu. Lady Abigail leżała już tylko w łóżku.

– To nie koniec historii. – Stara lady dźwignęła się na rękach i wstała z łóżka.

– Niech pani nie wstaje. – Anna bała się, że kobieta znów upadnie.

– Ciii... Jeszcze te kilka kroków o chodziku przejdę. Mam w sobie siłę. Należę nam whisky. To, o czym chcę ci opowiedzieć, potrzebuje alkoholu. – Uśmiechnęła się. Ale to nie był radosny uśmiech. Tlił się w nim smutek i przygnębienie. – Rozpal w kominku, kochana, jakoś tu zimno.

Po kilku chwilach w kominku trząskał ogień, a w kieliszkach mieniła się whisky. Tego wieczoru huczał wiatr, a mewy skrzeczały za oknami.

– Nikt nigdy nie poznał tej historii. Nikt nigdy nie poznał mojej drugiej twarzy. Każdy ma drugą twarz, czy tego chce, czy nie. Człowiek jest dwulicowy i... Coś w nim pęka, kiedy ktoś sprawi mu ból. Pokazuje tę drugą twarz – demona.

Anna poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Otuliła się ciaśniej swetrem.

Lady Abigail pociągnęła spory łyk bursztynowego trunku.

– Waldek niczego nie podejrzewał? – zapytała Anna. Na jej twarzy wykwitł rumieniec.

– Nie, chyba nie... – Lady Abigail wypuściła powietrze z płuc. – On był tak zakochany w Marysi, że nie. Zresztą gdyby się dowiedział... Mój romans byłby mu na rękę.

– I co dalej? – Anna chciała się dowiedzieć, jak potoczyły się losy tych trojga ludzi.

– Dalej było tylko gorzej. Życie w kłamstwie, obłudzie jest fałszem i przynosi jedynie ból. Robak zżera tę zgniliznę.

Rok 1955

Waldek w pośpiechu pakował do walizki swoje rzeczy. Wrzucał je bez namysłu. „Im szybciej, tym lepiej” – myślał. Usłyszał skrzypnięcie. Wzdrygnął się. Spojrzał na drzwi, były lekko uchylone, ale nikogo tam nie dostrzegł.

Abigail przywarła do ściany. A więc jednak. Odchodzi, do tamtej. Zagotowała się. Kiedy? Dziś? Jutro?

Ogarnęła ją złość, po chwili wpadła w furię. Zeszła na paluszkach na dół. A potem trzasnęła frontowymi drzwiami, udając, że dopiero weszła do domu.

– To ty? – Rozległ się głos Waldka.

– Ja.

Waldek zbiegł po schodach.

– Dopiero wróciłaś? – Na jego twarzy malował się nieszczerzy uśmiech.

– Tak. Muszę biec do Liz. Odbierz Adama z przedszkola.

– Ale...

– Proszę. Proszę ten ostatni raz.

– Ostatni? – Waldek zmarszczył czoło.

Abigail się roześmiała. Pocałowała Waldka w policzek, odwróciła się na pięcie i wyszła. Wiedziała, że Waldek nie zostawi Adama. A ona zyska na czasie. Jeśli ona nie może mieć Waldka, to tamta też go nie będzie miała. Wilcza jagoda. „Jeśli ktoś kiedyś złamie ci serce, to podaj mu wilczą jagodę. Możesz ją dodać do konfitury” – przypomniała sobie słowa mamy.

„Mamo, ale o czym ty mówisz? Nikogo nie chcę otruć”.

„Nigdy nie wiesz, do czego jesteś zdolna, zanim ktoś cię nie skrzywdzi. Zanim nie skrzywdzi...”.

Wilcza jagoda, atropina – kołatało z tyłu jej głowy. Już dawno wiedziała, gdzie może to nielegalnie kupić. Wtedy, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się o Marysi, chciała go zabić. Żadna dziwka nie odbierze miłości jej życia. Bo przecież Waldek należał tylko do niej. Był jej mężem. Był wszystkim, tym, co kochała najbardziej.

Za duże pieniądze, które dostała za naszyjnik z pereł, kupiła towar od człowieka, o którym wiedziała, że handluje różnymi rzeczami.

– Czy pani wie, że dawka może być śmiertelna? Z tym – ruchem głowy wskazał na zawiniątko – nie ma żartów – powiedział.

– Wiem. – Uśmiechnęła się smutno. – Wiem.

Wróciła do domu po dwóch godzinach. Waldek bawił się z Adasiem.

– Zjesz lunch? – zapytała Abigail męża.

– Muszę iść. – Waldek wstał z podłogi.

– Dokąd? Myślałam, że masz dzisiaj wolne.

– Umówiłem się z Jankiem.

– Musisz coś zjeść. Zrobię ci tosta z konfiturami.

Waldek skinął głową. Po kilku chwilach Abigail podała na talerzu dwa tosty z konfiturą, do której dorzuciła truciznę.

Waldek wziął talerz i poszedł na górę. Wyrzucił tosty do kosza.

Zamierzał wyrzucić walizkę przez okno, a sam wyjść frontowymi drzwiami.

Kiedy otworzył okno, drzwi do sypialni otworzyły się i na progu stanął jego syn.

– Tatusiu, dokąd idziesz? – Adaś podszedł do Waldka i objął jego nogę. Mężczyzna podniósł chłopca do góry.

– Nigdzie. Otworzyłem tylko okno.

Błękitne oczy malca wpatrywały się w ojca. I w tym momencie Waldek już wiedział. Wiedział wszystko.

– Teraz pójde do kogoś, by mu coś wytłumaczyć, ale obiecuję, że wrócę, by przeczytać ci bajkę.

– Obiecuj.

– Obiecuję. – Pocałował malca.

– Zjadłeś? – zapytała Waldka Abigail, kiedy mężczyzna stał u drzwi frontowych.

– Tak. Talerz zostawiłem na górze. Przepraszam, że go nie zniosłem.

Abigail rozplakała się, ale Waldek nie miał czasu jej przytulić. Wybiegł z domu. A ona wiedziała, że widzi go ostatni raz. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, co zrobiła, ale było już a późno. Na wszystko za późno... Kiedy pęka serce, to ból przeszywa każdą, nawet najmniejszą cząsteczkę ciała. Piekący ból

atakuję wewnątrz twojego ciała.

* * *

Anna wstała gwałtownie. Serce tłukło się w jej piersi. Unikała wzroku lady Abigail, która wbiła w nią spojrzenie.

– Dorzucisz mi do kominka drewna, zanim pójdziesz do siebie? – zapytała starsza kobieta.

– Dobrze. – Skinęła głową. Podeszła do kominka i dorzuciła kilka drew.

Nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Wyjść? Zostać? Miała ochotę krzyknąć.

– Idź już, drogie dziecko, niepotrzebnie cię tym wszystkim obarczałam.

– Dobranoc. – Anna odwróciła się na pięcie. Nie wiedziała, jak ma sobie poradzić z tłukącymi się w jej głowie myślami.

– Anna?

– Tak? – Anna obróciła twarz w stronę starej kobiety.

– Czy sądzisz, że jestem złym człowiekiem?

Anna przelknęła ślinę.

Mimo iż Anka uważała, że to, co zrobiła lady Abigail, było obrzydliwe, to jednak nie przestawała darzyć ją sympatią. Kiedy Marcin ją rzucił, sama miała pragnienie, aby go zabić. A kiedy usłyszała, że się żeni, jedyne, o czym myślała, to jak się pozbyć rywalki. Czasami człowiek jest zdolny do różnych podłości. A kiedy kocha... Niekiedy traci rozum.

– Nie mnie panią osądzać. Nie mnie. – Młoda kobieta pokręciła głową.

– A co z nami?

Anna wzruszyła ramionami.

– Chcesz odejść? – Lady Abigail nie spuszczała z niej oczu.

– Nie.

– Nawet po tym, co usłyszałaś?

– Nie chcę. Zostanę z panią.

– Dlaczego?

– Bo obie siebie potrzebujemy. – Anna czuła obrzydzenie, ale coś w głębi serca podpowiadało jej, że musi zostać ze staruszką.

Anna przewracała się na łóżku z boku na bok. Nie zmrzyła oka całą noc. Lady Abigail otruła swojego męża. I to był fakt. W końcu się ubrała. Coś nie dawało jej spokoju. Wleciała jak petarda do salonu. Lady Abigail sączyła whisky.

– Zaraz, zaraz. – Z trudem łapała oddech. – A co z Marysią?

– Z Marysią... Dlaczego ona cię obchodzi?

– Chyba odegrała istotną rolę w tej opowieści.

– Tak, była moim nieszczęściem. Zgubą.

– Kobietą.

– Byłaś kiedyś zakochana, prawda? Opowiadałaś mi o swoim zranionym sercu.

– Tak, oczywiście.

– I powiedz tak z ręką na sercu, czy chciałaś, aby tamta kobieta nigdy nie pojawiła się w życiu twojego mężczyzny?

– Pewnie, że chciałam, ale... Ludzie wybierają. To Marcin dokonał wyboru, podobnie jak Waldek.

– Jesteś teraz taka mądra, bo to już po tych pierwszych emocjach... Zostałam sama z dzieckiem. A Marysia? Cóż, ona oszalała.

– Oszalała? Jak pani matka?

– Tak. Wiedziałam o tym szpitalu. Wiedziałam, co tam robią. Chciałam, by ta dziwka cierpiała.

– Mówiła pani... – Anka nie mogła tego wszystkiego ogarnąć. – Ten szpital... Byłam tam.
 – Tak, tylko że moja mama nigdy tam nie była.
 – Ale mówiła pani...
 – Kłamałam.
 – Dlaczego?
 – Może potrzebowałam się wybielić.
 – To co się stało z pani mamą?
 – Fakt, było z nią źle. Popełniła samobójstwo.
 – Przykro mi.
 – Mi też. Ale to Marysia przeżyła koszmar. To dla niej ta świeczka.
 – Ale mówiła pani, że pani ojciec... Że on wsadził mamę do psychiatryka?
 – Może to wymyśliłam. – Stara kobieta zaczęła się kołysać na boki.
 – Niedobrze mi od tych kłamstw. – Anka złapała się za głowę. Jej serce kołatało.
 – Mi też. Jestem nimi przesiąknięta. Przeklinam dzień, kiedy poznałam Waldka. – Zapatrzyła się gdzieś przed siebie. – Po śmierci Waldka Marysia pracowała jako sprzątaczką w hotelu na jednej ze szkockich wysp. Ta śmierć ją przybiła. Ponoć wykonywała swoje obowiązki jak w transie. Ukradła pieniądze gościowi w hotelu. A kiedy gość to zgłosił, zaczęła krzyczeć, że to nieprawda, że to spisek. Krzyczała „zabiję cię”. Została skazana na podstawie ustawy z 1890 roku, która pozwalała na karanie drobnych kradzieży zamknięciem w szpitalu psychiatrycznym.
 – Skąd pani o tym wszystkim wie?
 Lady Abigail wypiła duszkiem całą zawartość szklaneczki.
 – Bo to mi ukradła te pieniądze. To ja byłam gościem w tamtym hotelu.
 Anna zmrużyła brwi.
 – Pani jest szalona. Powinam to gdzieś zgłosić! – Anka podniosła głos. Była roztrzęsiona.
 – I co mi zrobią? Umieram... Zresztą twoje słowo przeciwko mojemu. Jesteś Polką, na obczyźnie.
 – Jestem człowiekiem. Który ma kręgosłup moralny. Ja... Ja nikogo nie zabiłam.
 – Ja też nie.
 – Ale mówiła pani...
 – Nie pozwoliłaś mi dokończyć. Myślałam, że go zabiłam, ale Maria wyjawiała mi prawdę.
 Stara lady zaczęła się śmiać. Anna była przerażona jej wybuchem śmiechu. Oczy lady zrobiły się szkliste.
 – Myślałam, że go zabiłam. Ale... Po kilku latach od śmierci Waldka w moim domu pojawiła się ona. Maria.
 „Wiesz... zastanawiam się, która z nas kochała go bardziej? A która bardziej nienawidziła?” – zapytała mnie wtedy Maria.
 „On od ciebie nie odszedł – dodała. – To mnie zamierzał porzucić”.
 „Ale przecież widziałam, jak się pakował”.
 „Tak, ale w końcu zrezygnował. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia”.

Rok 1955

Marysia czekała na Waldka na tyłach dworca autobusowego.

– Gdzie twoja walizka? – zapytała go, kiedy Waldek stanął naprzeciwko niej.

Waldek złapał ją w ramiona.

– Jedźmy – powiedział, ciągnąc ją w stronę autobusu.

– Dokąd?

Waldek nic nie odpowiedział, tylko wepchnął Marysię do pojazdu.

Dojechali na skraj miasta. W oddali rozciągał się las. Wysiedli.

- Ale tutaj? – Marysia nic z tego nie rozumiała.
- Waldek chwycił walizkę Marysi.
- Tutaj. Tak, to tutaj...
- Las? – Marysia była coraz bardziej zdziwiona.
- Chodźmy.

Marysia szła za Waldkiem. Weszli do lasu. Waldek ruchem głowy wskazał na powalony konar drzewa.

Usiedli.

- Nie mogę odejść od rodziny – oznajmił kobiecie.
- Słucham?
- Nie mogę ich zostawić. Mój syn... Adaś... On mnie potrzebuje. On potrzebuje mamy i taty.
- Wywiozłeś mnie do lasu, by mi o tym powiedzieć?
- Przepraszam. Chciałem ci o tym powiedzieć w miejscu, gdzie nie ma ludzi.
- Jak możesz? Jak możesz mnie tak zwodzić? – Marysia poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w spłot słoneczny. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu.
- Przepraszam... Przepraszam...
- A ja ci głupia uwierzyłam, kolejny raz. – Kobieta zaczęła płakać. – Dlaczego? – Łkała. – Zabawiłeś się moim kosztem! Ty draniu!

Wierzchem dłoni otarła łzy. A potem rzuciła się na Waldka z pięściami. Waldek stał jak słup soli, a ona go biła. Walila w niego pięściami.

Po kilku chwilach odpuściła. Odwróciła się, podeszła do walizki, zaczęła wywalać z niej ciuchy. W końcu znalazła to, czego szukała. Nóż. Złapała go mocno. Odwróciła się i ruszyła w stronę Waldka. On patrzył na nią i nawet nie drgnął. Wbiła mu nóż, tam gdzie kiedyś miał serce. Waldek osunął się i runął na ziemię.

- Waldek! Waldek! – Marysia jakby oprzytomniała i zdała sobie sprawę, co zrobiła.
- Uklękła obok niego. Głowa Waldka opadła na piersi. Ciało było nieruchome, bez oznak życia.
- O Boże! O Boże! Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?

Zaczęła szarpać ukochanym. Po chwili opanowała się i dotknęła szyi Waldka. Próbowała odnaleźć tętno, choć doskonale wiedziała, że na próżno szuka. Przytuliła się do niego całym ciałem. Krew sącząca się z rany pobrudziła jej płaszcz.

Sparaliżowana strachem, podniosła się z klęczek, wyjęła z piersi Waldka nóż, wsadziła go do walizki. Rozejrzała się dookoła. Musi ukryć ciało. Za wszelką cenę musi ukryć ciało. Myślała gorączkowo. Kilkanaście kroków dalej był dół. Tak. Wepchnie tam ciało i zakopie je ziemią, przykryje gałęziami i zgniłymi liśćmi. Waldek był ciężki, ale ona znalazła w sobie wystarczająco dużo siły, by wepchnąć go do dołu. Następnie niczym w transie zaczęła rękoma grzebać w ziemi. Zagarniać ją i wsypywać na ciało. Robiła to zwinnie i szybko. Nie czuła palców, a brudna ziemia wchodziła jej pod paznokcie. Kiedy zakopła ciało, udeptała ziemię. Nakryła ją gałęziami i liśćmi. A potem chwyciła walizkę i zaczęła biec przed siebie. Ściemniało się. A ona biegła, następnie wolno szła w stronę Edynburga. Zaczął padać deszcz. Lał się z nieba strumieniami. Do domu Ruth doszła nad ranem. Na palcach wślizgnęła się do pokoju. Ciężko opadła na łóżko. Co jeśli Waldek jeszcze żył? A ona nie potrafiła odnaleźć tętna? Mokre ubranie oblepiało jej ciało. Z włosów spływały strugi wody. Płaszcz był sztywny od krwi. Zdjęła go. Musi wszystko spalić w kominku, a nóż wyrzucić. Przebrała się, wrzuciła ubrania do kominka. Nie chciały się palić.

– Cholera! – zakląła głośno. Wyjęła je, dorzuciła więcej drewna. Ogień buchnął. Marysia podeszła do szuflady, wyjęła z nich nożyczki i zaczęła ciąć ubrania. Materiał płaszcz był mocny. Musiała więc włożyć dużo wysiłku, żeby go pociąć. Kiedy ubrania się spaliły, chwyciła nóż. Zaczęła go nerwowo wycierać o prześcieradło. Krew nie chciała zejść. Namoczyła prześcieradło i zaczęła wycierać nim nóż. Było na nim tyle krwi. Tyle krwi. „Muszę uprać prześcieradło” – odnotowała w myślach. Ubrała się, wsadziła nóż za pazuchę wełnianego płaszczu i wyszła na zewnątrz. Szła w stronę Meadows Parku. Kiedy doszła na miejsce, rozejrzała się. Nikogo nie było w pobliżu. Wyjęła nóż i wrzuciła go do

studzienki kanalizacyjnej, po czym odwróciła się i szybkim krokiem skierowała się w stronę Nicolson Street.

Na palcach weszła do siebie na górę. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Do tej pory była naładowana adrenaliną. Weszła do łazienki, obmyła twarz. Zaczęła szorować ręce. Myła jej tak długo, aż poczuła silne pieczenie dłoni. Zakręciła wodę i wytarła ręcznikiem.

„Co ja najlepszego zrobiłam? Co ja zrobiłam?”. Zaczęła szlochać. Padła na łóżko. W tym momencie drzwi się otworzyły. Stała w nich Ruth, wsparta na lasce. Marysia przestraszyła się.

– Co tu tak śmierdzi spalenizną? – zapytała Ruth, omiatając pokój spojrzeniem.

– Nie wiem. – Marysia nie wiedziała, co ma powiedzieć. Była zaskoczona najściem Ruth. Kobieta nigdy wcześniej nie zaglądała do jej pokoju.

– Czemu płaczesz? – zapytała Ruth.

– Problemy sercowe.

Ruth pokuśtykała w stronę Marysi. Usiadła na taborecie, opierając łaskę o nocny stolik. I nagle zatrzymała wzrok na prześcieradle. Marysia zamarła, obróciła pomału głowę w tamtą stronę. Rozszlochała się na dobre.

– Początek okresu – wymyśliła na poczekaniu.

– Ach, tak. Doprawdy? – Stara kobieta świdrowała ją wzrokiem.

Marysia kiwała głową, nie odrywając wzroku od zabrudzonego prześcieradła.

– Gdzie byłaś w nocy? – zapytała Ruth.

– Spotkałam się z narzeczoną.

– Ciekawe, ale John był tutaj o dwudziestej drugiej. Weszłam z nim na górę. Ciebie nie było.

Łóżko było pościelone. Skąd ta krew?

– Dostałam okresu. Teraz.

– Musisz odejść.

– Słucham? Nie mam dokąd. Ja... Ja... – Marysia nie przestawała płakać.

– Spal to prześcieradło. Gliny zaczną węszyć, a ja nie chcę być w nic zamieszana.

– Ruth, ja...

– Nie chcę o niczym wiedzieć. O niczym. Pomogę ci. Mam kuzynkę, mieszka na jednej ze szkockich wysp, na Ionie. Nikt cię nie będzie tam szukał. To miejsce, gdzie wrony zawracają. Niewielka społeczność. Eva prowadzi tam hotel. Będziesz jej pomagała.

– Nie wiemy, czy się zgodzi. – Marysia odzyskała przytomność umysłu. Wytarła łzy w rękaw.

– Zgodzi, zgodzi. Ma wobec mnie dług wdzięczności. Widzisz... – westchnęła Ruth. – Każdy z nas popełnił jakiś błąd. Jedni większy, drudzy mniejszy. Ludzie pomagają sobie tuszować sprawy.

– Dlaczego pani to robi?

– Co?

– Pomaga mi pani.

– Bo przez ten czas kiedy tu byłaś ze mną, to ty mi pomagałaś.

– Ale jak?

– Stałam na nogi. Nie pozwoliłaś mi zgnieć w łóżku. Nie mamy czasu do stracenia. Spal prześcieradło. Obetnij włosy.

– Dlaczego?

– Obetnij włosy. W kuchni, w kredensie, w górnej szafce jest farba.

– Po co mi farba?

– Żeby zmienić kolor włosów. No już, nie ma czasu. Ja muszę wyjść. – Ruth złapała łaskę i wstała.

– Ale dokąd?

– Załatwię kilka spraw. A ty nie otwieraj nikomu drzwi. Nie wychodź nigdzie. Rozumiesz?

– Ale?

– Bez dyskusji. – Ruth pokuśtykała w stronę schodów.

Marysia zrobiła, co jej nakazała Ruth. Obcięła włosy i pofarbowała je. Ruth wróciła do domu po

kilku godzinach. Zziębła i spocona. Wręczyła Marysi kopertę.

– Otwórz – nakazała dziewczynie.

Marysia rozdarła kopertę. Wyciągnęła z niej paszport i akt urodzenia.

– Swietłana Samelowa?

– Jesteś Rosjanką.

– Ja?

– Ty.

– To zdjęcie kobiety... – Marysia przyglądała się zdjęciu w paszporcie. – Jestem do niej podobna, ale...

– Na razie musi ci wystarczyć. Dużo mnie to kosztowało.

– Oddam pani wszystko, co do grosza.

– Nie chcę. Niepotrzebne mi pieniądze. Za godzinę masz autobus.

– Tak szybko?

– Nie masz czasu, Swietłana.

– Czy twoja kuzynka wie, że ja to Marysia?

– Nie. Dla niej będziesz Swietłaną i niech tak zostanie. I proszę cię o jedno, nie pojawiaj się już tutaj więcej.

– Obiecuję. Da sobie pani radę?

– Lubię spacerować... Bardzo lubię... – Uśmiechnęła się do Marysi Ruth.

Marysia dotarła do Iony po dwudziestej pierwszej. Zerknęła na kartkę z adresem. Po kilku chwilach była na miejscu. Westchnęła głęboko. Dom był nieduży, obok niego stał drugi, biały, większy z napisem „Bed and Breakfast”. Zatem tutaj będzie pracować. Zapukała do drzwi. W progu ukazała się przysadzista starsza kobieta. Uśmiechała się. Włosy miała siwe, zebrane w kok. Mimo tuszy w jej ruchach można było wyczuć lekkość.

– Jestem Eva Bayley.

– A ja Swietłana Samelowa.

Kobiety uściskały sobie ręce.

– Wejdz, bo zimno – zaprosiła Swietlanę Eva.

Swietłana weszła do środka. Na korytarzu rozchodził się zapach domowego jedzenia.

– Przygotowałam *steak pie* i *mash potato* z groszkiem.

– Bardzo lubię. Dziękuję.

Przeszły do kuchni. Marysia usiadła na taborecie.

– Jeśli chcesz skorzystać z łazienki, jest w korytarzu, pierwsze drzwi po prawo.

– Chętnie.

Marysia skorzystała z toalety, po czym umyła ręce. Kiedy spojrzała w lustro i zobaczyła swoje blade odbicie, jęknęła. Zachciało jej się płakać.

– Kim ja jestem? Kim ja jestem? Morderczynią.

Przełknęła gorzką ślinę, hamując mdłości.

W jednej chwili minęła jej chęć na zjedzenie czegoś. Jednak wiedziała, że musi zachowywać się normalnie. Splunęła do umywalki, po czym ochlapała twarz zimną wodą.

Musi zapomnieć. Musi. Inaczej zwariuje.

Przy kolacji Eva wyjaśniła Swietłanie, czym ta będzie się zajmowała.

– Odpowiada ci taka praca? Wiem, to nic nadzwyczajnego, ale...

– Dla mnie w porządku. Dziękuję.

– Możesz zacząć jutro?

– Tak. – Swietłana wiedziała, że jeśli chce zapomnieć, musi pracować. Dużo pracować.

– Dobrze, zatem pobudka o szóstej rano. Pomożesz przygotować mi śniadanie dla gości, a potem zajmiesz się sprzątnięciem pokoi.

Po posiłku Eva zaprowadziła Swietlanę do jej pokoju, w którym stało łóżko, dębowa szafa i komoda.

- Wiesz, gdzie jest łazienka?
- Tak. Już wiem. – Swietłana uśmiechnęła się niemrawo.

Swietłana szybko zaaklimatyzowała się u Ewy. Całe dni spędzała hotelu. Wieczorem padała zmęczona do łóżka. W nocy dręczyły ją koszmary, z których wybudzała się zlaną potem.

Mijały tygodnie, a ona wciąż nie mogła zapomnieć tego, co zrobiła.

Dni zamieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, a ona nie przestawała się bać. Wiedziała, że któregoś dnia przeszłość ją dopadnie. Ona zawsze wypływa. Kiedy człowiek oswoi się już z teraźniejszością, to przeszłość rozdrapuje zaschnięte rany pazurami.

Był sobotni dzień, Eva wysłała Swietłaną na zakupy. Dziewczyna szła pieszo poboczem, w rękę trzymając wiklinowy koszyk. Usłyszała za sobą nadjeżdżający samochód, który zwolnił. W jednej chwili poczuła strach.

– Dzień dobry. – Kierowca uchylił szybę i krzyknął w stronę Swietłany.

Odwróciła głowę w jego stronę bardzo powoli.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Mężczyzna był ubrany w policyjny mundur. Swietłaną ogarnęła taka panika, że myślała, żeby rzucić się do ucieczki.

– Podwieźć panią? – zapytał.

– Słucham?

– Podwieźć panią?

– Nie, dziękuję. Piękny dzień. Przejdę się.

– W takim razie miłego dnia. – Machnął do niej ręką na pożegnanie i odjechał.

Tego dnia Marysia podjęła decyzję: musi pojechać do Abigail i zobaczyć, jak kobieta sobie radzi. To było ryzykowne, ale konieczne. Jakiś głos w głębi jej duszy podpowiadał jej: musisz to zrobić. Waldek... On miał syna, którego kochał.

Rozdział 40

– Marysia przyjechała do mnie i wszystko mi opowiedziała – zaczęła lady Abigail. – Już wtedy mieszkałam tutaj. Dowiedziała się, gdzie mieszkam, i się zjawiła ... Przeszłość zapukała do mych drzwi.

– No dobrze, ale jak to się stało, że potem pojechała pani na wyspę, gdzie Marysia pracowała?

– Swoją adres też mi zostawiła. Naiwna dziewczyna. Naiwność, nienawiść i pycha – to uczucia, które zawsze prowadzą do zguby. Nie wiem, co ona sobie myślała: że wyjawi mi prawdę, a ja jej odpuszczę?

– Ale przecież na początku myślała pani, że to pani go zabiła. Zjadł zatrutą konfiturę?

– Nie wiem czy zjadł, czy nie. Może zabiłyśmy go we dwie? – westchnęła lady Abigail. – Ja już sama nie wiem, co mnie bardziej zdenerwowało – to, że to Marysia odebrała mu życie, czy to, że Waldek kochał ją bardziej ode mnie. I boję się, że to drugie. Gdyby nie nasz syn, on odszedłby do niej bez mrugnięcia okiem.

– Jak to się stało, że policja nie szukała Waldka? – zapytała Anna.

– Miałam wpływy, pieniądze, po ojcu zostały znajomości, także w policji. Nikt nie szukał ciała Waldka, już ja do tego nie dopuściłam. Myliłam tropy, mówiłam, że wyjechał do Polski. Byłam pewna, że to ja go zabiłam. A potem w moim domu pojawiła się ona, Marysia. Opowiedziała mi tę historię. Powiedziała, że pracuje w hotelu... Zjawiłam się w tym hotelu rok później. Mogłam jej odpuścić. Ale... Właściwie sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

– Jezuuu. – Anna jęknęła. Wszyscy byliście nieźle popieprzeni.

– Ludzie są bardziej popieprzeni, niż myślisz. A kiedy pęka serce, to ból przeszywa każdą, nawet najmniejszą cząsteczkę twojego ciała. Piekący ból atakuje wewnątrz twojego ciała.

Zbrodnie popełniane są pod wpływem silnych emocji albo przeciwnie – na skutek nagromadzonych latami obsesji, krzywd i upokorzeń. Niektórzy stają się zbrodniarzami z powodu opętania, obsesji, szaleńczej miłości. Te zbrodnie są najokrutniejsze, bo wydaje się, że kochasz, a równie mocno nienawidzisz. Nie dałabym głowy za nikogo, również za siebie. Lubimy myśleć, że nam udałoby się powstrzymać, ale niemal każdy w pewnych okolicznościach byłby zdolny do popełnienia zbrodni.

– To nie jest żadne wytłumaczenie.

– Nie, oczywiście, że nie... Ale taka jest prawda, takie jest życie.

Rok 1957

W szpitalu psychiatrycznym zmarła Maria Kujawska. Polka. Wiek dwadzieścia siedem lat. Półtora roku wcześniej została zabrana z hotelu pod eskortą policji i umieszczona w oddziale

zamkniętym. Zarzut: rozchwianie emocjonalne, kradzież pieniędzy, groźby karalne. Maria nie miała procesu. Prokuratora wysłała ją na badania, a biegli orzekli zły stan zdrowia psychicznego. Lekarze wysłali pismo do sądu i zlecili leczenie w psychiatryku.

To była dzielna kobieta. Broniła się przed złem, jakiego doświadczyła w szpitalu. Kiedy próbowała się bronić, dostawała podwójną dawkę leków i elektrowstrząsy.

– Bili ją? – Anna była oszołomiona tym, jak lady Abigail spokojnie wyznaje prawdę.

– Tego nikt nie powie. Ale tak. Pewnie tak.

– A pani syn? Co z Adamem?

– Adam zmarł piętnaście lat temu. Nigdy nie mieliśmy dobrego kontaktu. Po odejściu Waldka przestałam go kochać. Tak, to możliwe. On wyglądał jak Waldek, śmiał się jak Waldek. Wyczuwał moją niechęć. Wysłałam go do szkoły z internatem, a kiedy ją skończył, wyruszył w świat, był też w Polsce.

– Związała się pani jeszcze z kimś?

– Przez wszystkie te lata zbudowałam wokół siebie pancierz. W głębi mojego serca tkwią rany. Wyciągałam z nich kolce wspomnień bardzo długo. Bolało. Kochałam tylko jego. Przez długi czas liczył się tylko on. A potem przyszedł czas, kiedy musiałam zapomnieć...

– Miałam kilkunastu kochanków – ciągnęła lady Abigail. – Może nie prowadziłam się najlepiej, ale... Właściwie to niczyja sprawa osądzać moją moralność. Jedni byli niezdarni, dyszeli mi do ucha, tarmosili moje piersi, wchodzili zbyt szybko. Inni potrafili rozpalić mnie do czerwoności.

– Moje życie bez miłości było puste, bo nie było w nim mężczyzny, którego kochałam – dodała po chwili.

– I żadnego pani nie kochała? – zapytała Anna.

– Żadnego. Byłam z nimi dla kilku chwil przyjemności, dla namiętności. Widziałam pożądanie w ich oczach, czasem zauroczenie... Nie wiem sama. Każdego odprawiałam z kwitkiem, bo nie był Waldkiem.

Rozdział 41

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Szczęśliwego Nowego Roku! – ryknął głos spikera z telewizji. Po chwili rozległ się dźwięk dud. Na ludzi w studiu zaczęły spadać złote balony i śnieżnobiałe konfetti. Wszyscy składali sobie życzenia. Kobieta za oknem usłyszała wybuchy sztucznych ogni i petard.

Mogła wyjść z Michałem do jego znajomych, ale jakoś nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Wiele się o sobie dowiedziała podczas ostatnich miesięcy. Zamknęła jeden rozdział. Napisała książkę, która ukaże się za cztery tygodnie. Lady Abigail była umierająca. Anna odczuwała smutek, ale wiedziała też, że kiedy kobieta umrze, ona stąd wyjedzie. Nic jej tu nie trzymało. Szkocja była tylko przystankiem w jej życiu. Kobieta chciała spędzić sylwestra ze starą kobietą, ale ta stanowczo jej odmówiła:

- Muszę się pomodlić.
 - Myślałam, że nie wierzy pani w Boga?
 - Kiedy kończy się życie, człowiek zaczyna wierzyć. Boi się, że to już koniec, i chce, żeby gdzieś tam był nowy, lepszy początek.
 - Rozumiem. – Anna skinęła głową. – Więc na pewno mnie pani nie będzie potrzebować?
 - Nie, drogie dziecko. Nie. Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko.
- Lady Abigail zmarła pierwszego stycznia nad ranem.

Michał czekał na klienta, kiedy jego komórka zawibrowała. Anna miała taki głos, jakby miała zaraz skoczyć z klifu w odmęty zimnego Morza Północnego.

Wykonał kurs, po czym pojechał prosto do niej. Anna już na niego czekała z plecakiem przewieszonym przez ramię.

- Jedźmy w Pentlandy – zarządziła.
- Jest zimno i spadł śnieg. Masz zamiar zrobić sobie tam piknik?
- Mam zamiar wspiąć się na górę i wypić drinka – powiedziała.
- Ciekawy pomysł.
- Lady Abigail dziś zmarła.
- Przykro mi. – Michał przytulił Ankę.
- Mi też.
- Trzeba było tak od razu powiedzieć.

Weszli na niewielkie wzgórze w Pentland Hills. Anna rozpięła plecak i wyjęła z niego baileysa.

- O fuuuu...
- Nie lubisz likierów?
- Od likierów głowa boli i ma się kaca. Zresztą prowadzę.

Pół godziny później Anna piła kolejny kubek trunku.

- Ostatni. – Anka wskazała na plastikowy pojemnik.
- Tak mówiłaś kubek temu?
- Wypominasz mi kubki?
- Nie. Martwię się, że będę musiał cię holować na plecach do samochodu, a to spory kawałek.

Poza tym jest ślisko.

– I przytyłam trzy kilo. – Anka się roześmiała.
– A po drugie, jutro połkniesz z pół opakowania aspiryny.
– Mówi się trudno. Swoje trzeba odchorować.
– A co będzie, jak się upijesz, a ja to wykorzystam? – Posłał jej promienny uśmiech.
– Wkraczamy na grząski grunt.
– Jak zwał, tak zwał.
– Flirtujesz ze mną?
– A chcesz, żebym flirtował? – Michał nie spuszczał wzroku.
– Chcę żebyś mnie uwiódł. – Anna zachichotała niczym podlotka.
– O? To coś nowego w naszych relacjach. Przyjaciele siebie nie uwodzą, nie wykorzystują sytuacji ani...
– Lubię cię. – Anka zachwiała się, a zawartość kubka chlusnęła na kurtkę Michała. – O kurczę, przepraszam. – Wyjęła z kieszeni kurtki chusteczkę i zaczęła wycierać nią plamę. – Przepraszam. Ich spojrzenia spotkały się. Anna zbliżyła usta do ust Michała.
– Obyś tego nie żałowała – powiedział Michał.
Anna nic nie odpowiedziała, tylko zaczęła go całować. Po kilku chwilach oderwała się od niego.
– Było całkiem znośnie – zażartowała.
– Całkiem?
– Znośnie.
Roześmieli się. Kobieta wyciągnęła w jego kierunku rękę.
– To teraz mnie znoś.

Po pogrzebie lady Abigail Anna była rozbita. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Otrzymała potężny spadek, ale ona wolałaby, żeby lady Abigail żyła. Mimo tego, co jej wyznała pracodawczyni, Anna nie przestała darzyć jej uczuciem. W sumie ta kobieta miała smutne życie. Kochała mężczyznę, który tak naprawdę nigdy jej nie kochał.

W końcu podjęła decyzję, spakowała walizki, sprzedała posiadłość lady Abigail, część pieniędzy przekazała na cele dobroczynne, a część włożyła na lokatę. Z sercem przepełnionym spokojem wracała do Polski. Niebawem wydadzą jej książkę.

To było w dzień wyjazdu. Włączyła telewizję. Przemawiał Gordon Brown: „Szczerze przepraszamy wszystkie dzieci imigrantów i ich rodziny. Zawiedziono was. Przepraszamy za to, że zostaliście wysłani do Australii, kiedy byliście najbardziej bezbronni. Przepraszamy za to, że zamiast opiekować się wami, ten kraj się od was odwrócił”...

Marcin wracał z pracy do domu. Wszystko go drażniło, a najbardziej te cholerne korki. Zostawił samochód na parkingu i postanowił iść do domu pieszo. Od jakiegoś czasu odczuwał bezbrzeżny smutek. Minęło kilka miesięcy, a on żałował tego, co zaszło między nim a Anną. To znaczy nie żałował, że się przespali, ale tego, że znów ją paskudnie zranił. Wykorzystał. Minęła go jakaś roześmiana para nastolatków. On też kiedyś taki był. Radosny. Te chwile z Anią były beztrudne. Obejrzał się za małolatami. Chłopak uniósł do góry dziewczynę, a ta się śmiała. „Cholera!” – zaklął w duchu. Jak on im zazdrościł. Wszedł do księgarni. Chciał kupić sobie jakiś kryminał. Ostatnio dużo czytał. Stał jak wryty, kiedy zobaczył plakat, z którego spoglądała na niego Ania. Jego Ania. Wyglądała pięknie na zdjęciu. Bardzo naturalnie. Ale dlaczego Anka trzyma w ręku książkę?

– Przepraszam. – Zaczepił chłopaka z obsługi.
– Tak?
– Ta kobieta, z plakatu...
– Tak?
– No właśnie? Czy ona jest autorką?
– Tak. To debiutantka, napisała świetną powieść, która rozchodzi się jak ciepłe bułeczki. Za tydzień w naszej księgarni odbędzie się jej spotkanie autorskie.

– Ale że z Anią?

Sprzedawca zmarszczył brwi i spoglądał na Marcina jak na człowieka niespełna rozumu.

– Tak, z Anną Wasilewską.

– Chciałbym kupić jej książkę. Kilka.

– Kilka, to znaczy ile?

Marcin zastanowił się przez chwilę.

– Dziesięć. Niech będzie dziesięć.

Marcin był tak podekscytowany, że miał wrażenie, że unosi się kilka metrów ponad ziemią.

– Co to za muzyka?

Sprzedawca spojrział na klienta jak na mało rozgarniętego człowieka. Marcin stał jak słup soli, wsłuchując się w słowa piosenki. Akurat teraz, kiedy spoglądał na zdjęcie Ani, kiedy dotykał jej książki, z głośników popłynęły słowa:

Kiedys jak będziesz w mieście, może przypadkiem się spotkamy

Znów poczujemy tamto, znów się będziemy dobrze bawić

Tym razem ja posłucham

Ty z błyskiem w oku mi opowiesz coś o dzieciach, coś o sobie

I wtedy będę pewien, że o miłości nigdy więcej

Nigdy więcej się nie dowiem

– Korteż, *Dobry moment* – poinformował go sprzedawca.

– A czy macie w sprzedaży jego płytę?

– Tak, właśnie się ukazała. Też dziesięć?

– Nie, dwie. Dwie. I jakby był pan uprzejmy jedną z nich rozpakować i zaznaczyć czerwonym flamastrem ten utwór, a potem na powrót zapakować.

– Jeśli ją otworzę, to nie będę mógł jej na nowo zapakować w oryginalny...

– Nie, nie. W jakiś papier. – Marcin, czuł jak oblewa go zimny pot.

– Dobrze.

– Dziękuję, zaraz podejść zapłacić, tylko sobie popatrzę na ten plakat. – Wskazał na uśmiechniętą

Annę. – Wie pan, ja znam tę kobietę.

Chłopak skinął głową.

– Jest pan zakochany? – Marcin, nie odrywając wzroku od Anny, zadał pytanie sprzedawcy.

– Tak.

– To niech pan jej nie skrzywdzi.

Sprzedawca pokręcił głową.

– Nie zamierzam.

– To ja już pójdę.

„Co za idiota” – pomyślał o Marcinie chłopak.

Anna opowiadała właśnie o tym, jak zaczęła się jej przygoda z książkami, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła wśród zgromadzonych czytelników – jego... W jednej chwili zabrakło jej słów. Patrzył na nią tym swoim wzrokiem, który zawsze sprawiał, że jej serce dużo szybciej biło. Nie pamiętała, co mówiła. Wydawało się jej, że wszystko, co mówi, jest bez ładu i składu. Po skończonym spotkaniu Marcin podszedł do niej ze swoim egzemplarzem książki. Kiedy otworzyła na pierwszej stronie, by się

podpisać, zobaczyła kopertę, na której widniał napis: „Dla Ciebie, Anno”.

Wyjęła ją i położyła obok swojego notesu. Podpisała się w książce.

I wtedy Marcin nachylił się nad nią, musnął jej policzek i wyszeptał:

– Powodzenia.

A potem zniknął z jej życia. Czyżby na zawsze?

Anna drżącymi rękoma otworzyła kopertę, z której wysunęła się kartka.

Czasami mi wystarczy świadomość, że gdzieś tam jesteś. Szczęśliwa.

Że dla Ciebie też wschodzi to samo słońce, że widzisz te same gwiazdy.

Wiem, że czasami o mnie śnisz. Dobrze, że jestem w Twoich snach...

Przeczytałem Twoją książkę. Niesamowita. Emocjonalna. Prawdziwa. Twoja książka, gratuluję. Jesteś nieobliczalna i zdolna do wszystkiego, ale książka? Plakałem!

Bądź szczęśliwa, bo nikt tak jak Ty nie zasługuje na szczęście!

M.

Z koperty wypadła płyta z zaznaczonym utworem. Kiedy Anna była już w domu, puściła CD.

Kiedys jak będziesz w mieście, może przypadkiem się spotkamy

Znów poczujemy tamto, znów się będziemy dobrze bawić

Tym razem ja posłucham

Ty z błyskiem w oku mi opowiesz coś o dzieciach, coś o sobie

I wtedy będę pewien, że o miłości nigdy więcej

Nigdy więcej się nie dowiem

To dobry moment, już nie czekajmy

To dobry moment

Oszczędźmy sobie najgorszych wspomnień

To dobry moment...

Od autorki

Chciałabym podzielić się z Wami kilkoma ciekawostkami, na które natknęłam się podczas pracy nad książką.

Bangour Village Hospital to miejsce, w którym byłam. Dość mroczne, otulone gęstą mgłą miejsce. Jest położone na około tysiącu akrów ziemi. Budynki wykonane są z kamienia, niektóre dachy zapadają się, okna zabite dyktami. Klimat dość ponury. Szczególnie późną jesienią, niczym z filmów Hitchcocka. Ponoć po opuszczonym szpitalu psychiatrycznym spacerują duchy pacjentów. Byłam tam i nie raz przeszedł mnie dreszcz. Historia szpitala, którą opisałam w książce, jest mocno przekoloryzowana. Oczywiście w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku zdarzały się straszne rzeczy w szpitalach psychiatrycznych w Wielkiej Brytanii, takie jak elektrowstrząsy wykonywane na pacjentach, lobotomie, bicie i gwałty, a także inne eksperymenty. Na temat tego konkretnego szpitala nie udało mi się zdobyć takich informacji, choć słyszałam mnóstwo niepotwierdzonych plotek.

Co do polskich oficerów i żołnierzy na emigracji, po wojnie nie byli oni mile widziani we własnym kraju, a także na obczyźnie.

W 1945 roku gen. Maczek został odznaczony Komandorią Krzyża Legii Honorowej, a później awansowany do stopnia generała dywizji; do demobilizacji dowodził polskimi oddziałami w Wielkiej Brytanii. Po wojnie osiadł na stałe w Szkocji, a ponieważ nie przysługiwała mu emerytura, pracował m.in. jako barman w pubie. W 1946 roku pozbawiony został obywatelstwa polskiego, które zostało mu przywrócone dopiero w 1971 roku.

Tylko w latach 1944–1955 trybunały wojskowe wydały ok. 5 tys. wyroków śmierci oraz doprowadziły do skazania na wieloletnie więzienie tysiące Polaków niegodzących się z władzą komunistyczną. Miało to służyć izolacji i fizycznej eliminacji wszelkich wrogów systemu.

Po wojnie Brytyjczycy nie chcieli zadzierać z Rosjanami, bo Polska została uznana za strefę wpływów sowieckich. Polski Rząd na Uchodźstwie nie był uznawany, cały wysiłek zbrojny Polaków na Zachodzie musiał zostać zapomniany. Gdyby przedstawiciele Polskich Sił Zbrojnych wzięli udział w defiladzie w liczbie odpowiadającej proporcjom w zaangażowaniu w walkę z Niemcami, to rząd brytyjski musiałby się jakoś odnieść do ówczesnej sytuacji politycznej. A tego nie chciał. Polska jako gracz na arenie międzynarodowej nie istniała.

W 2003 roku brytyjski premier Tony Blair przeprosił polskich weteranów za postawę swoich poprzedników. Dwa lata później Polacy po raz pierwszy wzięli udział w londyńskiej paradzie zwycięstwa.

„Oczekiwałbym od brytyjskiego rządu prowadzenia szerokiej polityki historycznej, która

uczuliłaby Brytyjczyków na to, ile zrobiliście dla tego kraju. Za każdym razem, kiedy spotykam jakiegoś Polaka, czuję się w obowiązku uścisnąć jego rękę, podziękować za wsparcie jego rodaków i przeprosić za to, że ich nie uratowaliśmy przed Sowietami. Mam nadzieję, że jeszcze uda nam się podziękować odpowiednio – póki obrońcy wolnej Europy z tamtego pokolenia są jeszcze z nami” – Andy Saunders.

Podczas pracy nad książką posiłkowałam się fachową literaturą. Przeczytałam kilkanaście, ba, kilkadziesiąt książek na temat powojennej Europy, z zakresu psychologii i psychiatrii. Korzystałam z wiedzy zawartej m.in. w następujących pozycjach: *Z dziejów społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii w latach 1945–1990* Tadeusza Radzika, *Kapitan opuszcza swój statek* Jana Ćwiklińskiego, *Migracje z Polski 1949–1989. Kraj bez wyjścia?* Dariusza Stoli, *Empty Cradles* Margaret Humphreys, filmu *Oranges and Sunshine* Jima Loacha, dokumentów udostępnionych przez Child Migrant Trust, książki *Unhinged* autorstwa Daniela Carlata, psychiatry, w której przedstawia on swój pozbawiony złudzeń pogląd na wykonywany przez siebie zawód. Omawia również powszechne wykorzystywanie leków psychoaktywnych, a także złowrogi wpływ przemysłu farmaceutycznego na praktykowanie psychiatrii. Zapoznałam się także z *Psychiatrią dla nieprawomyślnych* Głuzmana i Bukowskiego, *I powraca wiatr...* Władimira Bukowskiego oraz z artykułami „Gazety Wyborczej” z cyklu ALE HISTORIA: *Bitwa o Anglię*, a także z książkami *X Pawilon. Wspomnienia AK-owca ze śledztwa na Rakowieckiej* Stanisława Krupy, *Polskie podziemie niepodległościowe na tle konspiracji antykomunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1956* Sławomira Poleszaka, *Lata wykreślone z życia. Proces polityczny i więzienia PRL* Ludwika Ślaskiego, *W celi śmierci* Mateusza Wyrwicha i *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956. Taktyka, strategia, metody, cz. II*, w opracowaniu Andrzeja Paczkowskiego. Korzystałam również z materiałów zamieszczonych na stronie natemat.pl i polskieradio.pl.

W czasie pracy nad książką słuchałam *To dobry moment* Korteza oraz *Dangeours, Explosive, Thank you, November Rain* Davida Garretta i *Nie chciałam Ani* Dąbrowskiej.

Podziękowania

WAM, DROGIE CZYTELNICZKI I CZYTELNICZY, dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję. Bez Was nie wydałabym kolejnej książki. Bez Was nie byłabym tu, gdzie teraz jestem.

DZIĘKUJĘ!

ZAPRASZAM Was do odwiedzenia mojej strony: <http://gabrielagargas.pl/> oraz do fanpejdza na Facebooku: <https://www.facebook.com/gargasgabriela>, a także do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Dziękuję też mojej przyjaciółce Uli za to, że mogę do niej zadzwonić o każdej porze, jeśli akurat jej telefon działa. A ona mnie wysłucha, opieprzy lub rozśmieszy. Czasami to ja muszę ją upomnieć, by zdjęła swoją „opaseczkę”, umalowała się i wyglądała „jak człowiek”. Znamy się jak łyse konie, czasem jedna drugą wkurza, ale jesteśmy ze sobą od trzydziestu kilku lat. To ona motywuje mnie do działania, bo chce, bym zamieszkała obok niej. Nie wiem, jak ja bym wytrzymała, gdybyśmy były sąsiadkami, ale chyba dałybyśmy radę.

Dziękuję moim rodzicom za to, że pozwolili mi iść swoją drogą. Mamie – za promocję moich książek gdzie tylko się da. Niemal wciska je każdemu, kto jej się napatoczy, ale dzięki temu sprzedaż rośnie. Dziękuję Ci, mamusiu, jesteś fajną babką.

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi i mojej rodzinie za wszystko, za ogromne wsparcie, które od Was otrzymuję. Z Wami czasami wariuję, bez Was bym zwariowała. Mój mąż zajmuje się technicznymi sprawami, kiedy na przykład strona mi nawala, bo ja na technice nic a nic się nie znam.

Dziękuję wszystkim moim przyjaznym Duszyckom, które obok mnie są.

Sylwii Hibner, za nasze rozmowy o wszystkim i o niczym. Za te kawy i herbaty wspólnie wypite. Za każdą recenzję mojej książki. I za to, że wysłuchujesz o moich radościach i smutkach.

Justynce Bagnerowskiej, którą poznałam osiem lat temu na lotnisku. Jak to dobrze, że samoloty niekiedy mają awarię. Kochana, jak dobrze, że jesteś.

Monice Madejek, za każde ciepłe słowo i każdego mejla.

Beacie Owczarczyk, administratorce grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”. To ona tam działa i wkleja większość postów, ja jestem z fejssem na bakier – chociaż dzięki Facebookowi poznałam wielu

fajnych ludzi.

Joasi Wolf, za cudowne grafiki i promowanie mojego dorobku literackiego na stronie NIEnaczytana (<https://www.facebook.com/NIEnaczytana/>).

Justynce z ONA CZYTA za promowanie moich książek w facebookowym świecie.

Dziękuję także:

Kasi Stec, Ewie Kiszkwiać, Renacie Sokół, Basi Ossolińskiej, Ewelinie Ziomek, Marcie Zająć za cudowne spotkania. Tyle słów i ciepłych gestów, tyle emocji. Za każdy drobiazg, każde słowo, każdą recenzję. Dziękuję!

Anetce Pimpis – drugiej tak empatycznej osoby nie znam. Dziękuję za każdą rozmowę i ciepłe słowo. Za każdą rozmowę o książkach, nie tylko moich.

Eli Drurce i Ewie Borkowskiej za wszystkie wiadomości i kartki, a także listy.

Justynie Rohde, Marcie Szymańskiej, Joasi Jarosz, Kasi Cyprys, Joli Jastrzębskiej, Eleonorze Chojnowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Ewie Sołtysiać i jej kochanej mamci – Pani Danusi, Lidii Szarna, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Zuzi Osieckiej-Godlewskiej, Magdalenie Mazurek, Kasi Naworskiej, Renacie Mik, Agnieszce Kowalskiej, Grażynce Cybulskiej, Anicie Idzikowskiej, Kasi Chabło, Grażynce Wardach, Agacie Legun, Joannie Wierzbickiej, Monice Szydłowskiej, Karolinie Ubych, Monice Płatek, Violetcie Laskowskiej, Ani Kminikowskiej, Ewelinie Stawsińskiej, Natalii Kapeli.

Ani Piotrowskiej – za promowanie polskich autorów. I każde ciepłe słowo na temat moich powieści.

Ekipie z Wydawnictwa FILIA i ONA CZYTA za wsparcie i promocję moich książek na rynku wydawniczym, a także pani Paulinie i jej współpracownikom za ciężką pracę przy redagowaniu tej powieści.